



Na schodach panowała ciemność. W gabinecie Svensona nagle zapaliło się światło. Drzwi były otwarte. – Wejdz, Mary – usłyszałam jego głos o dziwnie obcym brzmieniu. – Wiem, po co poszłaś do ogrodu. Cały czas śledziłem cię przez okno. – Jak ćma lecąca do ognia, przestąpiłam próg gabinetu. Tak jak tamtej nocy zobaczyłam, że biało lakierowane drzwi były otwarte, a na progu stał Olaf Svenson w jedwabnym szlafroku i w obu rękach trzymał głowę Margaret.

Zofia

# Kaczorowska

lesiojot

## układ ze śmiercią

CZYTELNIK

**ZOFIA KACZOROWSKA**

**UKŁAD ZE ŚMIERCIA**

CZYTELNIK \* WARSZAWA 1979

*„Spędziwszy młodość i wiek męski po części w niewypowiedzianej niedoli, po części w ponurej samotności, po raz pierwszy znalazłem przedmiot prawdziwej miłości, znalazłem ciebie. Ty jesteś moim lepszym »ja«, moim dobrym aniołem. Silne uczucie przywiązuje mnie do ciebie. Uważam cię za dobrą, inteligentną, uroczą: gorące, poważne uczucie zrodziło się w moim sercu. Ku tobie ono płonie, ciebie wciąga w głąb i źródło mego życia. Istnienie moje wiję się wokół ciebie i płonąc czystym, potężnym płomieniem stapia ciebie i mnie w jedno”.*

CHARLOTTE BRÖNTE:  
„DZIWNE LOSY JANE EYRE”.

## Rozdział pierwszy

Terkoczący brzęk budzika wyrwał mnie z głębokiego snu. Leniwie otworzyłam jedno oko, aby zobaczyć, która jest godzina. Była ósma rano. Jasny poranek wdzierał się przez szpary w zasłonach. Miałam właśnie zamiar zasnąć jeszcze na parę minut, ale nagle szarpnął mną od głowy aż do czubka prawej nogi natrętny niepokój, który zawsze w ten sam sposób sygnalizował swoje nadejście. Więc to już dzisiaj, nieodwołalnie dzisiaj mam zerwać z terażniejszością i wkroczyć w przyszłość zupełnie mi nie znaną i jawiącą się w mej wyobraźni jak nie zapisana biała karta? Od razu na samą myśl o tym poczułam się tak nieswojo, jak przed operacją wyrostka robaczkowego, którą przeżyłam przed czterema laty. To wszystko - co wczoraj jeszcze fascynowało mnie wizją samodzielności i perspektywą dobrobytu - w tej chwili wydało mi się wytworem bujnej fantazji, czymś nierealnym, a nawet przerażającym.

„Dokąd ty jedziesz, wariatko - zaczęłam swój zwykły, wewnętrzny monolog, który stał się moim nałogiem od chwili, kiedy wieko trumny zamknęło się nad ciotką Betty, a ja zostałam zupełnie sama na całym świecie - w nieznanie? Do obcego domu, i to w jakimś nieokreślonym charakterze, ni to farmaceutki, ni to pielęgniarki, a może panny służącej? Ty, taka dumna, ważniaczka, absolwentka wydziału farmacji, lat dwadzieścia dwa... Nie można to znaleźć na miejscu jakiejś godziwej posady, no choćby i w aptece pana Jamesa Milтона, który gotów jest od zaraz przyjąć cię do pracy, albo poczekać jeszcze ze dwa, trzy miesiące na jakąś korzystniejszą propozycję? Nie, to nie w twoim stylu - tobie zależy tylko i wyłącznie na pieniądzach. Chcesz zostać milionerką, zmaterializowana do szpiku kości istoto, którą wabi nędzna mamona. A tak naprawdę, to źle ci tu czy co? Masz własne mieszkanie, małe: trzy kroki wzdłuż i trzy wszerz, ale

wystarczające, kilka przyjaciółek, masz Janka, który, o ile nie darzy cię miłością, to na pewno sympatią i...” - I tu ucichł głos pierwszy, a w głębi mego skorumpowanego jestestwa usłyszałam od razu odpowiedź:

„Na świecie nie ma większej idiotki od ciebie, Marysiu, vel Mary Milsky. Na co ty właściwie liczysz? Na znakomitą posadę w Pittsburgu, gdzie takich absolwentów farmacji jak ty można wiązać w pęczki. Czekał tatka latka. Idź, idź sobie do starego pana Jamesa Milтона i odmierzaj w jego zatechłej, paskudnej aptece kropelki i ziółka, aż ci posiwieją skronie - za nędzne kilka dolarów. Możesz być pewna, że nie pożałuje ci roboty i zaślinionych uśmiezków ten miły jegomość ze stu kilowym brzuszkiem. A nie zachwycaj się tak tym swoim mieszkaniem, bo i tak już niedługo nie będziesz miała złamanego grosza na opłacanie czynszu. Lepiej zajrzyj do torebki i policz dobrze swoje zielone papierki, a dowiesz się, ile ich zostało. Zresztą, o ile ten »apartament« tak bardzo ci się podoba, możesz przecież go na jakiś czas zatrzymać. Nikt nie każe palić ci mostów za sobą. Co zaś do przyjaciółek - to dwie wyszły za mąż i aktualnie obchodzisz je tyle, co zeszłoroczny śnieg, a trzecia jest w przededniu cieleącego zakochania się w Tomie Bright i już niedługo przyśle ci zawiadomienie o ślubie. Natomiast Janek jest wprawdzie miłym chłopcem i świetnym kolegą, ale według wszelkich znaków na ziemi i na niebie nie żywi względem ciebie żadnych poważniejszych zamiarów. Jesteś po prostu dla niego względnie przyjemną odskocznią od pracy naukowej i cała znajomość z nim skończy się za parę miesięcy, z chwilą jego powrotu do Polski. Zresztą to nie jest człowiek na serio. Nigdy nie wiadomo właściwie, kiedy mówi prawdę, a kiedy kpi sobie z ciebie. A poza tym czy ty sama jesteś absolutnie pewna, że właśnie on jest tym wymarzonym mężczyzną, z którym poszłabyś na koniec świata? Prawda, że nie? No więc, co cię tu trzyma? Tylko trema przed pracą zawodową, obawa przed samosprawdzeniem się, a może zwykłe lenistwo? Tak, to, tylko to. Zawsze byłaś leniwa i gnuśna. Masz w ręku niepowtarzalną okazję zarobku, usamodzielnienia się, postawienia na nogi w krótkim czasie, a ty się jeszcze wahasz, coś kombinujesz, aby

usprawiedliwić przed samą sobą własną indolencję, i to w sytuacji, kiedy masz już w kieszeni bilet kolejowy, kupiony za ostatnie forsiaki. Ot, jaka ty w gruncie rzeczy jesteś, panno Mary Milsky!”

Ten ostatni wykrzyknik tak dalece zmobilizował mnie do działania, że gwałtownie zsunęłam nogi z tapczanu, na skutek czego budzik, po raz setny co najmniej w swojej karierze, zleciał na podłogę i tym razem nie ponosząc żadnego szwanku. Piekielna maszyna o nie zbadanej konstrukcji.

Właściwie miałam jeszcze sporo roboty przed odjazdem. Pociąg odchodził wprawdzie za dwanaście godzin, ale nie spakowałam dotąd rzeczy, powodowana niedorzeczną nadzieją, że jakaś gwałtowna, zewnętrzna przeszkoda unicestwi moje plany i że jednak zostanę na miejscu. Poza tym zamierzałam odwiedzić moją gospodynię, aby zapłacić jej czynsz za następny miesiąc i... zobaczyć się z Jankiem. Tak, to chyba było najważniejsze - spojrzeć raz jeszcze na jego twarz i utrwalić ją sobie w pamięci (głos wewnętrzny: sentymentalne bzdury, miss Mary).

Przyjaciółek postanowiłam w ogóle nie zawiadamiać. Są tak pochłonięte swoim własnym życiem, że ubytek mojej osoby z ich otoczenia przejdzie koło nich niemal niezauważalny. Zdecydowałam, że napiszę do nich za kilka dni i zawiadomię o wszystkim. Niech się przynajmniej raz zdziwią.

W dwóch susach (bo więcej ich nie mogłam zrobić ze względu na wymiary mojego pokoju) znalazłam się w łazience. Łazienka była powodem mojej największej dumy z dotychczasowych osiągnięć życiowych. Bardzo biała i dyskretnie pachnąca ulubioną wodą kwiatową - stanowiła unikalne miejsce moich filozoficznych rozważań i retrospekcji, a także w swoim czasie sanktuarium wiedzy, bowiem doszedłszy do wniosku, że tu, a nie gdzie indziej nauka najlepiej wchodzi mi do głowy, kułam zapamiętałe, siedząc w wannie. Teraz też, zanurzona po czubek nosa w pianistej wodzie, poczułam nieprzewartą chęć do małego rozrachunku z dotychczasowym życiem, które miało się tak krańcowo zmienić, a przynajmniej do podsumowania ostatnio powziętej

decyzji. Właściwie wiele się tak przez te przeze mnie przeżyte dwadzieścia dwa lata nie wydarzyło. A już najmniej dobrego. Pewnych spraw i faktów mogłam się tylko domyślać albo sobie je wyobrazić na podstawie przekazywanych mi relacji z ust nieodżałowanej ciotki Betty. Od niej to dowiedziałam się, że urodziłam się z małżonków Zofii i Roberta Milsky, Polaków z pochodzenia, bardzo kochających się w okresie mego poczęcia i parę lat potem. Nic mi jednak z tego nie przyszło, ponieważ właśnie tylko mogłam wyobrazić sobie, że byłam kiedyś upragnionym i pieczołowanym dzieckiem. Ani jeden rys twarzy mego ojca i matki nie został mi w pamięci z tego prostego powodu, że pewnej jesiennej nocy państwo Milsky, wracając z jakiegoś małego przyjęcia, rozbili swój skromny samochód o przydrożne drzewo i w ten dość banalny sposób zakończyli doczesny żywot - pozostawiając mnie, dwuletnią Mary, na przysłowiową pastwę losu. Szczęściem znalazła się istota ludzka, która „przygarnęła Sierotkę”, a była nią siostra ojca - ciotka Barbara Betty.

Osoba ta ponoć szybko zlikwidowała aptekę mego ojca, który był farmaceutą na dorobku i jeszcze nie zdążył wygrzebać się z długów, zaciągniętych na jej otwarcie, i poświęciła się memu wychowaniu.

Oddając hołd pamięci ciotki Betty, muszę jednocześnie stwierdzić, że miała ona bardzo trudny charakter. Oschła, skostniała w swojej samotności, potrafiła zadziwić gwałtownymi wybuchami gniewu i umiejętnością wywoływania z najbliższym otoczeniem przeróżnych konfliktów, które od dzieciństwa nauczyłam się łagodzić. Szczególnego bzika miała na punkcie mężczyzn, którzy jej zdaniem byli zakałą ludzkości. Pogląd ten wyrobiła sobie na jednym przykładzie, z którym w życiu miała do czynienia - swoim rozwiedzionym mężu, notorycznym pijaku i oszuście. Osobnik ten po dwóch tygodniach opuścił ją bez pożegnania, co mu nie przeszkadzało w ciągu następujących dwudziestu lat wyciągać od niej na różne sposoby pieniądze. Zresztą miała do niego słabość i musiała ustawicznie z nią walczyć.

Moim wychowaniem zajęła się zachłannie, wdrażając we

mnie przede wszystkim nienawiść do rodzaju męskiego i ćwicząc w przeróżnych cnotach, co przy nieco słabszej niż moja konstrukcji psychicznej wywołać mogło wręcz przeciwny skutek.

Poza tym miała wiele zalet, była na wskroś uczciwą, ciężko pracującą kobietą. Nauczyła mnie mówić po polsku, ponieważ uważała, że byłoby to życzeniem mojego ojca. Bardzo też pragnęła, żebym ukończyła wyższe studia. Niestety, nie doczekała rezultatu swych wysiłków, bowiem niespodziewanie umarła pięć lat temu, w chwili kiedy rozpoczynałam start na wydziale farmacji. Wbrew moim pesymistycznym przewidywaniom po jej śmierci okazało się, że nie zostałam bez środków do życia. Ciotka Betty uciulała niewielką sumkę, która po likwidacji starego mieszkania dała mi możliwość wynajęcia małej kawalerki i spokojnego ukończenia studiów.

Na tym etapie moich rozważań autobiograficznych po raz „milionowy” stwierdziłam, że kąpiel to najprzyjemniejsza rzecz na świecie, i dalej pograżałam się w rozmyślaniach.

Na studiach było całkiem fajnie. Zaprzyjaźniłam się z paroma dziewczętami, miałam kilka przelotnych sympatii i kułam do upadłego. Trzeba przyznać, że umiejętnie odsuwałam od siebie widmo ponurej przyszłości, które jawiło się natrętnie w postaci stale i konsekwentnie opróżniającej się sakiewki ciotki Betty. Kilka miesięcy temu zjawił się w moim życiu Janek. Zdarzyło się to niespodziewanie, tak jak wszystko, co było mi dane dotychczas przeżyć. Wychodziłam późnym wieczorem od jednej z koleżanek, z którą uczyłam się wspólnie przed zdaniem ostatniego egzaminu. Schodziłam po schodach wyjściowych i pośliznęłam się, spadając prosto w objęcia młodego człowieka, który podtrzymał mnie silnym ramieniem.

- Cześć - powiedział. - Czy pani zawsze ma zwyczaj w ten sposób zawierać znajomości?

- Nie - odparłam - nie zawsze, tylko wtedy, kiedy spadam ze schodów.

Roześmiał się. Miał przyjemny głos i dziwnie obcy akcent.

- Pani kuleje, muszę panią odprowadzić - zdecydował.



- To nie jest konieczne, dam sobie radę - usiłowałam protestować.

- Popsuła mi pani wprawdzie wieczór, bo byłem umówiony z szalową dziewczyną o rudych włosach, ale trudno, poświęcę się - oznajmił kategorycznym tonem i wziął mnie pod rękę. Szliśmy bardzo wolno, bo naprawdę lekko nadwichniłam nogę, a później trochę udawałam, bo spodobał mi się ten wesoły chłopiec o ciemnej czuprynie i jasnych oczach i chciałam być z nim dłużej.

Dużo rozmawialiśmy i jakoś dość łatwo doszliśmy do wniosku, że nie warto kończyć znajomości pod bramą mojego domu, wobec czego umówiliśmy się na następny dzień.

Janek okazał się znakomitym kolegą. Trafnie wyczułam w nim obcokrajowca. Był Polakiem, młodym naukowcem po studiach, na stypendium rocznym w Pittsburgu. Pochodził z Warszawy. Jeszcze pierwszego wieczoru zaczęliśmy rozmawiać po polsku. Przypuszczam, że przyciągnęła go do mnie możliwość porozumienia się na obcym gruncie z dziewczyną znającą jego język ojczysty. Szczególnie, że nie zachowywał się wcale jak młody człowiek ubiegający się o względy młodej panny. Miał specyficzny sposób bycia, polegający na ironizowaniu wszystkiego i wiecznym przekomarzaniu się ze mną. Czasem nawet mi dokuczał, ale w jego wykonaniu nawet mała impertynencja nie była przykra. W każdym razie nie można go było brać na serio i tak też go traktowałam. Dlatego nasza znajomość utrwaliła się. Widywaliśmy się często, nie nadając temu formy jakiegokolwiek zobowiązania, po prostu dla miłego spędzenia czasu - *pour passer le temps* - jak mówią Francuzi (francuskiego uczyłam się w szkole). Nieraz jednak odczuwałam w jego obecności niepokojący ucisk w okolicy dołka lub serca, co było u mnie nieomylnym symptomem zbliżającego się zakochania, ale wychowana w cieniu wzniosłej ideologii ciotki Betty, umiałam w odpowiednim czasie wziąć się w garść i poskromić swe zapęły.

„Nie bądź głupia, Maryśka - mówiłam sobie - to jest tylko zwykły chłopiec, który spędza z tobą czas z braku laku, a w kraju ma na pewno ukochaną dziewczynę, do której wróci na

skrzydłach tęsknoty, ty zaś zostaniesz jak zranione ptaszę ze skrzwawionym sercem”. I zaraz mi liryczny nastrój mijał. Ponadto stworzyłam własne kryterium stopnia mego zaangażowania uczuciowego obiektem płci odmiennej, stawiając sobie proste pytanie: Czy to jest mężczyzna, z którym poszłabym na koniec świata? Odpowiedzi na to pytanie były jak dotąd negatywne, a w stosunku do Janką nijakie.

Był wprawdzie jeden taki wieczór, który mógł nadać inny ton naszej znajomości. Oblewaliśmy w małym kółku pomyślnie zdane końcowe egzaminy. Było dużo dobrego alkoholu, mocna polska wódka i szampan. Wszyscy mieliśmy trochę w czubie, a Janek tańczył na galaretowatych nogach. W pewnej chwili, kiedy siedzieliśmy na tapczanie, a reszta towarzystwa podrygiwała w tangu, obcałowując się niemiłosiernie, Janek nagle powiedział:

- Wiesz co, Mańka, pojedź ze mną do Warszawy, rzuć to wszystko. Ożenię się z tobą i będzie fajnie. Poznasz moją matkę i siostrę. Zobaczysz, jakie są świetne. Mama jest zupełnie siwa i taka kochana. - W tym miejscu omal nie zalał się łzami w pijackim widzie. - No co - nalegał dalej - co powiesz?

Nie powiedziałam nic, bo Bob Wright przemocą porwał mnie w tym momencie do tańca, a Janek, jak zauważyłam zaraz potem, twardo zasnął na tapczanie, na skutek czego nawet nie odprowadził mnie do domu.

Na drugi dzień powiedział od niechcenia:

- Słuchaj, Mary. Zdaje się, że byłem wczoraj zupełnie pijany i naplotłem ci okropnych głupstw. Nie zwracaj na to uwagi.

W ten sposób skwitował swoje oświadczenia i wszystko wróciło do normy.

Ja natomiast w owym okresie zaczęłam coraz niespokojniej przeliczać swoje apanaże, które kurczyły się w zastraszającym tempie. Miałam dyplom w kieszeni i nic nie stało w zasadzie na przeszkodzie do podjęcia pracy zawodowej, nic... oprócz odpowiedniej posady, o którą nie było łatwo. Stary pan James Milton, znajomy mojego ojca, ofiarowywał mi wprawdzie zajęcie w swojej na wpół zrujnowanej aptece, ale warunki były

tak nędzne, a on sam tak obrzydliwie przymilny, że nie było sensu, abym tam miała wystartować. Rozpoczął się więc dla mnie okres gorączkowego poszukiwania pracy.

Pewnego dnia wpadło mi w ręce w najpoczytniejszej gazecie ogłoszenie następującej treści:

„Poszukuję pilnie młodej farmaceutki do małego prywatnego laboratorium, z mieszkaniem i wyżywieniem. Pożądana umiejętność obchodzenia się z chorą. Wysokie wynagrodzenie. Miejscowość nadmorska koło Brownsville. Willa »Różane Krzewy«.”

Oko moje wpilo się w to ogłoszenie z nieopisaną zachłannością i pozostało w nim utkwione przez najbliższe pół godziny. Czyż można było sobie wymarzyć coś atrakcyjniejszego i bardziej odpowiedniego dla dziewczyny w mojej sytuacji? W wyobraźni swojej już widziałam falujące, szafirowe fale morza, kołyszące się palmy, krzaki oblepione różami i siebie jako milionerkę wstępującą na pokład własnego jachtu, zakotwiczonego u wybrzeża. „Różane Krzewy” - ta malownicza nazwa, narzucająca same romantyczne skojarzenia, a do tego zapowiedziane ponętne wysokie wynagrodzenie, szeleszczące zielenią dolarów - zafascynowały mnie doszczętnie. Jaką cyfrą wyraża się nęcąca zapowiedź dobrobytu w rozumieniu ludzi oferujących tę posadę? Co prawda trochę zaniepokoiła mnie wzmianka o opiece nad chorą, ale szybko przeszłam nad tym do porządku dziennego, argumentując filozoficznie, że i w tym przypadku - „nie ma róży bez kolców”. Poza tym posiadałam umiejętność robienia zastrzyków, wdrożoną mi przez ciotkę Betty, która całe życie sterała pracując w szpitalu, więc i w tym zakresie odpowiadałam wymogom ogłoszenia. Napisałam zaraz, bez namysłu, pod wskazany adres, zgłaszając swoją kandydaturę z podaniem kwalifikacji, wieku, miejsca zamieszkania, przekonana w głębi duszy, że mam minimalną szansę, aby zostać wybraną spośród setek zgłoszeń, które niewątpliwie przejdą przez ręce moich ewentualnych chlebodawców. Następnego tydzień chodziłam z bladą twarzą, zaglądając bez przerwy do skrzynki na listy, targana najróżnorodniejszymi przecuciami i niepokojami. I oto

nadeszła odpowiedź w białej wytwornej kopercie, napisana na blankiecie firmowym banku w Brownsville:

„Kandydatura pani odpowiada nam w zupełności - komunikował uprzejmie niejaki pan Olaf Svenson, podpisany na zakończenie listu zamaszystym zakrętasem. - Proponuję pani wynagrodzenie w wysokości 1000 dolarów miesięcznie. Warunki pracy na pewno nie będą dla pani uciążliwe. Chodzi o pracę w laboratorium i o ewentualną pomoc przy mojej chorej żonie. Proszę o pisemne potwierdzenie, czy może pani przyjechać 15 maja rannym pociągiem. Będzie na panią oczekiwać auto” itd.

Przez godzinę tarzałam się po tapczanie, wydając okrzyki godne wojownika najdzikszego szczepu Indian. Tysiąc dolarów - ta zawrotna suma przekraczała wszystkie moje oczekiwania i brzmiała jak magiczne zaklęcie z Baśni Tysiąca i Jednej Nocy. Co za porównanie z nędzną płacą ofiarowywaną mi przez starego Milтона. Przecież kilka miesięcy takiej pracy może mnie urządzić na przyszłość. Nie ma się nad czym zastanawiać. Odpisałam od razu na gorąco, że się zgadzam, żeby nie zacząć, zgodnie ze swoim usposobieniem, analizować całej sprawy i szukać dziury w całym.

Jankowi powiedziałam dopiero o wszystkim po nadaniu listu na pocztę. Czekałam na jego reakcję, bo w zasadzie mój wyjazd przecinał bezpowrotnie naszą znajomość i właściwie było mało prawdopodobne, żebyśmy się więcej w życiu zobaczyli. Jego stypendium kończyło się za sześć miesięcy, a potem miał od razu wracać do Polski, do swego Instytutu Badań Jądrowych. W głębi duszy tliła się we mnie jednak niedorzeczna nadzieja, że Janek zaoponuje, że nie pozwoli mi wyjechać, że zajmie jakieś stanowisko. Ale on uśmiechnął się lekko i powiedział: - Brawo, miss Mary, nareszcie zostaniesz milionerką, usidlisz swoimi wdziękami jakiegoś nababa i niedługo przestaniesz poznawać znajomych na ulicy.

Tylko tyle miał do powiedzenia, a ja głupia trułam się przez całą noc myślą, że robię głupstwo, że go tracę z własnej woli. Poza tym żal mi było własnego mieszkania i poczucia niezależności. Ale to wszystko dziecinada - postanowiłam -

muszę być twarda i rozsądna.

W ten sposób umocniona raz jeszcze w swojej decyzji, wyskoczyłam z łazienki i rozpoczęłam ostatnie porządki, łącznie z pakowaniem garderoby. Przy tych czynnościach, mimo wszystko, poczułam się jak na własnym pogrzebie, a pokój, do którego zawsze z chęcią powracałam, wydał mi się tak nierealny i obcy, jakbym na niego patrzyła z dystansu kilku lat. Najlepiej właściwie było wyjechać bez pożegnania, żeby nie wywoływać zbytecznych łzawych nastrojów, ale jednak tego nie mogłam zrobić. Zapragnęłam nagle gwałtownie, aż do bólu, jeszcze raz zobaczyć Janka.

Jakąż jestem sentymentalną idiotką, skoro jego głos, który odezwał się przez telefon, przyprawił mnie o bicie serca.

- Janku - powiedziałam grobowym tonem. - Wiesz, ja dzisiaj już wyjeżdżam. Chciałam cię zaprosić na pożegnalny obiad. Co ty na to?

W słuchawce coś zaterkotało, zabrzęczało, ale za chwilę Janek odpowiedział:

- Świetnie, będę u ciebie za pół godziny. Czekaj.

Ubrałam się jak najstaranniej, choć to nie mogło mieć żadnego znaczenia. W lustrze, ujrzałam odbicie znajomej mi dziewczyny, średniego wzrostu, bardzo szczupłej, bardzo bladej, o długich, ciemnobrązowych włosach i wydatnych ustach. Widok ten wcale nie podbudował mnie moralnie. Nie, stanowczo, dziewczyna o takim wyglądzie - stwierdziłam - nie ma szans na zdobycie serca wybranego mężczyzny. Trzeba zatem łapać okazję zarobku, jeżeli sama wchodzi w ręce. Przynajmniej, być może, pieniądze zrekompensują inne niedobory losu.

To była moja ostatnia refleksja przed przyjściem Janka.

- Cześć, Jane Eyre - powiedział, wchodząc z uśmiechem. Byłam tak zaskoczona, że nie zrozumiałam aluzji do mojej obecnej sytuacji.

- Widzę, że nie czytałaś sławnej powieści pewnej panny Charlotty Brönte. Oto braki w edukacji farmaceuty. Na pewno tam już na ciebie czeka sobowtór pana Rochester, który przy świetle księżycy ofiaruje ci gorącą miłość i zaraz zacznie

kombinować, w jaki sposób pozbyć się żony, żeby posiąść twą rękę.

Nie odpowiedziałam, bo byłam dzisiaj w nastroju najmniej nadającym się do odbioru żartów i przycinków, którymi zazwyczaj szermował z celnością wytrawnego Strzelca. Widocznie zauważył to, bo przez chwilę milczał i przyglądał mi się krytycznie, siedząc na jedynym fotelu wciśniętym między okno i stolik. A ja znów, głupia gęś, łudziłam się, że chociaż dzisiaj będzie inaczej.

- Wyglądasz okropnie - odezwał się po chwili. — Jak swoja własna babka. Czy rzeczywiście tak się zamartwiasz tą wyprawą po złote runo?

- Mylisz się - odparłam, usiłując umiejętnie balansować pomiędzy kamienną obojętnością a gwałtowną potrzebą wybuchnięcia płaczem - wprost szaleję ze szczęścia, że nareszcie stąd wyjeżdżam i niektórym osobom zniknę z oczu (nie, tego nie powinnam była powiedzieć. Janek może uznać to za próbę naciągnięcia go na protesty).

- Jeśli chodzi o mnie, to mogłabyś zostać tutaj, twój widok nie sprawia mi specjalnej przykrości, chociaż ostatnio coraz bardziej zezujesz na lewe oko. No, popatrz w lusterko. Nigdy nie chciałaś mi wierzyć, że masz autentycznego zeza.

- A ty za to masz jedną dziurkę w nosie większą od drugiej - odparowałam z dziką zawziętością, bo tak istotnie było.

- To od intensywnego myślenia. Intelktualiści myślą także nosem - odparł pogodnie. - Ale, Mańka, przestańmy się kłócić. To nie ma sensu. Słyszałem, że masz zamiar zafundować mi obiad w ekskluzywnym lokalu jako ucztę pożegnalną, w związku z czym nie zjadłem śniadania i kiszki mi marsza grają.

- Więc chodźmy - wrzuciłam budzik do zapchanej walizki, w cichej nadziei, że się w ten sposób wreszcie zepsuje.

- A rewolwer wzięłaś ze sobą? - zapytał z powagą. - Mogę ci pomóc dopchać. Jeszcze się zmieści. Na twoim miejscu nie wybierałbym się w tę podróż bez rewolweru i podręcznych granatów.

- Mam małego colta w torebce, zupełnie wystarczy na moje skromne potrzeby - zaczynał mnie znów denerwować tą swoją

beztroską wesołością - i jeżeli będziesz mi dalej dokuczał, to zastrzelę cię, trupa schowam do tapczanu, a sama ucieknę niepostrzeżenie. Nikt nie wie, dokąd jadę, więc wszystko dobrze się składa.

- Wybornie. Tylko proszę cię, włóż teraz niższe obcasy.

- Dlaczego?

- Bo coraz bardziej kulejesz na lewą nogę, tę, którą zwichnęłaś przy naszym pierwszym spotkaniu. W pantoflach na wysokich obcasach jest jeszcze gorzej. Nie mam zamiaru co krok podnosić cię na ulicy.

Zdzieliłam go poduszką po głowie i zupełnie zgodnie udaliśmy się do pobliskiej małej restauracyjki, gdzie można było względnie tanio smacznie zjeść. Janek jadł z wielkim apetytem, pochłonięty tą funkcją bez reszty, ja natomiast z trudem przelknęłam kilka kęsów. Patrzałam na jego twarz schyloną nad talerzem i potwornie żał mi było każdej chwili bezpowrotnie przemijającej.

- Wiesz co, Mary - powiedział Janek po zjedzeniu połówki kurczaka - jednak ta twoja posada wydaje mi się mocno podejrzana. Za co właściwie ten facet chce ci tyle płacić? Może być kilka kombinacji: albo szuka fachowca do produkcji jakiejś broni masowej zagłady względnie specjalnego narkotyku, a sam nie daje rady i chce się posłużyć naiwną dziewczyną, albo ta jego chora żona to jakaś osobliwa wiedźma o sadystycznych skłonnościach, z którą nikt nie może wytrzymać. Niewykluczone też jest, że to zwykły handlarz żywym towarem, który w ten sposób zwabia młode dziewczęta i morzem holuje do portowych domów publicznych. Możliwe też, że któreś z nich jest wampirem i odczuwa stałą potrzebę wypijania pół litra młodej krwi dziennie.

- Dziękuję ci za miłe przepowiednie. Rzeczywiście umiesz wspaniale zachęcać do pracy. Zresztą każda z twoich propozycji jest dobra. Tym razem jednak absolutnie się mylisz. Dowiedz się, że pan Olaf Svenson to ceniony obywatel miasta Brownsville, bogaty bankier, czego najlepszym dowodem jest, że napisał do mnie na własnym blankiecie firmowym z pieczęcią.

- Jesteś przerażająco naiwna. Taki blankiet każdy może wykraść lub podrobić. W każdym razie daj mi ten swój adres, żebym wiedział, gdzie ciebie szukać, jeżeli roześlą za wami listy gończe.

Wyjął notes i skrupulatnie zanotował.

- Co będziesz robił po moim wyjeździe? - zapytałam zupełnie niepotrzebnie. Przecież nie powie, że będzie z tego powodu usiłował popełnić samobójstwo albo wstąpić do klasztoru.

- Chyba założę harem - odpowiedział bardzo poważnie. - Mam właśnie upatrzoną czarnooką Chinę i Argentynkę. Brak mi tylko przedstawicielki Indonezji. Może znasz jakąś? - zmusił mnie do uśmiechu, co go wyraźnie ucieszyło. A potem czas zaczął uciekać niesłychanie szybko, jakby szedł w zawody z moim narastającym zdenerwowaniem. Musiałam jeszcze parę rzeczy załatwić. Janek chodził wszędzie ze mną. Uznał widocznie za oczywiste, że nie powinniśmy się rozstawać do chwili mego odjazdu. Odprowadził mnie na dworzec, ułożył walizkę na półce. Stał przy oknie wagonu do samego końca.

- Wiesz co - powiedział, kiedy pociąg ruszał - nie wychodź za tego milionera.

- Dobrze. A ty nie zakładaj haremu.

- Postaram się - już biegł obok odjeżdżającego pociągu. - I napisz zaraz. Dobrze? Przyrzeknij, że napiszesz.

Pociąg nabierał rozpędu, a ja wołałam:

- Przyrzekam, słyszysz, przyrzekam!

Postać Janka ginęła już z moich oczu, malała w oddaleniu i odchodziła z mego życia. Sięgnęłam po coś do walizki i spostrzegłam, że obok leży mały bukietek fiołków. I wtedy zupełnie głupio się rozryczałam. Wprost dusiłam się od łez, wtulona w kąt, zasłonięta od reszty ludzi zasłoną zwisającą u okna. Mimo to jakaś starsza pani patrzyła na mnie jak na wariatkę, a młody człowiek siedzący naprzeciw uśmiechał się wyrozumiale, ale mnie to nic nie obchodziło, ponieważ w jednej chwili pojęłam, że opuściłam mężczyznę, z którym mogłabym pójść na koniec świata, o ile by tylko kiwnął palcem.



## Rozdział drugi

Poranek był tak słoneczny i piękny, że wysiadając na stacji w M. nie tylko nie byłam już przygnębiona, ale uznałam w głębi ducha wczorajszy atak rozpaczy za jeden z objawów hysterii, której powracające symptomy ostatnio u siebie zaobserwowałam. Poza tym byłam bardzo głodna, bo w szale zapomnienia związanym z osobą Janka nie wzięłam ze sobą ani jednej kromki chleba i teraz zaczęłam odczuwać kurcze żołądka. Stojąc na peronie z dość ciężką walizką w ręku, zaczęłam rozglądać się z ciekawością, przechodzącą z biegiem upływającego czasu w niepokój. Było niewątpliwe, że nikt na mnie na stacji nie czekał. Kilkanaście osób, które razem ze mną wysiadły z pociągu, zdążyło ku wyjściu na miasto. Wreszcie został tylko kolejarz i starsza pani z dwojgiem dzieci, która siedziała na białej ławeczce w pobliżu ukwieconego trawnika. Wydało mi się, że któreś dziecko pokazało na mnie palcem, ponieważ w miarę pustoszenia peronu zamieniałam się z normalnej osoby w nieruchomy słup, obciążony torebką i walizką, przygwożdżony do jednego miejsca.

„Jestem jak zwykle głupia - pomyślałam po chwili dłuższej kontemplacji nad swoim losem. - Trudno oczekiwać, żeby na stacji stało auto i dęta orkiestra grała powitalnego marsza. Na pewno ktoś czeka na zewnątrz”. Po wyjściu przed budynek stacji przekonałam się jednak, że nie było tam także nikogo, kto by żywił jakiegokolwiek zainteresowanie moją osobą. Parę eleganckich aut rozjeżdżało się właśnie w różne strony, wzdłuż licznych uliczek, odcinających się zielenią drzew i bielą domków od jaskrawego błękitu nieba. Zrobiło mi się bardzo nieswojo i w pierwszej chwili nie wiedziałam, co mam ze sobą zrobić.

„Trzeba trochę poczekać - zdecydowałam - może zaszły jakieś trudności, a może pociąg wcześniej przyjechał”.

Usiadłam więc na ławce w pobliżu oszklonego kiosku z gazetami. W miarę nieubłagania upływającego czasu niepokój coraz bardziej ściszał mnie za gardło. Nikt się nie zjawiał i moja sytuacja była nie do pozazdroszczenia. Przebyłam daleką

podróż, byłam głodna i zmęczona, a co najgorsze - nie miałam pewności, czy stan mojej kasy pozwoli mi na zakup biletu powrotnego. - „Trzeba było zażądać zaliczki” - przemknęła mi po głowie rozsądna, ale jakże spóźniona myśl. Rozczarowanie moje potęgowało się z minuty na minutę. Słoneczny poranek, bujna roślinność otoczenia, rześkie powietrze, przesycone wonią kwiatów, niosące ze sobą powiew słonych fal morskich - nic nie było w stanie wywołać we mnie estetycznych wzruszeń. Siedziałam skulona na ławce i medytowałam nad swoim położeniem, które przedstawiało mi się w coraz czarniejszych barwach. Jadąc tu cały czas byłam pewna, że natychmiast po moim przyjeździe na powitanie otworzą się przede mną drzwi wytworzonego samochodu, szofer w liberii umieści moją walizkę w bagażniku, a ja oparta na wygodnych poduszkach pomknę gładką szosą do willi moich pracodawców. Tymczasem rzeczywistość dała mi wyraźnie prztyczka w nos.

„Dlaczego nikt nie przyszedł, czyżby zaszła pomyłka w datach, a może to ogłoszenie było fikcyjne. Po prostu jakiś sadysta chciał nabrać młode dziewczęta i wysłał szereg podobnych listów. Coś za łatwo, bez zasięgnięcia referencji, przystał na moją ofertę, a ja dałam się złapać na lep łatwego zarobku” - takie myśli tłoczyły mi się do głowy, a czas wciąż mijał. Najgorsze było, że oprócz nazwy willi nie znałam bliższego adresu. Jednak po chwili zastanowienia mimo zmęczenia i ciężaru walizki ruszyłam w drogę.

Właśnie jakiś starszy, zgarbiony pan w okularach, z wielkim psem, zbliżał się do kiosku z gazetami. Zapytałam o drogę.

Starszy pan zwrócił ku mnie mroczną, poorly bruźdami twarz. Milczał dłuższą chwilę, przyglądając mi się z zainteresowaniem w oczach, ukrytych za zielenią grubych szkielec.

- Pani szuka willi „Różane Krzewy”, hm? - powiedział wreszcie z zastanowieniem.

- Tak i nie wiem, jak się tam dostać.

Pokręcił głową, jakby z niedowierzaniem, ale już wskazywał ręką najbliższą uliczkę.

- Proszę iść tędy prosto, za czerwonym domkiem skręcić w

lewo, potem cały czas prosto, aż do dużego białego domu. Tam znów skręci pani w lewo i piąty budynek to będą „Różane Krzewy”. Ale to daleko - dodał - pani się zmęczy.

- Dziękuję panu - powiedziałam i śpiesznie chwyciłam walizkę. Zdawało mi się, że mój informator długi czas patrzył w moją stronę, zanim zniknął mu z oczu.

Zmęczyłam się, i to porządnie. Kilka osób mijających mnie przyjrzało mi się z ciekawością, bowiem wyglądałam jak upiór z czerwoną twarzą, rozpiętym płaszczem i wściekłością w oczach.

„Trzeba przyznać, że bardzo gościnnie mnie witają! Dobry początek, nie ma co, oto wyniki nie przemyślanych decyzji”. Tak psioczyłam, że w końcu w żaden sposób nie mogłam odnaleźć dużego białego domu, co zmusiło mnie do ponownego pytania o drogę, tym razem jakąś panią w podeszłym wieku, w dziwnym kapelusiku na głowie.

- „Różane Krzewy” - zapiszczała starczo i znów wydało mi się, że usłyszałam w jej głosie nutę zdumienia, jakbym co najmniej zapytała o Pałac Dożów w Wenecji.

- Pani tam idzie naprawdę? - kręciła główką na zwiotczalej szyi..

- Tak, proszę pani, i pytam o drogę - odpowiedziałam, nie kryjąc zdenerwowania.

- No, jeżeli pani tam idzie, to musi się pani wrócić przynajmniej dwieście metrów, do takiego białego domu, a potem na lewo...

- Dziękuję pani bardzo. Myślę, że już trafię - odwróciłam się szybko, choć nogi, zmęczone długim bezruchem w pociągu, zaczęły odmawiać mi posłuszeństwa. Po pewnym czasie mimowolnie obejrzałam się za siebie. Starsza pani tkwiła na tym samym miejscu, śledząc mnie z natężoną uwagą.

„Czyżbym udawała się do jaskini lwów, że każdy tak wydziwia? - pomyślałam ze złością. - Co za wścibska miejscowość!”

Im bardziej się zbliżałam do celu mojej wędrówki, tym większy ogarniał mnie niepokój i chęć zawrócenia na stację. Musiałam zmobilizować wszystkie nadwątlone siły ducha, aby nacisnąć dzwonek u ozdobnej szerokiej bramy, nad którą

łukowato rozciągnięty napis głosił, że tu, a nie gdzie indziej znajduje się posiadłość Svensonów - „Różane Krzewy”.

Po moim dzwonku chwilę panowała cisza, a potem brzęczyk oznajmił, że mogę wejść, i brama rozsunęła się bezszelestnie.

Biały budynek wylaniał się zza gęstwiny drzew i krzaków, oblepionych masą czerwonych róż. Ścieżka, którą szłam, była szeroka i sprawiała wrażenie zaniedbanej. Rysowały się na niej wyraźne ślady opon samochodowych. Gdybym była mniej wścicka i zmęczona, musiałabym przyznać, że willa miała bardzo ciekawą, nowoczesną linię architektoniczną. Na prawo zauważyłam jasną taflę basenu, znieruchomiałą wśród masowo tu rozrośniętych krzaków. Na progu domu ukazała się starsza kobieta w fartuchu, która milcząco skinęła mi głową, zamknęła za mną drzwi i natychmiast zginęła w głębi korytarza.

- Proszę pani! - krzyknęłam za nią, nie wiedząc, co o tym myśleć. Nie zdążyłam jednak nic więcej powiedzieć, gdyż po błyszczących schodach, zapewne wiodących na dalsze piętra, schodził śpiesznym krokiem mężczyzna, na którego widok zadrgałoby niejedno serce kobiece. Był bowiem wysoki, szczupły, o blond włosach, lekko siwiejących na skroniach, i przejrzystych niebieskich oczach, które w tej chwili były we mnie utkwione z wyrazem zafrasowania.

- Jestem Olaf Svenson - powiedział głosem o ciepłym, wibrującym brzmieniu, podając mi rękę. - Miss Mary Milsky, prawda?

- Tak - odparłam, zaszokowana widokiem jego garnituru o nieskazitelnym kroju, bielą koszuli i błyskiem zębów.

- Ogromnie mi przykro, że nie mogłem przywieźć pani autem ze stacji, ale nastąpił niefortunny zbieg okoliczności. Mój sekretarz musiał w sprawach służbowych wyjechać niespodziewanie do Brownsville, a ja nie mogłem wyjść z domu, bo żona poczuła się gorzej - mówił szybko, z lekkim odcieniem podenerwowania. - Naprawdę mocno żałuję, że naraziłem panią na taką fatygę, i bardzo przepraszam.

- Nic nie szkodzi - powiedziałam - jakoś trafiłam.

Odebrał z moich rąk walizkę.

- Jest pani na pewno bardzo zmęczona. Proszę odpocząć,

wziąć kąpiel. Niestety, będę musiał prosić panią za pół godziny o chwilę rozmowy. Śniadanie czekać będzie na panią w jadalni - wskazał ręką pokój na lewo za wielkimi oszklonymi drzwiami. - A teraz pokażę pani jej pokój. Bardzo proszę.

Przepuścił mnie przodem i zaprowadził schodami na drugie piętro.

- To tutaj - uchylił biało lakierowane drzwi. - Proszę się rozgościć i czuć jak u siebie w domu. A więc za pół godziny.

Byłam zmęczona, głodna i oszołomiona. Zrzuciłam płaszcz i opadłam na jeden z dwóch klubowych foteli, wyściełanych czerwoną skórą, i przesiadziałam tak kilka minut bez ruchu. Znużenie zaczęło powoli ze mnie wyparowywać, więc już przytomniej rozejrzałam się wokoło. Pokój był duży i luksusowo urządzone. Dominowała w nim czerwień: szeroki czerwony tapczan, a jednocześnie biała niedźwiedzia skóra na podłodze, stojąca lampa z czerwonym, pięknym abażurem, antyczny, intarsjowany stół, także biurczko, szafa wbudowana w ścianę, nie mącąca gładkości tapet, kilka drogocennych drobiazgów, dwa surrealistyczne obrazy na ścianach, nowoczesne radio i telefon - wszystko to składało się na efektownie skomponowaną całość, mogącą zaspokoić najwybredniejsze wymagania.

W tym otoczeniu poczułam się nagle jakby w innym świecie, wyczarowanym magią dolara, zupełnie mi nie znanym, a jakże pociągającym. Ponieważ przypomniałam sobie, że pan Svenson chce ze mną rozmawiać, szybko pobiegłam do łazienki, której istnienia domyśliłam się za wpółuchylonymi drzwiami. To było dopiero cudo! Seledynowe kafelki od sufitu do podłogi, dla odmiany bladoperłowej, seledynowa wanna-basen w nią wmurowana, orgia pryszniców i natrysków rozpoczynających harce za naciśnięciem różnych przycisków, seledynowa umywalka na nieprawdopodobnie wygiętej podstawie, półka z kryształowym, monstrualnie dużym lustrem, na niej mnóstwo płynów, aerozoli w krzykliwych, oryginalnych opakowaniach.

Mimo woli nasunęło mi się porównanie z moją własną łazienką, którą dotąd w swej naiwności uważałam za ósmy cud świata.

„Muszą być cholernie bogaci” - myślałam, rozkoszując się ciepłą wodą. Włochate prześcieradło o barwie koralu, którym wytarłam się z pasją, przywróciło mi normalny obieg krwi. W pośpiechu wyciągnęłam z walizki sukienkę, przyczesalam włosy i umalowałam usta. Nie minęło nawet zapowiedziane pół godziny, kiedy zjawiłam się na dole w hallu. Drzwi od jadalni były nie domknięte, jakby zapraszając mnie do wejścia. Ogromne okno, przesłonięte tiulową firanką, wychodziło na ogród. Pokój był duży, dla odmiany zastawiony garniturem mahoniowych mebli, z puszystym dywanem. Stół dosłownie jaśniał bielą obrusa i srebrem zastawy. Nie wiedząc, co mam ze sobą robić, stałam przez chwilę nieruchomo, gdy nagle usłyszałam przyjemny głos Svensona.

- Bardzo proszę, panno Mary, o ile wolno mi tak panią nazywać. Jest pani niezwykle punktualna.

Stół był tak niesamowicie obciążony różnymi przysmakami, jakby miał przy nim obiadować szwadron wojska. W końcu nie wiedziałam, od czego zacząć.

- Nie będę pani przeszkadzać - powiedział Svenson i lekko się uklonił. - Gosposia poda pani kawę.

Rzeczywiście w tej samej chwili kobieta w fartuchu, którą już poprzednio widziałam, wniosła tacę z dymiącymi dzbanuszkami i milcząc postawiła ją na stole. Poruszała się ciężko, ale sprawnie. Na czoło miała głęboko nasuniętą białą chustkę i oczy spuszczone. Trudno mi było dostrzec, jakie są rysy jej twarzy, ale zdawało mi się, że mają wyraz zacięty i ponury. Zniknęła tak bezszelestnie, jak się pojawiła. Zostałam sama, pełna sprzecznych myśli, w ciszy tykającego zegara z brązu. Apetyt nie pozwolił mi jednak ma medytacje. Byłam tak głodna, że w przeciągu paru minut zrobiłam niezłe spustoszenie na stole.

„Pomyśli, że jestem głodomór - mitygowałam samą siebie, wtapiając zęby w soczystą pomarańczkę - ale trudno, niech i tak będzie”.

Svenson zjawił się w tym samym momencie, kiedy przestałam jeść, jakby obserwował mnie za pomocą fotokomórki. Gestem uprzejmego gospodarza wskazał mi jeden z

foteli o fantastycznych kształtach, w który zapadłam jak w otchłań bez dna, a sam usiadł naprzeciwko.

- Jeszcze raz bardzo panią przepraszam, że trudzę panią tak zaraz po męczącej podróży, ale chciałbym od razu zapoznać panią z zakresem jej obowiązków i wyjaśnić pewne sprawy, które mogłyby pani wydawać się na pozór niezrozumiałe - zaczął splatając nerwowo ręce. Dłonie miał wypielegnowane, o kształtnych palcach, ale od razu spostrzegłam, że są wiecznie w ruchu, że ten człowiek musi być czymś wewnątrznie podminowany, mimo pozorów spokoju. Na czwartym palcu prawej ręki nosił duży pierścień z rubinem, dziwnie kontrastujący swą jarmarczną niemal krzykliwością z wytworną elegancją ubioru.

- Dając ogłoszenie nie kryłem, że w domu znajduje się chora osoba - moja żona. Otóż pani obecność tutaj i praca jest wyłącznie z nią związana. Niech pani nie myśli jednak, że zaangażowałem panią w charakterze pielęgniarki i że chcę ją przykuć do łóżka chorej. Nigdy bym nie wymagał tego od młodej osoby z wyższym wykształceniem. Obowiązki pani będą ściśle odpowiadać jej kwalifikacjom zawodowym. Żeby pani to wytłumaczyć, muszę jasno zobrazować stan faktyczny. Żona moja kilka lat temu uległa bardzo ciężkim obrażeniom, spowodowanym wypadkiem samochodowym. Miało to miejsce w Szwecji, w czasie jednej z naszych podróży po Europie. Była bliska śmierci, przeszła szereg skomplikowanych operacji, które pozostawiły trwałe urazy, zarówno fizyczny, jaki psychiczny. Niestety jest nieuleczalnie chora i musi prowadzić zupełnie odosobniony tryb życia, w całkowitej izolacji od świata - głos Svensona był stłumiony, a chwilami nawet drżący. Widocznie było to dla niego bolesne i stanowiło nie zabliźnioną ranę. Przyglądałam mu się ze współczuciem, jednocześnie stwierdzając, że jeśli Casanova żyłby w XX wieku - mógłby mieć śmiało powłokę cielesną Svensona.

- Na pewno nie rozumie pani jeszcze związku, jaki będzie miała pani praca z chorobą mojej żony - podniósł na mnie swe jasnoniebieskie oczy, które zapewne umiały rzucać

urzekające spojrzenia, ale teraz były zimne i zgaszone.

- Niewykluczone jest, że wiele rzeczy może panią zdziwić, dlatego od razu stawiam sprawę otwarcie. Margaret, to jest moja żona, od lat nie opuszcza swoich pokoi, nie znosi kontaktu z żadnym obcym człowiekiem, nie widuje nikogo oprócz mnie, profesora, Szweda, który ją operował, oraz doktor Ann Jörson, byłej asystentki profesora, która jeszcze w Szwecji przeszła pod jego kierunkiem odpowiednie przeszkolenie w zakresie opieki nad chorymi, dotkniętymi komplikacjami pourazowymi o podłożu psychoneurologicznym. Specjalnością doktor Jörson są choroby serca i układu krążenia. Od kilku lat pracuje w zamkniętej klinice kardiologicznej koło Brownsville i tam mieszka. Ze względu na konieczność stałej obserwacji stanu serca mojej żony - doktor Jörson przeprowadza raz na tydzień badanie, odbywające się w specjalnych warunkach, ściśle według instrukcji profesora, oraz zapisuje szereg leków warunkujących dalsze życie pacjentki. Profesor w miarę potrzeby oczywiście przyjeżdża tutaj ze Szwecji na konsultacje. Istotą sprawy jest, że lekarstwa muszą być stale świeże, nie mogą stać dłużej niż dwadzieścia cztery godziny. W tym celu zainstalowałem w moim domu specjalne małe laboratorium, w którym według recept profesora i doktor Jörson trzeba je przygotowywać. To właśnie będzie należeć do pani jako dyplomowanej farmaceutki, miss Milsky. Pani zadaniem będzie, aby były zawsze w pogotowiu. Żadna apteka nie byłaby w stanie zapewnić mi tak ciągłej dostawy, tym bardziej że może zajść potrzeba natychmiastowego działania w krytycznych momentach. Do tej pory lekarstwa sporządzane były w aptece kliniki, w której zatrudniona jest doktor Jörson, pod jej osobistym nadzorem, i stamtąd przywożone. Nie będę jednak tań przed panią - tu głos Svensona znów zadrżał - że stan zdrowia mojej żony uległ w ostatnich miesiącach znacznemu pogorszeniu, dlatego zdecydowałem się na uruchomienie laboratorium na miejscu i zaangażowanie wykwalifikowanej osoby. To jest zwykła formalność, panno Milsky, ale czy mogę poprosić o okazanie dyplomu?



- Ależ naturalnie - zaczerwieniłam się mimo woli - mam go na górze w pokoju.

- Dobrze, potem - Svenson podniósł rękę do czoła, jakby chciał uporządkować nawał tłoczących czaszkę myśli. - Cóż jeszcze? Aha, będę miał kilka próśb do pani. Prawie codziennie, o ile jest to możliwe, zabieram żonę na przejażdżkę samochodem. Jedziemy daleko nad morze-to jest konieczne dla jej zdrowia. Otóż bardzo proszę, pod żadnym pozorem, nie podchodzić do nas, kiedy wychodzimy z żoną z domu. Ona nie może stykać się z żadną osobą obcą. Skutki mogłyby być wręcz katastrofalne, nawet w postaci gwałtownego szoku. Takie jest surowe zalecenie profesora.

- Czy żona pana nie wie nic o moim przyjeździe? - zapytałam ze zdziwieniem, które Svenson natychmiast odczuł.

- Przypuszczałem, że nie wszystko będzie dla pani zrozumiałe. I tak, i nie. Choroba jej polega na zmianach w psychice, spowodowanych kilkakrotną operacją mózgu. Jeden wstrząs może spowodować śmierć. Muszę zachowywać jak najdalej idącą ostrożność. Pani wie, trudno mi jest o tym mówić. Ta ustawiczna walka o jej życie trwa już tyle lat... - zamilkł i spuścił głowę. Zawstydziałam się własnego nietaktu. Jak bardzo ten człowiek musiał kochać żonę, jak głęboko cierpiał.

- Muszę pani powiedzieć poza tym - głos jego znów brzmiał ciepło i spokojnie - że jestem człowiekiem interesu. Zarządzam bankiem w Brownsville, który jest własnością mojej żony, w związku z tym codziennie jeżdżę do miasta. Żona moja zostaje wtedy sama. Zwykle spędza czas siedząc przy oknie. Nie należy wtedy zakłócać jej spokoju. To bardzo ważne. Niech pani nie usiłuje nawiązywać z nią kontaktu. Ta samotność jej nie szkodzi. Oczywiście, gdyby zaszły jakieś niespodziewane komplikacje, będzie pani mogła natychmiast zawiadomić mnie telefonicznie. Ograniczam zresztą do minimum moją nieobecność w domu, większość spraw handlowych załatwiam za pośrednictwem mego sekretarza i plenipotentą, Stevena Maxwella, który tu często przyjeżdża. Na pewno pozna go pani wkrótce. Bardzo często pracujemy wspólnie w domu

wieczorami. Co zaś do gosposi - to muszę panią powiadomić, że jest ona głuchoniema. Niech panią nie dziwi jej szorstki sposób bycia - to nieoceniona osoba. Od czasu wypadku Margaret zarządza naszym gospodarstwem, jest rzetelna i uczciwa. Mogę na niej całkowicie polegać.

- A teraz, jeśli pani pozwoli - Svenson podniósł się z fotela - pokażę pani laboratorium, w którym będzie pani pracować. Przepuścił mnie znów przodem i małym korytarzykiem, wiodącym z hallu, wprowadził do prawdziwego sanktuarium wiedzy farmaceutycznej.

Wszystko tu było nowe, tak uporządkowane, tak lśniące, że stanęłam oszołomiona. Narzędzia, wagi, mikroskopijne odważniki błyszczały za szkłem szaf. Przeróżne środki farmaceutyczne stanowiły istną galerię pokazową dla znawcy w tej dziedzinie. Chyba na oko niczego tu nie brakowało. Zauważyłam komplety odczynników, przy pomocy których można badać tożsamość leków i stopień zanieczyszczenia, przyrządy do miareczkowania, sączi, bibuły do filtrowania, a nawet szafki Hausena do produkowania leków ocznych. Nie brakowało też aparatów sterylizacyjnych działających pod zwiększonym ciśnieniem. Dostrzegłam wiele strzykawek, ampulek i tuziny chyba białych fartuchów w szafach z oszklonymi drzwiami.

Svenson zdawał się nie dostrzegać mojego zaskoczenia.

- Dzisiaj po południu dostarczę pani zestaw leków do przygotowania na jutro - powiedział - teraz proszę odpocząć i o niczym nie myśleć. Na obiad proszę schodzić codziennie o czternastej, kolacja jest o dziewiętnastej. - Doprowadził mnie do schodów.

- Oczywiście wolnym czasem może pani dysponować według swego uznania. Nie chciałbym, aby się pani czuła skrępowana. Cały ogród łącznie z basenem jest do pani dyspozycji. Jedno mam tylko życzenie, do którego będzie pani uprzejma się dostosować - głos jego nabrał nieoczekiwanie ostrego brzmienia. - Proszę nie przyjmować żadnych wizyt na terenie naszej posiadłości. To jest konieczne ze względu na Margaret i proszę o tym zawsze pamiętać. - Odczekał chwilę, jakby

badając, czy słowa te wywarły na mnie należyte wrażenie i dotarły do głębi mojej świadomości. - W szufladzie biurka znajdzie pani zaliczkę na poczet swego wynagrodzenia. To wszystko na razie. Życzę dobrego odpoczynku. - Svenson skłonił się i oddalił w stronę jadalni, ja zaś w stanie częściowego zamroczenia władz umysłowych poszłam do swego pokoju.

Pierwszym odruchem było wyciągnięcie szuflady biurka. Na samym wierzchu leżało pięć nowych, równo ułożonych studolarówek. Widok ten znacznie poprawił moje samopoczucie i zregenerował nadwichniętą równowagę ducha. Machinalnie otworzyłam okno. Powiew świeżego, aromatycznego powietrza wpadł do wnętrza. Wyjrzałam na ogród rozciągający się wokół domu. Ogólny jego stan sprawiał wrażenie pewnego zaniedbania, tylko niezliczona ilość krzaków róż natrętnie narzucała oczom barwę purpury, dominującą nad innymi kolorami. Niedaleko za ogrodem szumiało morze. Widać było jego błękit przeświecający zza krzaków.

Rzuciłam się na tapczan, nagle zmęczona i spragniona snu, ale nie mogłam zasnąć. Musiałam najpierw przemyśleć wszystko, co mi się dzisiaj wydarzyło. A więc jestem w pięknym, luksusowym domu u bardzo bogatych ludzi.

Mam przygotowywać lekarstwa dla nieszczęśliwej, chorej kobiety, nad bezpieczeństwem której czuwa diabelnie przystojny i kochający mąż. Ileż on może mieć lat? Trzydzieści sześć, siedem. A ona, Margaret, bogata - a tak biedna, czy jest młoda czy stara, piękna czy brzydka? Nie, stanowczo nie powinnam się w ogóle angażować emocjonalnie w całą tę historię. Ostatecznie przyjechałam tu tylko, żeby zarobić pieniądze, dużo pieniędzy i nic więcej mnie nie obchodzi. Dziwna rzecz, że ani razu nie pomyślałam o Janku. I chyba zgubiłam po drodze bukietek fiołków. Janek, czy on o mnie myśli? A teraz spać, spać...

Obudził mnie warkot samochodu. W zielonym „Jaguarze” zamajaczyła sylwetka Svensona pochylonego nad kierownicą. A

więc w domu zostałam tylko ja, głuchoniema gosposia i chora. Zegarek wskazywał 12.30 - miałam więc trochę czasu do obiadu. Wypakowałam wszystkie swoje rzeczy, które w przepastnych otchłaniach szafy wyglądały znikomo i nędznie. Dla dodania sobie otuchy postawiłam na biurku mój stary budzik, dolary przezornie schowałam do torebki i wyszłam z pokoju z zamiarem zrobienia małego rekonesansu. Korytarz drugiego piętra wysłany był miękkim wiśniowym chodnikiem i ozdobiony wysokimi, stojącymi na podłodze wazami z cienkiej porcelany. Uchylone drzwi jednego z pokoi zachęcały do wejścia. Przepych tego wnętrza zrobił na mnie silne wrażenie. Była to biblioteka od góry do dołu wypełniona regałami pełnymi bogato oprawnych książek. Meble tu były ciężkie, brązowe, ze złoceniami, dywan mocno wiśniowy, prawie brązowy. Zamożność gospodarzy wyzierała z każdego drobiazgu, z beczennych sztychów, gobelinu na ścianie, dość bezładnie poustawianych kryształów i delftów. W rogu pokoju widniał wielki ekran prawie zupełnie płaskiego telewizora, który swoją nowoczesnością kontrastował z całokształtem urządzenia. W sumie-było uroczyście, ale i nieprzytulnie - tak jakby nikt tu nigdy nie przesiadywał, a wszystko było tylko na pokaz. Ponieważ drzwi od pozostałych pokoi były zamknięte, zesłam na pierwsze piętro. Tu prawdopodobnie mieściły się prywatne apartamenty państwa Svenson, gdzie w swoim wiecznym odosobnieniu przebywała nieszczęsna Margaret. Zdziwiło mnie, że pokój przylegający do hallu był na roścież otwarty. Wrodzona ciekawość popchnęła mnie do jego zwiedzenia. Był to niewątpliwie gabinet pana domu, urządzone wykwintnie i niecodziennie. Meble całe czarne, z jakiegoś egzotycznego drzewa: inkrustowane biurko, fotele, kanapa, stół, szafy, a wszystko to wykwitało na tle jasnoblękitnego dywanu, podkreślającego niesamowitą i krzyżącą czerni umeblowania. Nie mogłam oprzeć się pokusie obejrzenia z bliska kolekcji figurek z sewrskiej porcelany, ustawionych za szkłem serwantki. Musiała być warta krocie. Obok serwantki - duże białe drzwi, rysując się plamą wśród czerni - wiodły do następnych pokoi. Nagle zdało mi się, że usłyszałam za nimi

jakiś odgłos, jakby ktoś wolno, mozolnie posuwał się po podłodze. Doznałam tak niemilego uczucia, że zamarłam w bezruchu.

I wtedy usłyszałam ciche wołanie, przytłumione i dobiegające jakby z oddali: - Olaf, Olaf, Olaf... - Był to kobiecy głos, nabrzmiały smutkiem i rozpaczą.

Nie mogłam tego słuchać. Zbiegłam prędko ze schodów, do ogrodu, nagle spragniona słońca i powietrza. W ogrodzie panowała cisza południowa, nasycona ciepłem i rozlewnością. Krzaki ugięły się pod ciężarem świeżo rozkwitłych, wiosennych róż. Zdawało się, że świat cały zastygł w jakiejś dziwnej martwocie, a ja znajduję się gdzieś w innym wymiarze czasu, wypchnięta poza nawias normalnego, nowoczesnego, codziennego życia, które toczyło się wartko za sztachetami willi. Poczulałam nagły bunt i zapragnęłam natychmiast spakować walizkę, pozostawić pożegnalny list panu Svensonowi i uciec daleko, aby nie dać się wciągnąć w zakłętą koło tragedii, rozgrywającej się za tymi murami.

„No cóż, wrócisz i co potem? - głos zdrowego rozsądku przyprowadził mnie do równowagi. - Zobaczysz, jak Janek cię wyśmieje. Jesteś egzaltowana gęś, moja miła Marysiu. Już ci się nudzi, już ci się nie chce pracować. Przecież oczywiste jest, że gdyby pani Svenson cieszyła się dobrym zdrowiem, nigdy by cię tu nie było i uroczy pan Svenson nie wciskałby ci garściami dolarów do kieszeni. Jeżeli możesz się poza tym przydać pewnej nieszczęśliwej kobiecie i przynieść ulgę w jej cierpieniach - to fakt ten powinien być jeszcze dodatkowym bodźcem mobilizującym cię do pracy. Wstydź się, miss Milsky, i dziękuj opatrności za to, że znalazłaś złotodajne źródło zarobku. A pozbądź się tych swoich niemądrych urojeń, które do niczego dobrego nie prowadzą”.

Zawróciłam do domu już spokojna i pełna optymizmu (zwykły przeskok nastroju u histeryczek). Wchodząc na taras, spojrzałam mimo woli w górę. Na pierwszym piętrze, za firanką, rysowała się wyraźnie sylwetka kobiety stojącej nieruchomo, z ręką opartą na parapecie okna.

## Rozdział trzeci

Zestaw leków, aplikowanych pani Svenson przez jej lekarza domowego doktor Ann Jörson, składał się z pozycji bardzo różnorodnych, o skomplikowanej recepturze, wymagającej precyzji wykonania przy zachowaniu jak najdalej idącej ostrożności. Zdawałam sobie jasno sprawę, że przedawkowanie nawet minimalnej ilości jednego ze składników mogłoby spowodować tragiczne skutki. Przez pierwsze kilka dni niemal napociłam się ze strachu, aby wywiązać się najskrupulatniej ze swoich obowiązków, ale wkrótce nabrałam wprawy, ponieważ w zasadzie lekarstwa się powtarzały. Były to przeważnie leki psychotropowe, rozkurczowe, przeciwbólowe z zawartością potężnych środków uśmierzających, nasercowe oraz wzmacniające. Szczególnie dużo uwagi poświęcałam przygotowywaniu naparów nasercowych z ziół, w których dominującą rolę odgrywały: digitalis, adonis vernalis, konwalia i waleriana. Ze względu na to, że przetwory ziołowe ulegają szybkiemu rozkładowi - musiały być stale w stanie najwyższej świeżości, tak jak i pewne organopreparaty hormonalne. Dużo też czasu zabierało mi ampułkowanie zastrzyków z glukozy, cebionu i witaminy C. Gospodarując w swoim śnieżnobiałym laboratorium, operowałam z niemalą satysfakcją znakomitymi przyrządami, surowcami, w jakie było absolutnie doskonale wyposażone. Pan Svenson dawał mi codziennie recepty i osobiście odbierał lekarstwa i zastrzyki układane przeze mnie na specjalnych sterylizowanych tacach. Nieraz zastanawiałam się, jak wątły płomień życia tlił się w umęczonym organizmie Margaret Svenson, skoro konieczne było nieustanne jego podsycanie tak silnymi środkami farmakologicznymi, z drugiej zaś strony niejeden ludzki organizm ugiąłby się pod naporem tego typu lekarstw, nie wytrzymując ich działania.

Przywiązanie pana Svensona do żony i siła jego poświęcenia wydawały się wprost nienaturalne. Całe jego życie skoncentrowane było wokół chorej i ześrodkowane na jej

leczeniu i pielęgnowaniu. Od rana znikał w głębi pokojów zajmowanych przez niego wraz z żoną, osobiście robił zastrzyki, karmił, podawał lekarstwa w ściśle określonych godzinach. W sprawach urzędowych wyjeżdżał tylko w koniecznych przypadkach, załatwiając wiele przez telefon. Często też pracował wieczorami w swoim gabinecie. Jak dotąd nie poznałam jeszcze jego sekretarza i plenipotentą, Stevena Maxwella, ale pobyt mój dopiero trwał niecałe dwa tygodnie.

Natomiast doktor Ann Jörson dwukrotnie już wizytowała chorą. Svenson przywoził i odwoził ją swoim samochodem. Zdążyłam zauważyć, że była młodą, chyba trzydziestoletnią osobą o gęstych włosach i nerwowych ruchach. Wbiegała do domu nie zatrzymując się ani na chwilę, jakby jej czas odmierzał niewidzialny i czujny stoper, znikwała w mieszkaniu Svensonów i po pewnym czasie, w tym samym tempie, nie odwracając nawet głowy, wychodziła i wsiadała do auta. Pod płaszczem nosiła biały fartuch lekarski i sprawiała na mnie wrażenie, jakby w całości utkana była z bieli i czerni, bo i twarz jej, która mignęła mi w przelocie, wydała mi się nadnaturalnie blada, a oczy ciemne i błyszczące. Zdziwiło mnie to nieco, że nie zamieniła ze mną ani jednego słowa, gdyż wymiana poglądów w sprawie przyrządzania tak silnych leków byłaby dla mnie niezmiernie pożyteczna, tym więcej, że właściwie spodziewałam się od niej jakichś zaleceń czy wskazówek, a i sama pragnęłam w ten sposób rozproszyć pewne wątpliwości, które nasuwały mi się jako świeżo upieczonej farmaceutce. Ponieważ jednak doktor Jörson nie zdradzała najmniejszej chęci zawarcia ze mną znajomości, postanowiłam nie narzucać jej swojej osoby i uwag, które mogłaby uznać co najmniej za niestosowne. W każdym razie lekarka zostawiała Svensonowi recepty, których realizacja, przy moim braku doświadczenia, nie była zadaniem łatwym.

Zgodnie z zapowiedzią każdego popołudnia pani Svenson wyjeżdżała z mężem autem na spacer. Stosując się do polecenia mego chlebodawcy znikalam wtedy z horyzontu, aby swoim widokiem nie drażnić chorej, jednak ciekawość była zbyt silna i z okna mego pokoju, jakby stworzonego na tego rodzaju punkt

obserwacyjny, przyglądałam się niejednokrotnie scenie ich wyjazdu. Miał on bowiem jakby stały rytuał, który nie mógł być niczym zamącony. Drzwi od mieszkania Svensonów otwierały się, po czym pan Svenson zamykał je na klucz (przynajmniej takie wrażenie odnosiły moje czujne uszy). Potem dobiegały mnie odgłosy ciężkich, powolnych kroków chorej, podtrzymywanej przez męża przy schodzeniu ze schodów. Wreszcie ukazywali się na progu domu. Ona, szczupła, szczelnie owinięta szalem, w sportowym kostiumie, zwiślała u jego troskliwego ramienia. Widziałam wymykające się spod kapelusza jasne włosy, bladą twarz w ciemnych okularach, ale nie mogłam dostrzec wyraźnie jej rysów. Szła powoli i z trudem, prawie nie odrywając nóg od ziemi. Do samochodu mąż wnosił ją na rękach i sadzał pieczołowicie w jego głębi. Kiedy odjeżdżali - widać było zawsze jej profil rysujący się za szybą lub głowę opartą z gestem zmęczenia na poduszkach wozu. Spacer trwał około dwóch godzin. Powrót do mieszkania odbywał się w identycznie taki sam sposób. Svenson obejmował nieraz żonę ramieniem i podpierał ją przy wchodzeniu na schody. Czynił to z taką uwagą i oddaniem, że wzbudzał we mnie mimowolny szacunek. Przecież ten mężczyzna w sile wieku, o niezwykle atrakcyjnym wyglądzie, był właściwie niewolnikiem przykutym do tego szczątka człowieka, prowadził odosobnione życie, uzależnione wyłącznie od każdego drgnięcia chorego ciała żony.

Po paru dniach pobytu, nieco oswojona z moim niecodziennym otoczeniem, napisałam pierwszy list do Janka, starannie odbarwiając go z wszelkiego sentymentalizmu.

„ A więc, mój drogi detektywie - donosiłam - omyliłeś się w sposób absolutny: Nikt mnie nie uwiódł, nie porwał, nie utoczył ani jednej kropli mojej cennej krwi. Nie ma wampirów, demonów, tylko przerażająco przystojny mąż-pan domu - beznadziejnie kochający nieuleczalnie chorą żonę. Jestem już farmaceutką całą gębą. Codziennie preparuję stosy lekarstw, których pochłonięcie mogłoby zabić smoka , a mimo to jest niezbędne do utrzymania przy życiu pani Svenson (oby żyła jak najdłużej, bo przecież moja obecność tutaj jest wyłącznie



związana z jej osobą, i przysparzała mi dolarów, które już miło szeleszczą w mojej torebce). Mam tak szalowy apartament z łazienką, że nic już nie jest w stanie mi zaimponować na świecie poza pałacem maharadzy Esznapur. Ponadto objadam się od rana samym kawiozem, łososiem i indyczkami, czego i tobie z całego serca życzę. Mimo to często myślę o Pittsburgu, ale nie wiem dlaczego. Napisz, jak ci się powodzi”.

Odpowiedź przyszła bardzo prędko, nakreślona mocnym, zdecydowanym pismem Janka. Otwierałam trochę drżącymi rękami.

„Cześć, multimilionerko. Wzruszyłaś mnie niezmiernie opisem fantasmagorycznych bogactw, pośród których tarzasz się od rana do wieczora. Na twoim miejscu nie wierzyłbym tak bezkrytycznie w cuda i mimo wszystko radzę ci zamykać się porządnie na klucz przed snem i kłaść rewolwer pod poduszkę. Nie wiadomo, czy ten krociowy adonis, czyli mąż doskonały, nie jest jednak szefem jakiegoś dobrze zamaskowanego gangu, mającego względem twojej osoby jakieś bliżej nie określone zamiary. Nie bierz sobie jednak zbyt do serca tych rad i ciesz się życiem, jeżeli nadarza się okazja. A propos, jak z twoim zezem, czy nie przeszkadza ci w fabrykowaniu tych cudotwórczych lekarstw?...”

Dalszy ciąg listu utrzymany był mniej więcej w tym samym stylu, tylko na zakończenie Janek napisał: „Wyobraź sobie, że nie zdążyłem dotąd założyć haremu, i to nie tylko z braku kandydatek. Kto wie, czy w końcu nie przerzucę się na monogamię. Napisz, co o tym myślisz? Będę czekał z bijącym sercem przy skrzynce na listy”.

Zrobiło mi się naraz tak lekko i wesoło na sercu, że postanowiłam skorzystać z pięknej pogody i wykąpać się po raz pierwszy w basenie, który od dawna nęcił mnie przezroczystą, szmaragdową głębią. Zauważyłam, że woda w basenie za pomocą automatycznych urządzeń jest stale zmieniana, choć nikt z mieszkańców tego domu chyba od dawna nie korzystał z kąpeli. Mimo to pośród dziko rosnącej trawy były markizy, a wygięty łuk trampoliny świadczył o sportowych upodobaniach gospodarzy. Jak stwierdziłam - organizm mój stanowczo

domagał się wytchnienia. Z poczucia obowiązku dotąd jeszcze nie wychodziłam na miasto, ani razu też nie byłam nad morzem, choć szum fal wieczorami, kiedy cały dom pogrążony był we śnie, docierał do mojego pokoju. Praca w laboratorium początkowo zabierała mi kilka godzin dziennie, potem, kiedy Svenson wyjeżdżał, czułam się dziwnie związana z tą samotną kobietą, która niezmiennie w czasie nieobecności męża siadywała przy oknie i spędzała tam cały czas do jego powrotu. Zdawało mi się, że powinnam nad nią czuwać, choć takiego polecenia nie otrzymałam i prawdopodobnie w żaden sposób nie mogłabym jej przyjść z pomocą, gdyby zaszła taka potrzeba.

Jednak okno pokoju pani Svenson w sposób magnetyczny przyciągało mój wzrok. Widok prawie zawsze był taki sam: pochylona głowa rysowała się za firanką, przygarbione plecy nosiły piętno znużenia. Siedziała, podpierając się na ręce, godzinami, czasami tylko zmieniała układ rąk albo nagle wstawała, ale zaraz potem opadała na fotel. Oczywiście było, że nic ją nie obchodzi otaczający świat.

Takie obserwacje chorej kobiety z natury rzeczy nie mogły napawać optymizmem, więc też dla odprężenia, z uczuciem fizycznej radości, wskoczyłam do basenu. Przepląnąłam go kilkakrotnie wzdłuż i wszerz, czując ulgę po tych dniach intensywnej pracy, pełnej napięcia nerwowego, dniach, które były bądź co bądź sprawdzianem moich umiejętności zawodowych. Ileż razy przecież z trudem musiałam powstrzymać drżenie rąk, aby nie przedawkować któregoś ze składników lekarstw o bardzo silnym działaniu toksycznym. Byłam całkowicie odpowiedzialna za to kruche, wiszące na wątlej nici życie ludzkie.

„Nie, jednak atmosfera tego domu nie wpływa dodatnio na moje nerwy” - pomyślałam otrząsając się z resztek wody na trawie.

- Nie wiedziałem, że piękne nimfy nawiedziły „Różane Krzewy” - odezwał się nagle za mną wesoły, silny głos męski. Oparty o drzewo, stał ciemnowłosy mężczyzna, patrząc z uśmiechem w moją stronę. - Domyślałam się co prawda, że to pani jest tym aniołem opatrnościowym tego domu.

Przypuszczam też, że będziemy się często widywać. Steven Maxwell - do usług.

„No, na brak urodziwych mężczyzn jakoś nie mogę się uskarżać w tym domu” - przemknęła mi myśl, kiedy podawałam mokrą jeszcze rękę nowemu znajomemu, Maxwell był bowiem typem sportowca o muskularnych ramionach, a ponadto twarzą szczerą i otwartą, o regularnych rysach budził mimowolne zaufanie.

- Słyszałem od Olafa, że jest pani tytanem pracy i arcy-mistrzem od maści, pigułek i innych trucizn. W ogóle same superlatywy - mówił dalej, rozciągając się bez skrepowania obok mnie na trawie. W przeciwieństwie do Svensona, który był okazem neurastenika, promieniowało od niego zadowolenie z życia, wywołane zapewne dobrym zdrowiem i pogodnym usposobieniem. Na tle tego samotnego, przez nikogo nie odwiedzanego domu, przesiąkniętego smutkiem, graniczącym niemal z beznadziejnością, wydał mi się wprost niezwykłym zjawiskiem. Przez cały czas mojego pobytu w „Różanych Krzewach”, choć nie trwał jeszcze długo, tak dalece odwykłam od widoku normalnego człowieka, że poczułam radość z faktu, że Maxwell jest taki, jaki jest: wesoły, zdrowy, ulepiony ze zwykłej gliny. Dotąd wydawało mi się, że jestem tu zupełnie sama, bo niemej, bezszelestnie poruszającej się gospodyni, która zresztą zadziwiająco sprawnie zarządzała całym domem, nie mogłam brać pod uwagę.

- Cieszę się, że moja praca znalazła uznanie w oczach pana Svensona - odpowiedziałam, wcielając się od razu w rolę anioła opatrznosciowego za tysiąc dolarów uposażenia miesięcznie.

- Znalazła, i to duże - podchwycił z uśmiechem Maxwell. - Pani wie, Olaf znajdował się już na skraju wyczerpania nerwowego. Ale, na litość Boską, niech się pani nie zamęcza, niech pani żyje jak każda młoda, ładna dziewczyna. Przecież nie można pani tu więzić. Czuję, że będę musiał któregoś wieczoru porwać panią na dancing do Brownsville, o ile naturalnie nadobna miss pozwoli.

- I o ile pozwoli pani Maxwell - podchwyciłam zaczepnie.

- Brawo, świetnie, oto celny strzał w kierunku ustalenia mego stanu cywilnego - Steven roześmiał się pełną piersią. - Otóż pani Maxwell jak dotąd nie istnieje, mam trzydzieści siedem lat i jestem starym kawalerem. No, ale cóż zrobić. Wszystkie kobiety, którymi interesowałem się, dały mi kosza. Ale ja jestem nieustraszony, niczym się nie zrażam i próbuję dalej. Jeżeli jednak oświadczę się pani i także zostanę odrzucony, to nie wiem, czy to przeżyję.

Śmieliśmy się oboje, a ja pierwszy raz od wyjazdu z Pittsburga poczułam, że nabieram chęci do tańca, do flirtu i że istnieje nadal inny, pełen powabu świat za bramą Willi „Różane Krzewy”.

W tej chwili na żwirze zazgrzytały opony zielonego „Jaguara” i przed dom zajechał Olaf Svenson. Byliśmy tak zajęci wesołą rozmową, że omal tego nie zauważyliśmy. Svenson zręcznie wysiadł z samochodu, jego jasne włosy zabłysły w słońcu jak złoty kask. Nie wiem dlaczego, wydało mi się, że zostałam złapana na gorącym uczynku zaniedbywania obowiązków służbowych, i zawstydziłam się swojej beztroski, swego stroju kąpielowego, tak nie licującego z nieszczęściem tego człowieka.

Svenson uklonił się z daleka i wszedł pośpiesznie do domu.

- Zjawił się nasz tyran - powiedział z komicznym grymasem Maxwell. - Niestety, panno Mary - widzi pani, nawet znam pani imię - muszę panią na razie opuścić. Business is business. Ale niech się pani nie martwi, ani na chwilę nie przestanę o pani myśleć. O zgrozo, ileż bezsennych nocy mnie przez panią czeka, będzie pani od tej pory często musiała znosić moje towarzystwo.

Odszedł sprężystym krokiem, pozostawiając mnie w pogodnym nastroju. Tego dnia Maxwell pozostał w gabinecie Svensona. Jego obecność ośmieliła mnie w jakiś sposób, tak że po południu wybrałam się na spacer nad morze. Leżąc na plaży, o tej porze opustoszałej, wpatrzona w łagodnie przelewające się fale, o kolorycie zbliżonym do intensywnego szafiru nieba, czułam się niemal szczęśliwa.

Tego wieczoru Svenson, zlecając mi jak zwykle przygotowanie zestawu leków dla żony, odezwał się nagle:

- Bardzo pragnąłbym, miss Mary, aby pani się u nas niczym nie krępowała. Proszę jak najczęściej korzystać z basenu i ze spaceru. Wiem, że życie ma swoje prawa i że pani nie może być przytłaczana moimi osobistymi sprawami, które nie należą do wesołych. Proszę też nie zapominać, że w bibliotece na górze jest telewizor całkowicie do pani dyspozycji, bo niestety, jak pani wiadomo, ja nie będę mógł pani dotrzymywać towarzystwa.

Podziękowałam zdziwiona jego uprzejmością i nagłą troską o moją osobę. „Prawdopodobnie Maxwell jest inspiratorem tego wystąpienia” - pomyślałam i moja sympatia do tego przyjemnego, zdrowego psychicznie i fizycznie człowieka wzrosła.

- Jeżeli pani ma jakieś specjalne życzenia, miss Milsky, chętnie je spełnię - ciągnął dalej Svenson, a jego szczupłe ręce, oparte na blacie stołu, lekko drgały.

- Dziękuję panu, naprawdę niczego mi nie brak - byłam coraz bardziej ujęta zainteresowaniem z jego strony, stwierdzając w duchu jednocześnie, że ciepły, wibrujący dźwięk jego głosu, nieskazitelnie piękna twarz, szokujące eleganckie ubrania fascynują mnie z coraz większą siłą, choć było to specjalnego typu urzeczenie, polegające nie tylko na podziwie dla jego urody, ale głównie dla siły charakteru, która pozwalała mu na tyle wyrzeczeń w imię miłości małżeńskiej, przy katastrofalnym stanie nerwów utrzymywanych w ryzach nadludzkim wysiłkiem.

Od tego czasu powoli zaczęłam przyzwyczajać się do wychodzenia na miasto. Najpierw były to drobne zakupy, wyprawy po gazety, tygodniki, potem mała włóczęga po licznych malowniczych uliczkach, ustrojonych eleganckimi nowoczesnymi willami i domkami o uroczej staroświeckiej architekturze. Zastanawiało mnie tylko zainteresowanie, jakim miejscowi ludzie obdarzali moją osobę. Wszędzie ścigały mnie zaciekawione spojrzenia, słyszałam urywane w pół zdania, gdy zjawiałam się w jakimś sklepie, i zamierające wprost na ustach pytania, zanim ktokolwiek zdołał je oblec w słowa. Często widywałam starszego, zgarbionego pana z psem, tego samego,

który udzielił mi pierwszej informacji o „Różanych Krzewach”. Było to dla mnie żenujące, że przystawał na mój widok. Sprawiało wrażenie, że stale waha się, czy do mnie podejść. Podzieliłam się tym spostrzeżeniem z Maxwellem, z którym zawarłam zaczepno-odporne przymierze, oscylujące pomiędzy flirtem a koleżeńską przyjaźnią.

- Niech się pani nie dziwi, to jest małe miasteczko - mówił. - Ojciec Margaret Svenson był tu znaną osobistością. Tragiczna choroba jego córki, całkowita izolacja od życia jest przedmiotem licznych uwag i komentarzy. Ten starszy pan, który tak bacznie się pani przygląda, to bliski przyjaciel Johna Wilsona, ojca żony Olafa, emerytowany sędzia. Ale, moja niebiańska nimfo, nie warto sobie zaprzętać tym główki. Kiedy się pani wreszcie zgodzi pójść ze mną na randkę, bo wprost usycham z nie odwzajemnionej miłości? - zakończył zwykłą żartobliwą śpiewką, zbacząc z poważnego tematu, która, mimo iż nigdy nie brałam jej na serio, zawsze wprawiała mnie w dobry humor.

Pewnego dnia, ku memu zdumieniu, podeszła do mnie na ulicy starsza pani w słomianym kapelusiku, którą również zaczęłam w dniu mego przyjazdu.

- Moje kochane dziecko - zapiszczała swoim infantylnym głosikiem - niech się pani nie gniewa, że ją tak nazywam. Wiem, że pani pracuje u państwa Svenson. Ja i moja siostra Harriet bardzo prosimy, żeby pani nas odwiedziła. Moja dobra, złociutka, niech nam pani nie odmawia. Mieszkamy przy Słonecznym Wzgórzu sześć, tak nazywają tę ulicę. To taki mały, zielony domek. No, niech pani zrobi przyjemność starym kobietom. Wie pani, Harriet już siedem lat nie wychodzi z domu. Ona tak bardzo chciałaby z panią porozmawiać. Upieczemy torcik owocowy i jabłecznik - nie dawała mi dojść do słowa, tarasując przejście parasolką. - Wiem, że taka wizyta to nic ciekawego dla takiej młodej, ładnej osóbki, ale my tak bardzo prosimy - błagalnie składała małe rączki w nicianych rękawiczkach.

Czułam się dziwnie zażenowana i nie wiedziałam, co odpowiedzieć, a w końcu przez grzeczność, chcąc przeciąć

lawinę jej słów, zgodziłam się, aby nie okazać się niegrzeczna wobec tej starej kobiety, która mogłaby być z powodzeniem moją babką.

- A więc w niedzielę o szóstej, to umówione - zachłystywała się starczą radością, ściskając mnie za rękę.

Długo wahałam się, czy pójść, czy też zlekceważyć to dziwne zaproszenie, ale w końcu nie chciałam być wytykana palcami w miasteczku jako osoba źle wychowana, więc o szóstej punktualnie dzwoniłam do drzwi domku obrośniętego od góry do dołu gęstym winem.

- Moja śliczniutka, jak się cieszę, że pani przyszła - zaszczebiotała staruszka, prowadząc mnie do saloniku, jakby żywcem wyciętego ze starej litografii. W fotelu, w aksamitnej sukni z białym koronkowym kołnierzem, siedziała drobna, wysuszona, bardzo stara dama o wątych przezroczyстых rączkach, nieustannie mnących jedwabną chusteczkę.

- To moja siostra Harriet Morrison, a ja jestem Jane - przedstawiła, przysuwając do fotela chorej stolik, zastawiony przepiękną porcelaną i różnymi smakołykami. Usiadłam, nie bardzo wiedząc, co mówić i co robić, ale z ust Harriet padło od razu pytanie wypowiedziane płaczącym, skarżącym się tonem:

- Jak się miewa ta biedna Margaret Svenson, dlaczego nigdy nie przyjdzie mnie odwiedzić, czy dlatego, że jestem taka stara? Przecież kiedyś byłam przyjaciółką jej babki i matki. Powinna mnie pamiętać.

- Ależ Harriet - upomniała ją Jane - przecież wiesz, że Margaret jest chora. Ona wcale nie wychodzi z domu.

- Dlaczego nie wychodzi? Ona zawsze była takim żywym dzieckiem. Tak bardzo lubiła się bawić. Na jej dziesiąte urodziny kupiłam jej porcelanową dużą lalkę. A potem jak wyrosła i chciała wyjść za mąż za Olafa Svensona, mówiłam jej tyle razy, żeby tego nie robiła, że on ją zgubi, że to zły człowiek. Czy już wzięli ślub?

- Harriet! - zawołała z rozpaczą Jane. - Pani wybaczy, ona nie wie, co mówi.

- Wiem, wiem dobrze - zaperzyła się Harriet, uderzając drobniutką pożyczowaną rączką o poręcz fotela. - Ona, taka

bogata panna, może zrobić odpowiednią partię, a nie łąpać urzędnika z banku ojca, tylko dlatego, że ma ładną twarz i dobrze tańczy. Z tego małżeństwa nic dobrego nie wyjdzie, ja wam to mówię. On się żeni nie z nią, a z jej majątkiem.

Czułam, że mienię się na twarzy, nie wiedząc, co z sobą począć. Zdawałam sobie sprawę, że dla biednej staruszki czas stanął w jakimś odległym miejscu i że terażniejszość nie dociera do zakamarków jej chorego mózgu. Jednak wizja przeszłości utrwaliła się w jej pamięci z fotograficzną, obsesyjną dokładnością.

- Harriet, kochanie. Odpocznij sobie, prześpij się trochę - Jane błagała niemal siostrę, nalewając herbatę do filiżanek i przysuwając półmiski z ciastem. - Serdecznie proszę jeść i nam nie odmawiać.

- Nie będę spała, kiedy pani przyszła, chcę z panią porozmawiać. Pani zna moją małą Margaret. Niech jej pani powie, żeby nie wychodziła za Svensona, przecież Karol Burckett ją tak kocha. Co prawda to jej kuzyn, i to w bliskiej linii, ale to dobry człowiek. On jej nie skrzywdzi. Stary John pragnie dla niej innej, stosowniejszej partii, ale w końcu zgodzi się na wszystko, czego Margaret zażąda. Zawsze jej ulega. Jedyna córka i taka wypieszczona. Czy nie może jeszcze poczekać z tym małżeństwem? Jest taka młoda, może nie taka ładna jak pani, ale to nie ma znaczenia, kiedy się jest tak bogatą.

- Harriet, napij się herbaty i zjedz pierniczka. - Jane umaczała kawałek ciasta w herbacie i podała siostrze do ust rozwartych jak dziobek ptaszka.

- Miam, miam, jakie dobre - Harriet zdawała się uspokajać i przysypiać po wypiciu paru łyków, wreszcie głowa jej opadła na tył fotela, a z ust wydobyło się lekkie chrapanie.

- Teraz, kiedy Harriet śpi - powiedziała Jane Morrison konspiracyjnym tonem, wciąż nakładając mi na talerzyk swoje domowe wypieki - niech mi pani powie, jak się naprawdę czuje Margaret? Widzi pani, znałyśmy ją od dziecka i jesteśmy bardzo o nią niespokojne. Jak ona teraz wygląda? Nikt jej nie widział od tylu lat. Svenson nikogo nie wpuszcza do domu.



Ona była od dziecka poważnie chora na serce. Wiem, że oni mieli wypadek za granicą. Ale dlaczego wszyscy życzliwi ludzie nie mogą jej odwiedzić? Dlaczego nasz najlepszy lekarz, doktor Walles, jej nie leczy? On przecież najlepiej zna jej chore serce. Może jej się dzieje krzywda? Nareszcie jest ktoś w tym domu, z kim można porozmawiać. Niech nam pani to powie - mówiła w liczbie mnogiej, choć oczywiście było, że informacje, które spodziewała się ode mnie uzyskać, miały służyć wyłącznie dla zaspokojenia jej własnej ciekawości, biorąc pod uwagę stan umysłowy jej siostry.

- Może pani być spokojna - powiedziałam, kiedy na chwilę umilkła - że pan Svenson dokłada najwyższych starań, na jakie zdobyć się może człowiek w jego położeniu, aby pani Margaret w miarę możliwości czuła się dobrze, i otacza ją najtroskliwszą opieką. On ją naprawdę kocha i poświęca jej cały swój czas. Nigdy nie widziałam męża bardziej oddanego żonie.

- Tak, tak - Jane kręciła z powątpiewaniem ptasią główką. - Wiem, zabiera ją na spacer prawie codziennie, wszyscy to widzą. Sprowadza jakąś młodą lekarzkę z kliniki i profesora z zagranicy. Ale czy ta lekarka nie powinna porozumiewać się z doktorem Wallesem? Na pewno przydałoby się konsylium. I dlaczego Svenson trzyma ją w zamknięciu? Ona jest jeszcze młoda, nie skończyła trzydziestu lat. Czyż nie ma dla niej ratunku?

- Proszę pani, pani Svenson jest bardzo poważnie chora. Tryb życia, który prowadzi, jest konieczny dla utrzymania jej przy życiu. Trudno mi to pani wytłumaczyć, ale zaręczam, że tak być powinno.

- Moja kochana, śliczna, złota - rozpoczęła swoją litanie Jane - niech mnie pani wpuści do niej, kiedy nie ma jej męża w domu. Przecież nic się jej nie stanie. Zawsze mnie bardzo lubiła. Pamiętam, kiedy przyszła do mnie przed ślubem, ona, taka dumna, energiczna, wszechwładna, i położyła jasną głowę na moim ramieniu. „Ciociu Jane - powiedziała - kocham Olafa i wyjdę za niego, choćby się cały świat miał zawalić”. A teraz jest taka samotna. Widzę ją, jak siedzi przy oknie i załamuje ręce. Moja dobra, Wejść cichutko i zobaczę ją choć raz przed moją

śmiercią, jeden jedyny raz.

- Niestety, proszę pani - czułam dziwny ucisk w gardle - to niemożliwe, to surowy zakaz profesora, specjalisty od chorób mózgu, który ją leczy. Pani Svenson ze względu na stan zdrowia nie może przyjmować żadnych wizyt. Muszę stanowczo odmówić prośbie pani, choć mi bardzo przykro.

- No tak - westchnęła Jane, prędko zawijając placek z rodzynkami w papier - niech jej pani to odda, specjalnie dla niej zrobiłam, zawsze to tak lubiła. I niech ją pani serdecznie pozdrowi od sióstr Harriet i Jane Morrison.

Nie mogłam jej odmówić, nie miałam serca i siły jej powiedzieć, że nigdy nie zobaczę się z panią Svenson i nie wręcę jej placka, bo na pewno nie pojęłaby, dlaczego nie leży to w granicach moich możliwości. Wstałam pośpiesznie, bo już od dawna siedziałam jak na rozżarzonych węglach, i podziękowałam za gościnę. W tej chwili Harriet ocknęła się ze swojego starczego, krótkiego snu. Kawalek nie dojeźdzonego ciasta wysunął się z jej ust.

- Harriet, pożegnaj się z panią - powiedziała Jane, ocierając siostrze usta serwetką.

- Ja wiem, że ona wyjdzie za tego Svensona - powiedziała nagle Harriet. - Śniła mi się w białej koronkowej sukni i w welonie. W kościele było pełno ludzi, a stary John płakał. To niedobry sen. Niech jej pani powie, żeby tego nie robiła. Niech nie wychodzi za Svensona.

Po wyjściu z zielonego domku przez chwilę wydawało mi się, że ziemia obsuwa mi się spod nóg. Gorzko żalowałam, że zgodziłam się na tę wizytę. Czułam zamęt w głowie, a w rękę ścisnęłam paczuszkę wręczoną mi przez zapobiegliwą Jane. Nedorzeczne bredzenie staruszek wywarło na mnie dziwne przykre wrażenie. Za rogiem ulicy wrzuciłam dzieło sztuki kulinarnej Jane Morrison do kosza od śmieci i zaraz poczułam się lepiej. Mimo wszystko tego wieczoru nie mogłam długo zasnąć.

Następne dni były jednak tak upalne, słońce tak wspaniałe, morze rozkosznie ciepłe, a Steven Maxwell tak wesoły, że wspomnienie staroświeckiego saloniku szybko zatarło się w

mojej pamięci. Zresztą cóż właściwie mogły mnie obchodzić kulary życia państwa Svenson. Właśnie otrzymałam pierwszą pensję. Zielone dolary szeleściły w mojej torebce urzekająco. Listy od Janka przychodziły regularnie i były coraz serdeczniejsze. Świat był naprawdę piękny. Zauważyłam z niemalą satysfakcją, że przebywanie na świeżym powietrzu, kąpiel w morzu lub pływanie w basenie - znakomicie wpłynęły na mój wygląd zewnętrzny.

W lustrze oglądałam teraz dziewczynę o złocistej skórze, błyszczących oczach, wyłożonych słońcem brązowych włosach i sprężystych ruchach młodej kotki. Kilka efektownych zakupów ubraniowych, dokonanych w miejscowym sklepie, doskonale wpłynęło na moje samopoczucie. Magia pieniądza działała jak stare wino i upajała mnie bez reszty. Zaczęłam stopniowo wierzyć, że komplementy Stevena Maxwella nie są tak zupełnie bezpodstawne.

Ale pewnego dnia stała się rzecz okropna. Już rano, przeglądając recepturę jednego z leków nasercowych o bardzo silnym działaniu, przekazanych mi do wykonania w ramach mojej codziennej pracy przez pana Svensona, miałam zastrzeżenia co do prawidłowości proporcji składników. Szczególnie dawka jednego z nich wydała mi się nieco zawyżona. Właściwie jako farmaceutka miałam obowiązek zakwestionować receptę, ale z drugiej strony - sporządziłam już tyle leków o niezwykłej mocy, bez ujemnych skutków dla pacjentki, że i tym razem bez obiekcji zastosowałam się do poleceń doktor Jörson. Pracowałam przy tym lekarstwie z wielką uwagą i natężeniem, zdając sobie sprawę, że w tym przypadku najmniejsze przedawkowanie jest niedopuszczalne. W pewnej chwili wydało mi się, że tym razem nerwy mnie zawiodły, że minimalnie zwiększyłam ilość jednego ze składników, z tym że był to środek o wiele mniej toksyczny niż inne. W każdym razie ustawiając butelkę na tacy, którą jak zwykle odebrał z podziękowaniem Svenson, byłam trochę niespokojna.

Ponieważ jednak cały dzień przeszedł bez żadnych sensacji, państwo Svenson swoim zwyczajem udali się na spacer autem,

wykąpałam wszystkie obawy w morzu i z lekkim sercem położyłam się spać, zasypiając snem sprawiedliwego, zaledwie po przyłożeniu głowy do poduszki. Nagle w nocy obudziło mnie silne stukanie do drzwi. Nigdy się to jeszcze dotąd nie zdarzyło, więc zerwałam się na równe nogi z mocno bijącym sercem, śpiesznie narzucając szlafrok na koszulę nocną.

W progu stał Olaf Svenson, bardzo błądy i niespokojny. „Stało się - pomyślałam - otrułam panią Svenson, jestem zbrodniarką”. I natychmiast w wyobraźni ujrzałam siebie w ciemnym lochu, zakutą w kajdany do końca życia.

- Miss Mary - powiedział głucho - niech się pani uspokoi, pani drży cała. Moja żona bardzo źle się czuje. Chciałem panią prosić o zaampułkowanie zastrzyku z kamfory i glukozy. Przepraszam, że panią budzę, ale zmusiła mnie do tego konieczność.

Schodziłam ze schodów trzęsąc się cała, a zęby szczykały mi ze zdenerwowania. Nie wiem, w jaki sposób nie rozbiłam wszystkich ampulek. W każdym razie w możliwie błyskawicznym tempie przygotowałam zastrzyk i wręczyłam strzykawkę Svensonowi, który czekał w hallu.

- Może lepiej wezwać doktor Jörson - wyjąkałam - jeżeli stan jest groźny.

- Mam nadzieję, że poradzę sobie sam - odparł Svenson - takie przypadki zdarzały się już niejednokrotnie. Oczywiście zrobię to w razie wystąpienia dalszego pogorszenia. Niech się pani położy, miss Mary.

- Poczekam tu - powiedziałam, kuląc się w fotelu, który stał przy rozłożystej palmie.

- Dobrze - odparł - chociaż nie widzę potrzeby.

Następne pół godziny, które spędziłam w oczekiwaniu na wiadomości o stanie zdrowia chorej, należeć będą do najkoszmarniejszych wspomnień mego życia. Przeżyłam całe piekło zwątpienia we własne umiejętności, przeklinałam swoją niesumienność, głupotę, wzywałam na pomoc ciotkę Betty, Janka, robiłam sobie nieustanne wyrzuty, że nie mając odpowiedniej praktyki przyjąłm tak trudną pracę, zwabiona nędzną wizją zarobku. Ponadto wydało mi się, że swoistym

zaniedbaniem z mojej strony było nieuczynienie żadnego zdecydowanego kroku w kierunku nawiązania bezpośredniego kontaktu z doktor Jörson. Co prawda zachowanie jej nie ułatwiało mi tego zadania, gdyż biała postać lekarki zazwyczaj rozpyływała się jak zjawa z innego świata, ginąc w czeluściach mieszkania Svensonów, a w drodze powrotnej również nie pozostawiała najmniejszej możliwości na zawarcie znajomości, gdyż natychmiast nieomal lokowała się w samochodzie. Jednak gdybym sama zdecydowała się do niej podejść, może doktor Jörson udzieliłaby mi kilku chwil ze swego cennego czasu na informacje o kolosalnym dla mnie znaczeniu praktycznym. Musiałam sama przed sobą wyznać, że nie zwróciłam się do doktor Jörson o wyjaśnienia, gdyż bałam się okazać w jej oczach ignorantką i nowicjuszką w zawodzie farmaceuty. Poza tym, abstrahując od możliwości negatywnej oceny przez nią moich kwalifikacji, doktor Jörson nie budziła we mnie sympatii. Wydawało mi się, że jest apodyktyczna, wyniosła, a może złośliwa, chociaż najprawdopodobniej był to całkowicie subiektywny pogląd, niczym nie poparty. Prawdą jednak było to, że jak dotąd lekarka ignorowała moją osobę, a ja nie usiłowałam ani razu z nią porozmawiać. I to w tej chwili miałam sobie głównie do wyrzucenia. W rezultacie tych rozważań w każdym razie postanowiłam zrezygnować z posady.

Właśnie wtedy usłyszałam kroki Svensona. Twarz miał spokojną, widocznie niebezpieczeństwo minęło.

- Dziecko - powiedział - jaka pani jest uczuciowa. Nie wiedziałem, że pani się tak przejmuje. Proszę się położyć. Margaret zasnęła. Jest już dobrze.

- Panie Svenson - powiedziałam, nie przestając szcząkać zębami i otulając się szlafrokiem, który zwisał mi z odkrytych ramion - ja już wszystko przemyślałam. Wiem, że nie jestem odpowiednią osobą, mam za mało doświadczenie, te lekarstwa są tak silne... Bardzo przepraszam, ale ja jutro wyjeżdżam. Boję się, że...

- Nic podobnego - przerwał, biorąc silnie moje ręce w swoje - nie przyjmuję tego do wiadomości. Pani jest nieoceniona. Pani nawet nie wie, ile dla mnie znaczy jej obecność w domu.

Jestem pani za wszystko bardzo wdzięczny. Proszę, na wszystko proszę, niech nas pani nie opuszcza. Margaret też zdaje sobie sprawę, że jest tu ktoś, kto się nią opiekuje - patrzył przy tym na mnie tak dziwnie swoimi przezroczystymi, niebieskimi oczyma, że serce zaczęło jeszcze silniej walić mi w piersiach, a obraz ciotki Betty nagle wyraziście zarysował się mi przed oczyma w postaci anioła stróża z podniesionym ostrzegawczo palcem. Ale Svenson uśmiechnął się melancholijnie, puścił moje ręce, skłonił się i powiedział:

- Miss Milsky, od dzisiaj uposażenie pani wynosić będzie tysiąc pięćset dolarów, na tyle pani zasługuje. A teraz proszę iść spać. Życzę dobrej nocy.

Nie wiem, jakim cudem zdołałam trafić na swoje posłanie, nie wiem, w jaki sposób umiałam uspokoić wzburzone myśli. W każdym razie zasnęłam twardym, kamiennym snem.

## **Rozdział czwarty**

Olaf Svenson nigdy, nawet jednym słowem nie powrócił do zdarzeń owej nocy i nic by nie przypominało mi tego zajścia, gdyby nie fakt, że ilość szeleszczących banknotów w mojej torebce wydatnie się zwiększyła, a tym samym przyszłość rysowała się w coraz ponętniejszych barwach i ciekawszych wymiarach. Trzeba przyznać, że zdwoiłam czujność i staranność przy pracy, o ile to w ogóle było już możliwe, tak że prawdopodobnie dosięgłam szczytów sumienności zawodowej. Tkwiący we mnie uprzednio zamysł, ażeby skonfrontować swoje poglądy na jakość i różnorodność leków z nieuchwytną doktor Jörson, a nawet w tej sprawie porozmawiać w sposób zasadniczy ze Sven-sonem, wydawał mi się teraz z gruntu naiwny i niepotrzebny. Ostatecznie nie moją rzeczą było analizowanie metod leczenia renomowanych specjalistów, którzy przy tak skomplikowanych urazach organizmu musieli stosować zapewne osłony ze środków farmakologicznych, przekraczających normalne granice ryzyka, i to, jak widać, bez

ujemnych rezultatów. Zresztą gwarancją ich skuteczności było właściwe dozowanie. Wszelkie odczucia owej nocy przypisałam swojej nadmiernej egzaltacji i zerowemu w gruncie rzeczy doświadczeniu zawodowemu. Uznałam więc, że o ile szanowna doktor Jörson nie ma chęci na zawarcie ze mną znajomości, to ja również nie mam powodu do narzucania jej się i wychodzenia naprzeciw z taką propozycją, która mogła nawet zostać odrzucona. Jeżeli więc ta dama ma fomy w nosie, to ja mogę jej się tym samym zrewanżować. Zresztą zdążyłam już się przyzwyczaić do tej białej postaci, przefruwającej bezosobowo przez ogród i mieszkanie, i przestałam na jej widok reagować. Ponieważ pogoda była niezmiennie piękna, morze i róża bajecznie kolorowe, Steven Maxwell jak zwykle nadskakujący i dowcipny, więc też samopoczucie moje znów się poprawiło. Co prawda Svenson powiększył zakres mojej pracy, co poczytałam za chęć zrekompensowania przyznanej mi podwyżki, ponieważ zlecił mi, oczywiście w bardzo układnych słowach, niemal przepraszając za to, co czyni - zaktualizowanie katalogu swojej ogromnej biblioteki.

- Jeżeli to pani nie obrazi, miss Mary - mówił, przyciskając dłonie do swego wysokiego czoła, jakby chciał tym gestem zaakcentować, że sprawa ta jest dla niego kłopotliwa - że obarczę panią zajęciem wykraczającym poza zakres pani obowiązków, byłbym bardzo wdzięczny, gdyby pani uporządkowała nasze zbiory. Naprawdę gubię się w nich, a niejednokrotnie muszę korzystać z wielu pozycji przy mojej pracy zawodowej. Niech pani urzęduje w gabinecie w czasie mojej nieobecności. W biurku znajdzie pani wszystkie niezbędne materiały i notatki.

Zdziwiła mnie trochę tą propozycją pracy w gabinecie, gdyż pokój ten, jak na początku mego pobytu stwierdziłam, sąsadował bezpośrednio z prywatnymi apartamentami państwa Svenson i dotąd nigdy sama w nim nie przebywałam. Stanowił on sanktuarium pana domu, który na ogół wieczorami pracował tam z Maxwelllem.

Weszło więc w zwyczaj, że w gabinecie tym spędzałam dwie, trzy godziny dziennie, przeważnie gdy Svenson wyjeżdżał do

banku. Przerzucając różnego formatu kartki i zapiski, mimowolnie kierowałam wzrok na białe lakierowane, podwójne drzwi, za którymi niejednokrotnie słychać było różne szmery, najczęściej ciężkie stapania chorej i przesuwanie krzesła. Najprzykrzejsze jednak w odbiorze były ciche jęki, czasem stłumiony płacz, przeplatany pojedynczymi słowami. Być może Svenson celowo polecił mi przebywanie w pobliżu chorej, abym mogła przyjść jej z pomocą w razie konieczności nagłej interwencji. Nie wyobrażałam sobie jednak, jak mogłabym to uczynić, w każdym razie potraktowałam to, i chyba słusznie - jako jeden jeszcze przejaw troski męża o biedną Margaret. Zdarzało się, że Svenson wracał do domu w czasie, kiedy jeszcze pracowałam w gabinecie, i skinieniem ręki dawał mi znać, żebym nie przerywała swoich zajęć. Słyszałam wtedy odgłosy rozmowy małżonków, czułe i troskliwe zapytania Svensona, uspokajające słowa otuchy. Margaret czasem dowodziła czegoś płaczliwym tonem, ale milkła szybko pod wpływem kojącej obecności męża. Parę razy usłyszałam, że Svenson czyta chorej książkę swoim ciepłym, melodyjnym głosem. „On jest jednak niesamowity - myślałam - jak wielka musi być jego miłość, skoro zdolna jest wywołać taki ogrom poświęcenia i samozaparcia”.

W ostatnich dniach wydało mi się jednak, że Svenson jest jakby bardziej zdenerwowany niż zwykle, chociaż maskował to charakterystyczną dla siebie powściągliwością i napiętym spokojem. Przede mną trudno było fakt ten ukryć, gdyż zdążyłam już nauczyć się sztuki odczytywania jego stanów psychicznych: z drżenia palców, kiedy podawał mi recepty i odbierał lekarstwa, ze skrzywień mięśni twarzy bladej pod powłoką opalenizny.

- Proszę dziś na noc zażyć ten środek uspokajający, na pewno dobrze panu zrobi - zaproponowałam pewnego wieczoru, kiedy wydało mi się, że jego wewnętrzne podniecenie, z takim wysiłkiem hamowane, dochodzi do zenitu. Niespodziewanie podniósł na mnie swoje niebieskie oczy, którymi oszołomić mógłby przypuszczalnie przynajmniej połowę kobiet na świecie pomiędzy dziesiątym a setnym rokiem życia.



- Pani jest bardzo dobra, miss Mary, naprawdę bardzo dobra - powiedział nieoczekiwanie gorąco, co ku memu prawdziwemu przerażeniu przyspieszyło rytm bicia serca. Stał przede mną chwilę niezdecydowanie, jakby zamierzał ująć mnie za rękę, ale nagle skłonił się swoim zwyczajem i wyszedł z pokoju.

„Trzymaj się, Mary - skarciłam się natychmiast. - Jak możesz podlegać takim reakcjom w najmniej odpowiedniej chwili. Fakt, że Svenson jest nieprzyzwoicie przystojny, nie może zamącić toku twojej pracy, która przynosi ci tak kwitnące owoce, oczywiście, jeżeli masz zamiar nabijać sakiewkę jego dolarami. Jest to wprawdzie człowiek dobry i cierpiący, ale wszelkie współczucie musi mieć swoje granice”. Przywołując na dodatek do pomocy świetlanego ducha cioci Betty, napisałam tego wieczoru sążnisty list do Janka, pełen nie zamierzonych, nagłych zapewnień o trwałości naszej przyjaźni, które na pewno musiały mu się wydać podejrzone.

Następny dzień rozpoczęłam jak zwykle od pracy w laboratorium. Zestaw leków był nieco mniejszy, więc uporałam się szybciej z ich przygotowaniem niż zwykle. Svenson zjawił się punktualnie po ich odbiór z twarzą pobladłą i podkrążonymi od braku snu oczyma. Spieszył się bardzo do banku, gdyż już od rana odebrał kilka pilnych zamiejscowych telefonów. Jego ukłon i spojrzenie były nienagannie grzeczne i dalekie, w związku z tym emocje poprzedniego wieczoru wydały mi się tak nierealne, jak moje ewentualne przedstawienie na dworze królowej angielskiej.

Z uczuciem pewnej ulgi usłyszałam też zgrzyt opon samochodowych na ogrodowej ścieżce. Po krótkiej, ale orzeźwiającej kąpieli w basenie odpoczywałam około godziny na trawie, wystawiając ciało na regenerujące działanie słońca i powietrza. Pani Svenson nie siedziała dziś w oknie swego pokoju. Fotel widniejący za firanką świecił pustką.

Po tak skutecznym dla ciała i ducha relaksie zabrałam się do wytrwałej pracy w czarno-błękitnym gabinecie, który zawsze wywierał na mnie imponujące wrażenie dzięki wykwintnemu urządzeniu.

W pewnej chwili spoza białych drzwi mieszkania Svensonów

zaczęły dobiegać odgłosy, które z minuty na minutę stawały się coraz bardziej niepokojące.

Najpierw były to ciche zgrzyty, których nasilenie potęgowało się z minuty na minutę, potem rozległ się metaliczny brzęk, jakby przedmiot jakiś został rzucony z wielką siłą o podłogę. Zerwałam się z miejsca z bijącym sercem. Tak, za tymi drzwiami rozgrywała się jakaś tragedia, której powstaniu ani zakończeniu nie mogłam zapobiec. Wkrótce hałas zaczął się wzmacniać. Czyżby dostała szau? Wydawało się, że ciężkie sprzęty rozbija ręka obłąkanej, że za chwilę stanie się coś strasznego. Na litość Boską, co miałam robić? Podbiegłam do tajemniczych drzwi, chronionych zakazem wstępu, który musiałam przecież złamać w imię dobra chorej. Ale drzwi te nie chciały ustąpić pod naciskiem moich rąk. Były mocno zamknięte i trwały jak opoka. Zaczęłam w nie walić pięściami i błagać o otworzenie.

- Pani Svenson, proszę otworzyć, to ja, Mary Milsky, chcę pani pomóc, bardzo proszę. - Ale był to głos wołającego na puszczy. Drzwi pozostały niewzruszone, a nasilenie hałasu wzmacniało się z minuty na minutę.

Nagle rozległ się przerażający trzask i zapanowała grobowa cisza. Ta cisza była bardziej złowieszcza niż wszystko i mogła zwiastować najgorsze. Czulałam ciarki na całym ciele ze zdenerwowania, od stóp aż do czubka głowy, a serce skakało mi w gardle. Wołanie o pomoc gosposi, ze względu na jej głuchotę, było beznadziejne.

Jedyne, co mi pozostało, to wezwać Svensona przez telefon. Drżącymi rękami wykręciłam numer, myśląc się kilkakrotnie. Dodzwonienie się do niego było nie lada zadaniem. Wydawało mi się, że upłynęła wieczność, zanim za pośrednictwem sztabu sekretarek udało mi się usłyszeć jego spokojny, metaliczny głos w banku w Brownsville.

- Proszę pana, stało się coś strasznego z panią Svenson, niech pan zaraz przyjeżdża, zaraz.

Widocznie mówiłam tak rozpaczliwie, tak błagająco, że to Svenson musiał mnie uspokajać:

- Niech pani pójdzie do swego pokoju, Mary. Słyszysz pani,

proszę się położyć i odpocząć. Zaraz przyjeżdżam.

Oczywiście nie mogłam ruszyć się z miejsca i w niemym odrętwieniu, skulona, tkwiłam przy aparacie pół godziny, godzinę, nie wiem... W przyległych pokojach panowała ta sama cisza, nie zmącona najmniejszym szmerem.

Nagle do świadomości mojej dotarł warkot zajeżdżającego przed dom samochodu. Nigdy dotąd nie widziałam człowieka w takim stanie, w jakim znajdował się Svenson, kiedy wpadł do gabinetu. Szaroblady, o błędnym, niewidzącym spojrzeniu jeszcze bardziej zmienił się na twarzy, kiedy mnie zobaczył.

- Dlaczego nie poszła pani do swego pokoju, proszę iść, zaraz iść! - głos jego zabrzmiał niespodziewanie ostro i nieprzyjemnie. Miałam wrażenie, że stoi przede mną zupełnie inny człowiek niż ten, z którym miałam dotąd do czynienia na płaszczyźnie uprzejmych form towarzyskich.

- Miss Milsky, czy pani mnie słyszy? - ręką wskazywał rozkazująco drzwi gabinetu. Ogłuszona i zupełnie niezdolna do normalnego myślenia, dowlokłam się do swojego pokoju.

Trudno mi sobie teraz przypomnieć, o czym właściwie myślałam i co przeżywałam, leżąc na swoim tapczanie w czasie długich godzin tego popołudnia. Przerażenie ustępowało powoli pod naporem sprzecznych decyzji, oscylujących pomiędzy nieprzepartą chęcią rzucenia wszystkiego z miejsca a poczuciem obowiązku, popartym niezaprzeczalną nadzieją dalszych oszałamiających - bądź co bądź - zysków finansowych.

W willi panowała dalej cisza. W każdym razie do mego pokoju nie docierały żadne wyraźniejsze dźwięki. Z całą pewnością natomiast z zewnątrz nikt nie wchodził do domu. Svenson nie wezwał zatem pomocy lekarskiej. Nie wiem, o której godzinie, chyba wtedy, kiedy zaczęłam odczuwać już głód i pragnienie, ktoś zapukał do moich drzwi. Nie czekając na odpowiedź na progu stanął Svenson. Wyglądał jak wcielenie Marlona Brando z najświetniejszych czasów jego kariery filmowej, w świeżym popielatym garniturze, jednocześnie z wyrazem bezbrzeżnego smutku i cierpienia na marmurowo

bladej twarzy.

Odruchowo zerwałam się i usiadłam na tapczanie.

- Proszę leżeć i odpoczywać, Mary - powiedział i nie spodziewanie rzucił się na fotel, ukrywając twarz w dłoniach. Nie śmiałam przerywać przeciągającego się milczenia, nie wiedząc przecież, czy mam do czynienia z nieszczęśliwym wdowcem, któremu powinnam złożyć wyrazy współczucia, czy też uznać tę wizytę za dowód, że niebezpieczeństwo minęło. Kiedy już miałam zadać zasadnicze pytanie, Svenson oderwał ręce od twarzy i obrzucił mnie długim, uważnym spojrzeniem.

- Tak, Margaret żyje, tego chciała pani się dowiedzieć, prawda?

- Ale co się stało, to było tak straszne... - zdołałam wykrztusić, czując jednocześnie napływającą falę odprężenia i szalone zmęczenie, jako naturalną reakcję poprzedniego stanu ostatecznego napięcia nerwów.

- To zdarzyło się pierwszy raz, Mary. Atak szału i zemdlenie. Profesor Brent przewidywał wprawdzie, że takie sensacje mogą nastąpić w następstwie uszkodzenia kory mózgowej, jako komplikacje pooperacyjne, ale dotąd... - rozłożył bezradnie ręce i głos mu się załamał.

- Jest coraz gorzej, Mary, nie mogę się co do tego ludzi. To ją zupełnie wyczerpało, przecież ma chore serce. Doktor Jörson przyjedzie za dwie godziny - przywiezie ją Maxwell. Rozmawiałem też telefonicznie z profesorem Brentem. Nie może dzisiaj przyjechać, ale jutro będzie najbliższym samolotem.

- Ale może natychmiast potrzebna jest pomoc lekarska? - zaryzykowałam pytanie.

- Interwencja niekompetentnego lekarza, nie obeznanego z jej stanem zdrowia, mogłaby ją zabić na miejscu. Przecież dobrze wiem o tym i w tym też jest cała tragedia - rozplótł ręce i mocno oparł je na poręczach fotela.

- Margaret teraz śpi i będzie spała kilka godzin. Ten sen jest najlepszym lekarstwem. Ale co dalej, co dalej... - mówił teraz bezradnie jak dziecko.

Nagle obrzucił mnie znów spojrzeniem.

- Jaka pani blada, dziecko - powiedział z troską w głosie, który zawibrował nagle ciepło. - Przyszedłem się usprawiedliwić i przeprosić. Wiem, że zachowałem się wobec pani brutalnie, ale nie mogłem się opanować, nie władałem sobą. Przepraszam, naprawdę przepraszam.

Poczułam dziwne uczucie w okolicach żołądka i serca, nie wiem, czy na skutek głodu, czy pod wpływem słów Svensona i intonacji, jaką im nadawał.

- Pani milczy - ciągnął dalej - niech pani przebaczy nieszczęśliwemu człowiekowi. Pani taka subtelna, taka cudownie młoda i wrażliwa. Wiem, że musiała pani dzisiaj przeżyć szok, ale serdecznie znowu proszę w imieniu swoim i biednej Margaret, niech nas pani nie opuszcza. Tak niedawno również w ciężkiej dla mnie chwili zwracałem się do pani z tą samą prośbą i uzyskałem pani zgodę. Pani obecność, pani pomoc fachowa będzie miała teraz coraz większą wartość dla dobra chorej. I dla mnie... - dorzucił przyglądając mi się badawczo i przeciągle. - Proszę przyrzec, Mary, dziecko, że pani nas teraz nie zostawi, ja proszę...

- Przyrzekam, naturalnie, że przyrzekam - powiedziałam prawie jak w transie hipnotycznym, spowodowanym magnetyczną siłą jego wzroku.

- Pani jest dobra, bardzo dobra - raz jeszcze zatopił szczupłe dłonie w jasnych włosach, opuszczając gestem znużenia głowę, przy czym rubin na jego palcu zamigotał czerwienią. - Widziałem, jak bardzo była pani wzruszona i zdenerwowana. Ale teraz proszę być zupełnie spokojną i o niczym nie myśleć, Mary. Zaraz przyślę pani obiad. Dziękuję, Mary, naprawdę dziękuję. Dobranoc.

Raz jeszcze owionęło mnie spojrzenie jego oczu, przeświecone ciepłem i serdecznością, mające dziwną właściwość wywoływania niepokojących odczuć. Skinęłam głową i długo patrzyłam na drzwi, które się za nim zamknęły.

## Rozdział piąty

Niewątpliwie przybyły ze Szwecji profesor Brent nie należał do ludzi towarzyskich i rozmownych. Musiał być jednak lekarzem bardzo sumiennym, o niezwykłych uzdolnieniach i umiejętnościach w swojej specjalności. Mimo że już od kilku dni przebywał w „Różanych Krzewach”, tylko kilka razy mignęła mi w przelocie jego rosla sylwetka. Zdążyłam zauważyć, że jest barczystym mężczyzną, w średnim wieku, o rudych, z lekka przerzedzonych włosach. Od rana do wieczora obydwoj ze Svensonem przebywali za szczelnie zamkniętymi drzwiami apartamentów Margaret. Kilka razy również pojawiła się doktor Ann Jörson. Kuracja musiała dawać pozytywne wyniki, bo Svenson ukazywał się z coraz jaśniejszą i pogodniejszą twarzą. Moje obowiązki w czasie pobytu profesora ograniczyły się prawie do minimum. Praca w zakresie porządkowania biblioteki odpadła, a przyrządzanie leków, ze względu na ich znacznie zmniejszony w tym okresie asortyment, zabierało mi niewiele czasu. Widocznie profesor uznał za słuszne wyłączenie środków farmakologicznych, stosując własne metody leczenia przy bezpośrednim kontakcie z chora.

Miałam więc teraz dużo wolnego czasu i wykorzystywałam go na osobistą terapię słoneczno-wodną nad morzem i nad basenem. Pewnego dnia zauważyłam, że w ogrodzie Svensonów pojawił się nowy wóz, „Cadillac”, o ekscentrycznym kształcie i kolorze. Svenson przyjechał nim z miasta razem z profesorem i obydwoj mężczyźni oglądali samochód przed domem. Leżąc w najwyższym rozleniwieniu w cieniu markizy, widziałam ich obu pochylonych nad karoserią. Profesor opukiwał palcami blachę, badał detal po detalu, dotykał obicia foteli. Docierały do mnie odgłosy ich rozmowy, pojedyncze słowa, których nie rozumiałam, gdyż mówili w swoim ojczystym języku - po szwedzku. Lekarz wydawał się być z czegoś niezadowolony, wyrażał to gestem rozłożonych rąk i niecierpliwym wzruszeniem ramion. Zdziwiło mnie, że Svenson, tak zawsze wyniosły i pozornie opanowany, był jakby czymś poruszony, a

nawet speszony. W postawie jego, w ruchach dostrzegłam nie znany mi wyraz uległości, a nawet służalczości -tak jakby kamerdyner usiłował wytłumaczyć coś niezadowolonemu panu albo go przeprosić.

Cała ta scena trwała bardzo krótko, gdyż mężczyźni natychmiast pośpieszyli do chorej, ale wprawiła mnie w prawdziwe zdumienie i wywołała niesmak. Nietrudno było się domyślić, że profesor otrzymał od Svensona samochód, zapewne w ramach swojego honorarium albo jako prezent za uratowanie życia żonie, ale dziwne było zachowanie Brenta, który obejmując auto w posiadanie wyrażał jakby niezadowolenie i robił wymówki Svensonowi. Zaskakująca też wydała mi się postawa Svensona wobec wyraźnych grymasów sławnego chirurga. „Widocznie jego wdzięczność dla profesora jest tak wielka, że gotów jest na wszystkie ustępstwa, nawet mogące zranić jego godność osobistą, o ile stawką jest przyniesienie ulgi w cierpieniach żony” - pomyślałam. Jednocześnie jednak nie mogłam mieć wątpliwości, że sława i wiedza profesora nie idą w parze z jego etyką osobistą.

Przeszedłszy do porządku dziennego nad znikomością i ułomnością ludzkiej natury, uzewnętrzniającą się, jak widać, nawet u ludzi sławnych i niepospolitych, zajęłam się odrabianiem trochę zaległej korespondencji z Jankiem. Relacjonując mu szczegółowo przebieg wszystkich wydarzeń, złapałam się na tym, że przeżywam zawsze na nowo, nieomal przy każdym słowie fakt, że coraz bardziej przybliża się koniec pobytu Janka w Stanach Zjednoczonych i że ta dobra, serdeczna przyjaźń z konieczności umrze śmiercią naturalną w związku z jego wyjazdem. Uspokajał mnie wprawdzie ton listów Janka, niezmiennie ciepły, pogodny, pełen pobłażania i specyficznej ironii dla mego „groszoróbstwa” i entuzjazmu dla luksusu, dodawały mi otuchy przewijające się między wierszami subtelne, acz przesycone swoistym dla niego humorem aluzje co do jego stanu uczuć wobec mojej osoby, ale... Aluzje te nie były w sensie dosłownym ani w przenośni żadną deklaracją wiążącą, a więc pozostawiały w zasadzie dogodną furtkę dla rychłego rozstania. Nieraz postanawiałam

więcej do niego nie pisać, aby przerwać tę łączącą nas wątłą nić i w ostatecznym rozrachunku być stroną wygrywającą, lecz w sumie przekraczało to moje siły. Przecież te białe koperty, zaadresowane mocnym, znajomym, charakterystycznym pismem, były dla mnie nieocenionym podarunkiem, rozładującym ponurą i tragiczną atmosferę cierpień i choroby, wśród których żyłam, i sprawiały mi zawsze żywą radość, której nie potrafiłam nigdy ukryć.

- List od najdroższego, Mary - zabrzmiał nagle nade mną wesoły, sympatyczny głos Maxwella, w chwili kiedy po raz dziesiąty co najmniej kontemplowałam gęsto zapisane kartki, wyciągnięta na leżaku koło basenu. Steven stał w swojej ulubionej pozie, niedbale oparty o drzewo, z wyrazem rozbawienia na twarzy. Ucieszyłam się na jego widok. Już dość dawno nie przyjeżdżał do Svensonow, widocznie zajęty rozlicznymi interesami handlowymi banku.

- Nie, nie, proszę sobie nie przeszkadzać! - zawołał, kiedy zaczęłam pośpiesznie wkładać list do torebki. - Nie mam zwyczaju wkraczać w butach do czyjejś duszy. To był tylko żart. Chciałem powiedzieć dzień dobry nadobnej rusałce, uroczo wyglądającej w nowym kostiumie kąpielowym. Naprawdę, niech pani przestanie prowadzić na pokuszenie biednych mężczyzn. Wszyscy wodzimy za panią oczami. Proszę się nie dziwić, jeśli z powodu pani dojdzie do jakiegoś pojedynku albo innej ponurej tragedii. Sama pani będzie sobie winna.

- Jak dotąd nie widzę partnerów do takiego pojedynku

- roześmiałam się szczerze, po raz pierwszy od wielu dni.

- Ślicznie się pani uśmiecha, Mary. Biedactwo, niewesołe pani ma tutaj życie. Ale mam dla pani konkretną propozycję i z góry zastrzegam, że popełnię samobójstwo albo inny desperacki krok, jeśli się pani na nią nie zgodzi. Zapraszam panią na dzisiejszy wieczór do najelegantszego lokalu w Brownsville i porywam panią, nie czekając na odpowiedź.

- Ależ, mister Maxwell, nie wiem, co odpowiedzieć, może będę tu potrzebna - wybąkałam, w gruncie rzeczy czując nieprzepartą chęć do tańca i oderwania się od codziennego otoczenia.



- Bez przesadnych skrupułów, maleńka. Pani Svenson ma najdoskonalszą na świecie opiekę męża i lekarza, a pani jest stale sama i należy się pani trochę odpoczynku. Zaręczam, że nikt nie będzie miał o to do pani pretensji, a najdroższy się nic nie dowie - dorzucił z komicznym grymasem.

- W takim razie - zgoda.

- A więc czekam tu przed domem o dziewiątej. Proszę się zrobić na bóstwo, a ja tymczasem oddalę się, jeśli pani pozwoli, aby w odosobnieniu pomarzyć o czekających mnie boskich chwilach.

Już dawno nie przygotowywałam się do żadnej eskapady z taką starannością, a jednocześnie dobrym humorem. Wkładając najnowszą suknię z seledynowego, powiewnego materiału, przetykanego srebrem (nabytek, nad którym zastanawiałam się w sklepie przeszło godzinę ze względu na jego ściśle rozrywkowe przeznaczenie i wysoką cenę, ale postanowiłam „raz kozie śmierć” i kupiłam), doszłam do bardzo podnoszącego mnie na duchu wniosku, że ostatecznie „ulgowe dni”, wykorzystane na słoneczno-kąpielowy relaks, wybitnie przyczyniły się do podniesienia walorów mojej urody. Podkreśliłam pastelowymi kosmetykami oczy i usta, owinęłam ramiona białym koronkowym szalem, odziedziczonym po cioci Betty, i nie zaglądając więcej do lustra, aby nie wpaść w samoubóstwienie, sfrunęłam w przerośni i dosłownie na dół, gdzie oczekiwał mnie już Maxwell.

- Fascynująca, naprawdę fascynująca - powiedział, odsuwając się kilka kroków, aby ogarnąć mnie lepiej taksującym spojrzeniem. - Jak szybko dokonała pani takiego przeobrażenia, mała czarodziejko. Mówię zupełnie szczerze. Jest pani naprawdę śliczną młodą osobką.

Sportowy samochód Stevena mknął bezszelestnie po gładkiej szosie, a ja siedziałam niedbale w miękkim fotelu, zupełnie jak w moich marzeniach o świetnym, beztróskim życiu milionerów. Maxwell prowadził wóz pewnie, jego muskularne dłonie, oparte na kierownicy, jak i on sam napawały spokojem i zaufaniem.

- Wygodnie, dobrze? - zwracał się raz po raz do mnie z

uśmiechniętą twarzą.

- Cudownie - odpowiadałam, rozkoszując się tempem jazdy, pędem wiatru i czekającą mnie perspektywą niecodziennych wrażeń.

Wkrótce wjechaliśmy w gwarne, ruchliwe ulice Brownsville, rozjarzone blaskiem kolorowych neonów. Po dłuższym pobycie w ciszy i samotności poczułam się nagle oszołomiona i ogłuszona warkotem motorów, rykiem klaksonów, całą tą scenerią miejską, tak różną od obecnego mego otoczenia.

- To jest bank Svensonow - powiedział w pewnej chwili Maxwell, wskazując na duży, wielopiętrowy budynek o masywnej, staroświeckiej konstrukcji. Pomknęliśmy dalej barwnymi ulicami, gdzie świetlne neony zapraszały do wnętrza rozlicznych lokali, buchających gwarem głosów i dźwiękami muzyki.

Zatrzymaliśmy się wreszcie przed restauracją o rozkrzyczanym ostrymi kolorami neonie i wielkich obrotowych drzwiach, w których tkwił usłużny portier w gali, z zawodowym uśmiechem wskazujący wejście do sali. Lokal, do którego zaprosił mnie Maxwell, mógł zapewne zaspokoić wyrafinowane wymagania najwybredniejszych bywalców. Wyciszone światła, nowoczesne, aż groteskowe w koncepcji rozwiązanie architektoniczne wnętrza, orkiestra we frakach, uplasowana spiralami w kierunku parkietu, do tego wspaniała klimatyzacja, telefony i kwiaty na każdym stoliku. Wokół brzęczały kieliszki, rozlegały się śmiechy, perliło się wino, a kobiety połyskiwały bielą obnażonych ramion i migotaniem klejnotów. Niewątpliwie znalazłam się w najautentyczniejszym przybytku milionerów, w związku z czym poczułam się wręcz nieswojo.

- Wystraszona? - zapytał Maxwell, sadowiąc mnie przy stoliku i zamawiając ze znanstwem konesera kolację. - Jest pani najczarowniejszą istotą w tym gronie i najcenniejszą, zaręczam pani, a tym razem mówię zupełnie poważnie.

- Dzięki za słowa otuchy, ale zdaje się, że nie będę w stanie postawić nogi na tym lśniącym parkiecie.

- Zaryzykujemy? - zapytał i skłonił się, Zapraszając mnie do tańca.

Tańczyliśmy długo i zapamiętaliśmy. Steven był wspaniałym towarzyszem zabawy i partnerem. Poza tym taniec zawsze sprawiał mi ogromną przyjemność, więc teraz odczułam żywiołową radość, mogąc się wyhasać za wszystkie czasy, przy dźwiękach fenomenalnie grającej orkiestry.

- Niech mi pan powie, Steven, dlaczego właściwie zaprosił mnie pan na dzisiejszy wieczór? - zapytałam, kiedy wreszcie usiedliśmy przy stoliku, a wygorsowany kelner skończył wyrefinowany ceremoniał obsługi przy przeróżnych talerzykach i filiżankach. - Przecież nie jesteśmy w sobie zakochani ani na pewno nie zależy panu na błysnięciu przede mną szerokim gestem.

- A to doskonale - Maxwell roześmiał się całą pierśią. - Ma pani fantastyczną umiejętność spoglądania prawdzie w oczy. Może dla czystej, niewinnej przyjemności, a może po to, żeby wprowadzić panią w świat. Zawsze mówiłem, że muszę się z panią umówić na randkę. Zresztą który mężczyzna w moim wieku nie zechciałby spędzić wieczoru z taką dziewczyną jak pani. Niech pani popatrzy. Ten czarnowłosy Meksykanin, dwa stoliki dalej, o mało nie wyłamie sobie oka z powodu pani, a ten łysy jegomość z brzuszkiem vis-à-vis dostał już na pewno zeza przez wszystkie uwodzicielskie zabiegi. Ale szczerść za szczerść, Mary. Oczywiście, nie jestem w pani zakochany. Pani ma rację. To jest, na pewno uległbym pani urokowi, bo łączy pani w sobie wiele zalet, Mary, proszę mi wierzyć, gdyby nie istniał ktoś na tym świecie, kto na mnie czeka i komu w gruncie rzeczy jestem wiemy.

- W takim razie dlaczego pan tej istocie pozwala czekać? Chyba to nie jest konieczne w pana położeniu?

- Mała ciekawska. Czy nie jest konieczne? I tak, i nie. Widzi pani, mimo wszystko są jeszcze pewne przeszkody. Należę do gatunku tych mężczyzn, którzy wiążąc się z kobietą muszą mieć pewność, że są zdolni zapewnić jej optymalne warunki, a w każdym razie maksimum spokoju i stabilizacji. Chyba jeszcze, wbrew pozorom, ten czas nie nadszedł dla mnie, ale miejmy nadzieję, że wkrótce nadejdzie. Mary, proszę nie robić takiej poważnej, zasadniczej minki i skosztować trochę

pasztetu. Bardzo atrakcyjnie wygląda w tej girlandzie zieleni i majonezu. A teraz napijmy się za szybkie zrealizowanie naszych życiowych planów, to chyba będzie najlepszy toast. Wino jest doskonale, wieczór piękny, a pani śliczna w tej sukience jak mgła poranna. Widzi pani, staję się poetą, co prawda kiepskim, ale szczerym. No i mówmy o pani. Czy pani jest zaręczona?

- Och, Steven - mocne wino zaczęło działać na mnie niezwykle rozczulająco. - Nie, nie i jeszcze raz nie. I nawet nie wiem, czy on mnie kocha. To jest najgorsze ze wszystkiego. A na dodatek niedługo wyjeżdża ze Stanów, na zawsze. Jestem kompletną idiotką i jeśli zacznę dłużej w tej chwili na ten temat mówić, natychmiast się rozbeczę.

- Nie dopuszczę do tego. Zaraz zatańczymy. Trzeba być, wybaczy pani, ostatnim osłem, żeby trzymać w niepewności uczuć takie stworzenie jak pani. Jestem pewien, że zrobi pani zawrotną karierę w życiu i zawojuje jakiegoś milionera. Cały świat jest jeszcze przed panią.

- On mi mówił to samo - prawie wypłakałam odpowiedź do kieliszka.

- I miał rację. Pani pozwoli, madame, bo mi nogi same skaczą, do tańca - dosłownie porwał mnie w ramiona. Świetny rytm orkiestry, narastający rozgwar podnieconych głosów, bezczelne, pełne podziwu spojrzenia mężczyzn, ślizgające się po mojej postaci - wszystko to sprawiło, że nastrój mój bardzo szybko poprawił.

Kiedy zdyszana wróciłam do stolika, najbliższa i dalsza przyszłość przedstawiała mi się w zupełnie już różowych barwach.

- Pani jest Polką z pochodzenia, prawda, Mary? - zapytał Maxwell dokładając mi jakichś specjałów na talerz. - Słyszałem ód znajomych ożenionych z Polkami, że jesteście wspaniałymi gospodyniami i kompanami i stąd w Ameryce wasza cena na rynku matrymonialnym jest wysoka. Jeśli chodzi o panią, to wiem od Olafa, że jest pani wysoce kwalifikowaną farmaceutką oraz człowiekiem bardzo wrażliwym i uczuciowym. Muszę pani powiedzieć, że w następstwie jego ogłoszenia w gazecie

wpłynęło bardzo dużo ofert. Jednak ton pani listu, jego bezpośredniość, delikatnie granicząca z nieśmiałością, a jednocześnie gorące pragnienie podjęcia pracy, przewijające się między wierszami - sprawiły, że to pani właśnie została wybrana.

I jakże trafnie. Naprawdę miał szczęście, angażując panią i przyjmując do swojego domu.

- Przypuszczam, że za pieniądze, które mi płaci, znalazłby setki równie wrażliwych i uczuciowych istot. Nie chcę, żeby mnie ktokolwiek przeceniał i gloryfikował moje postępowanie. W gruncie rzeczy jestem skrajną materialistką.

- Niech pani nie spłyca tego zagadnienia, Mary. Jestem pewien i Olaf również, że traktuje pani pracę w domu Svensonów poważnie i angażuje się w nią emocjonalnie.

- Współczuję panu Svensonowi, to prawda, i mam dla niego dużo podziwu. Wiem, że znajduje się na granicy ludzkiej wytrzymałości i w stanie ostatecznego napięcia nerwowego. Chciałabym mu pomóc, o ile jest w mojej możliwości. Nieraz zadaję sobie pytanie, jak w ogóle może mężczyzna w jego wieku prowadzić taki tryb życia. Czy od dawna pani Svenson jest chora?

- To trwa już siedem lat, Mary. Trzy lata po ślubie wyjechali w podróż do Szwecji, ojczystego kraju Olafa. Przedtem podróżowali po całej Europie. Wypadek miał miejsce w Szwecji.

- Czy pani Svenson jechała samochodem sama?

- Tak, ona bardzo lubiła samotne wycieczki. Po prostu często zabierała auto z garażu i robiła szalone, karkołomne eskapady. To leżało w jej naturze, mimo iż lekarz w ogóle zabronił jej prowadzenia auta ze względu na wrodzoną wadę serca. Ale Margaret zawsze robiła wszystko wbrew sobie samej, tak jakby nie zależało jej na życiu. A przecież miała pełnię możliwości cieszenia się nim.

- Szczególnie będąc młodą, bogatą i mając pięknego, kochającego męża.

- Pani ma rację. Olaf był wtedy piękny. Chyba żadna kobieta nie potrafiłaby mu się oprzeć. Pracowaliśmy razem od

początku w banku, będącym własnością ojca Margaret - Johna Wilsona. Trudno go było nie zauważyć. Ale niech pani nie myśli, że to on zarzucał sidła na posażną jedynaczkę. Nic podobnego. To Margaret go wybrała. Postanowiła wziąć go za męża i nikt i nic nie mogło jej od tego powstrzymać. Trzeba przyznać, że ojciec jej początkowo był bardzo przeciwny temu związkowi i bolał nad nim. Ale Margaret była uparta i miała nieograniczony wpływ na ojca. A poza tym była chora. Ojciec bał się katastrofy. Nigdy jej niczego nie odmawiał.

- Czy była ładna?

- Ciekawy typ urody. Szczupła, wysportowana blondynka. Uprawiała wyczynowo sporty mimo surowego zakazu lekarzy. Może nie miała regularnych rysów twarzy, ale sposób ubierania się, poruszania - wszystko składało się na elegancką, harmonijną sylwetkę.

- Biedna kobieta. Teraz taka przykuta do miejsca. Jak okrutne okazało się dla niej życie.

- Tak. Ten wypadek był potworny. Czołowe zderzenie wozu z autobusem. Zebrano ją wprost z kawałków. Tylko poświęceni i samozaparcu Olafa oraz maestrii szwedzkiego chirurga Margaret może zawdzięczać życie, o ile śmierć nie byłaby lepsza od takiej wegetacji.

- Zauważyłam, że ludzie w okolicy, sąsiedzi bardzo interesują się jej losem.

- Już pani mówiłem. To małe miasteczko. Nie wszystko jest dla nich zrozumiałe. Ojciec Margaret umarł w rok po jej ślubie. Zostawił córce ogromny majątek. Najbogatsi ludzie zawsze są na świeczniku i stanowią obiekt różnych plotek i domysłów. Dziwili się, że pożycie Olafa z żoną było dobre. Dziwią się, że Olaf z takim poświęceniem pielęgnuje żonę. Nie mogą zrozumieć jej izolacji od świata, która jest przecież przymusowa. Po prostu rozczarowali się co do Olafa. Uznali go a priori za karierowicza, a tymczasem okazał się być wiernym i najtroskliwszym małżonkiem w tragicznych chwilach życia Margaret. I chyba to ich właściwie boli. Poza tym Olaf jest świetnym fachowcem.

Prowadzi interesy żony z wielką energią i talentem. Tego się

też nie spodziewali, oczekując utracjusza i wydrwigrosza, żerującego na majątku żony. Ta odmienność rozwiązań życiowych od przyjętych założeń jest źródłem niepokoju szacownych obywateli miasteczka.

- Wie pan, Steven, jest jedna sprawa, która mnie nęka i chciałabym ją wyjaśnić. Czy dobrze zna pan doktor Jörson?

- Tak, znam ją od wielu lat. To bardzo zdolny lekarz o podstawowej specjalności - chirurgia serca. Obecnie nie praktykuje jako chirurg i pracuje w klinice kardiologicznej swojego stryja, doktora Ame Jörsona. To bardzo znana i ceniona klinika, aczkolwiek obejmuje leczeniem wyłącznie dzieci o wrodzonych wadach serca, wymagających interwencji chirurgicznej. Ann Jörson ukończyła specjalizację w zakresie chirurgii urazów i nowotworów mózgu w Szwecji pod kierunkiem wybitnych uczonych.

- Tak. Słyszałam, że została przeszkolona przez profesora Brenta i dlatego ona wyłącznie może nawiązać kontakt z panią Svenson i leczyć ją na serce. Ale nie to mnie niepokoi, Steven, ona wydaje mi się jakaś dziwna, bezosobowa. Tyle razy chciałam z nią porozmawiać, ale doktor wyraźnie mnie unika. Wydaje się, że nie uważa mnie za osobę godną zawarcia znajomości, że mnie lekceważy. A przecież wielokrotnie pragnęłam wyjaśnić pewne sprawy dotyczące receptury leków, zasięgnąć jej wskazówek. To byłoby dla mnie bardzo cenne. Nie wiem, czemu przypisać tego rodzaju stosunek doktor Jörson do mnie.

- Przemię, nadwrażliwe maleństwo z pani, Mary. Niech pani nie potępia doktor Jörson. Na pewno zachowanie jej nie wypływa z tych pobudek, o jakie pani ją posądza. Musi ją pani zrozumieć. Jest bardzo zajęta, pracuje naukowo. Przez pewien czas sama ciężko chorowała, co zdarza się u ludzi przemęczonych pracą. Dlatego chwilowo musiała zaniechać praktyki chirurgicznej. To był dla niej wstrząs psychiczny. Ale jeżeli uważa pani za konieczne nawiązanie z nią kontaktu, porozmawiam na ten temat z Olafem. Przyrzekam. No, ale dość o tym, Mary. Strasznie ma pani smutną minę. Przecież przyszliśmy po to, żeby się bawić. Proponuję wznieść toast za

naszą wspólną pomyślność. I tańczmy. Życie jest piękne.

Tańczyliśmy, piliśmy i znowu tańczyliśmy. Widmo biednej Margaret odpłynęło w dal z tej wykwintnej sali, gdzie dominował śmiech i królowała melodia jazzowa. Steven robił wszystko, żeby mnie rozweselić, i w pełni mu się to udało.

Wracaliśmy późną nocą. Kiedy auto zajechało przed uspioną willę Svensonów, Maxwell odezwał się nagle:

- Jakiś mały pocałunek, Mary, należy mi się chyba? '

- Z całą pewnością - odparłam, walcząc z sennością, i obejmując go za szyję, ucałowałam po bratersku w policzek.

- Dziękuję i za to, Mary - roześmiał się, żegnając mnie ukłonem. W tej chwili okno na piętrze zatrzasnęło się gwałtownie, mącąc ciszę nocną.

## **Rozdział szósty**

- Pani pozwoli - to jest profesor Brent, a to miss Mary Milsky - dokonał wzajemnej prezentacji Svenson przed kolacją pożegnalną, do udziału w której zostałam zaproszona wraz z Maxwelllem. Słynny lekarz w najbliższym czasie odlatywał już do Szwecji. Stół w jadalni ugiął się pod ciężarem potraw, srebrnej zastawy i wykwintnej porcelany. Z ciekawością przyglądałam się znakomitemu uczonemu, którego wizyta w domu Svensonów przyniosła wręcz rewelacyjne wyniki, pani Svenson bowiem od wczoraj zaczęła wychodzić z domu i po raz pierwszy po chorobie udała się na przejażdżkę samochodem. Z okna swojego pokoju widziałam, jak obaj mężczyźni, mąż i lekarz, prowadzili ją pod rękę i ulokowali w samochodzie. Chodziła wprawdzie wolniej, opierając się ciężiej na ramieniu męża i z wysiłkiem podnosząc stopy, ale niewątpliwie wracała do dawnej formy. Od niedawna na nowo zajęła swoje ulubione miejsce w fotelu przy oknie i siadywała w zwykłej pozycji, opierając głowę na rękę lub odwracając ją w głąb pokoju, zapewne w ślad za mężem, który prawie nieustannie z nią przebywał. Jeszcze raz więc sztuka lekarska odniosła zwycięstwo nad nieubłaganą chorobą, drażącą to wątłe ciało.



Nic dziwnego, że postać chirurga, jego wygląd zewnętrzny budziły we mnie zrozumiałe zainteresowanie. Brent był to człowiek o masywnej budowie ciała i nieruchomej twarzy, której wyrazu nie można było rozszyfrować, tak jakby jakakolwiek mimika czy gra uczuć była mu niedostępna. Zauważyłam, że jadł, a szczególnie pił dużo, a odzywał się mało, samymi prawie półsłówkami. Niepomierne też uderzyły mnie jego ręce. Spodziewałam się ujrzeć szczupłe, nerwowe palce, tymczasem były grube i krótkie, a tym niemniej przecież potrafiły dokonywać zabiegów operacyjnych, stojących na pograniczu cudu.

Maxwell jak zwykle stał się duszą towarzystwa. Wznosił liczne toasty za szczęśliwe wyzdrowienie Margaret, za dalszą poprawę jej zdrowia, za wielkość i sławę profesora Brenta i nowy sukces jego wiedzy. Profesor za każdym razem kiwał dużą głową i podnosił kieliszek do ust.

- A teraz wypijmy za pomyślność i powodzenie miss Mary Milsky, dzielnej współpracowniczki pana profesora, naszej nieocenionej farmaceutki, której zapobiegliwe ręczki przyrządzają wszystkie lekarstwa przepisane chorej - powiedział w pewnej chwili Steven, pochylając się w moją stronę.

Olaf uśmiechnął się melancholijnie i przytknął usta do kieliszka. Pił bardzo mało, jakby wsłuchany w odgłosy dochodzące z pierwszego piętra. Widocznie myślą cały czas był przy żonie. Kolacja upływała raczej w minorowym nastroju, mimo usiłowań Maxwella, aby nadać jej pozory radosnej uroczystości, celebrowanej na cześć wyzdrowienia pani Svenson. W miarę mnożącej się ilości toastów zachowanie profesora, ku memu wielkiemu zdziwieniu, zaczęło ulegać coraz większemu przeobrażeniu. Wymachując niemal rękoma, stale zwracał się do Svensona po szwedzku, co wobec mojej całkowitej nieznajomości tego języka było niemalym nietaktem towarzyskim. Z intonacji jego chropowatego głosu mogłam jednak z całą pewnością wywnioskować, że profesor jest z czegoś niezadowolony, że zaczepia i prowokuje gospodarza do ostrej wymiany zdań, a nawet do kłótni. Po raz drugi, w ciągu

ostatnich kilku dni, zdziwiła mnie reakcja Svensona. Wydało mi się, że nie tylko nie broni się przed agresywnym, niegrzecznym wystąpieniem szwedzkiego gościa, ale okazuje zmieszanie, jak skarcony uczeń. Na jego poblądłej nagle twarzy pojawił się znowu nie znany mi przedtem wyraz służalczej prawie uległości i pokory, który zaobserwowałam już w czasie sceny przy samochodzie przed domem.

W pewnej chwili rozjuszony profesor huknął pięścią w stół, rozlewając alkohol na obrus. Właściwie już wtedy powinnam była wstać i odejść, ale zauważyłam uspokajające i jakby proszące o wyrozumiałość spojrzenie Maxwella i zostałam. Maxwell zresztą zaraz potem we właściwy sobie kulturalny sposób rozładował napiętą atmosferę.

Wkrótce profesor zaczął izolować się od towarzystwa, odpowiadał mrukiwie, ociężałe opierając się o krzesło. Purpurowa barwa jego twarzy świadczyła o nadmiarze wchłoniętego alkoholu. Mimo całego szacunku dla jego wysokich kwalifikacji zawodowych skonstatowałam, że nie grzeszy on żadnymi walorami towarzyskimi i na co dzień musi być porządnym gburem i snobem. Pożegnałam więc szybko wszystkich panów pod pozorem bólu głowy. Nazajutrz Svenson dostarczył mi całe fury recept, jakby chcąc nadrobić poprzednie zaległości. W tym zakresie profesor przejawiał jednak wielką aktywność.

„Jesteś cholernym leniem, Mańka - powiedziałam sobie, zabierając się do roboty z mniejszym niż zwykle zapalem. - Zapachniały ci wytworne kolacyjki, ekskluzywne restauracje i randki. A tymczasem jesteś zwykłą sobie siłą najemną, którą można zwolnić z pracy, nawet nie kwitując jej odejścia żadnym podziękowaniem. Przewróciło ci się w głowie, kochanie, od miłych słówek i niezasłużonych komplementów. Dobra rada: wybij sobie z głowy wszelkie mrzonki i zajmij swoje właściwe miejsce, zapoznany aniele”. Kończąc swój monolog, zauważyłam nagle z niemałym przerażeniem, że zabrakło mi jednego z najbardziej podstawowych składników, niezbędnego do przyrządzania lekarstwa nasercowego, bez którego medykament ten nie miał właściwie żadnego znaczenia. Moim

zasadniczym obowiązkiem było zasygnalizowanie o tym we właściwym czasie Svensonowi, który zgodnie z przyjętą praktyką natychmiast uzupełniał braki. Zdarzało się, że niektóre leki sprowadzał samolotem z zagranicy. No, to był cios nie lada, który zresztą wyłącznie mogłam sama sobie zawdzięczać. Faktem było, że rozleniwiałam się w czasie pobytu Brenta do ostateczności i wyniki takiego stanu rzeczy nie dały na siebie długo czekać. Ponieważ zdawałam sobie jasno sprawę, że ów środek nasercowy stanowi główne źródło zasilania i pobudzania schorzałego narządu pani Svenson, tym większa była moja wina i niebezpieczeństwo, które mogło spowodować tego rodzaju karygodne niedbalstwo.

Nigdy jak dotąd nie korzystałam z miejscowej apteki, stanowiącej własność małżeństwa Downson, ale dzisiejsza sytuacja zmuszała mnie do tego. Svensona nie było w domu. Pierwszy raz odważył się wyjechać w pilnych sprawach, nie mogłam więc zakłócić mu spokoju z takim trudem osiągniętego. Postanowiłam zatem wybrać się do miasteczka, chociaż w głębi ducha przewidywałam, że Downsonowie muszą żywić urazę do Svensona za to, że nie korzysta z ich usług farmaceutycznych.

Apteka położona była przy jednej z centralnych ulic. Wiało od niej chłodem i dostojnością. Oślepiające światło letniego dnia gasło na progu mrocznego wnętrza, przesyconego tak dobrze znanym mi zapachem leków, zagęszczonym w słabo przewietrzanym lokalu. Zza lady, ciągnącej się masywną, dębową konstrukcją wzdłuż ściany, zastawionej od góry do dołu przeróżnej wielkości flakonami z lekarstwami, podniósł się drobny, szczupły mężczyzna w białym fartuchu, o zmarszczonej, bezbarwnej twarzy.

- Słucham panią - powiedział i odebrał z moich rąk receptę, prawie nie podnosząc na mnie oczu. Zanim jednak zdążył wyjść na zaplecze, z czeluści apteki wyłoniła się zażywna blondynka w średnim wieku, o pretensjonalnie wymalowanej twarzy i obfitych kształtach, wylewających się z kwiecistej, jaskrawej sukni.

- Czyżby pan Svenson raczył sobie przypomnieć o aptecę

Downsonów? - prawie krzyknęła opierając się o ladę. - To pani zapewne jest tą nieocenioną siłą fachową, która prowadzi mu własne laboratorium. Cóż się stało, droga koleżanko, że jesteśmy wam potrzebni?

- Ależ Elizo - obruszył się Downson, chcąc odejść na zaplecze, ale energiczna połowica, która, jak widać, dzierżyła batutę w tym stadle, spiorunowała go ostrym spojrzeniem i zatrzymała gestem ręki.

- Poczekaj, Dawidzie, skoro już szanowna pani nas odwiedziła, może byśmy chwilę porozmawiali, dotąd bowiem byliśmy traktowani przez pana Svensona jak zapowietrzeni.

- Elizo, daj spokój - powiedział cichym, bezbarwnym głosem Downson. - Lekarstwo, proszę pani, będzie gotowe za pół godziny - dorzucił, zwracając się do mnie - apteka Downsonów nigdy nikomu nie odmówiła pomocy.

- O tym nie może być mowy - zaperzyła się jego małżonka, opierając się całą swą korpulentną postacią o ladę - proszę, niech pani siądzie i zaczeka. Nigdy nie miałam na myśli odmowy wykonania lekarstwa. Mąż mnie źle zrozumiał. Niech się pani jednak nie dziwi, że się uniosłam. Całe miasto trzęsie się z oburzenia z powodu postępowania Olafa Svensona. Jak on nas traktuje! Czy nie zasługujemy na jego zaufanie? Przecież John Wilson, ojciec Margaret, był naszym najlepszym przyjacielem, nas i sędziego Edgara Smitha.

- Elizo - Downson wysunął swą niepozorną postać zza wielkiej szafy, pełnej przeróżnych mikstur - cóż to w końcu może panią obchodzić. Proszę cię, daj wreszcie spokój.

- Przepraszam panią, ale szczerze mówiąc nie mogę się powstrzymać, żeby tego nie powiedzieć. Chyba nie ma mi pani tego za złe? - Eliza Downson zawiesiła spojrzenie na mojej twarzy.

Przez cały czas jej monologu i dialogu z mężem nie odezwałam się ani słowem, przygwożdżona zaskakującą reakcją tej matrony, która widocznie od lat przeżywała zapamiętałą złość do Svensona i teraz miała okazję ją wyładować. Usiadłam w oczekiwaniu na lekarstwo przy małym stoliku, na którym karafka z wodą zajmowała poczesne

miejsce. Nie wiedziałam zresztą, co odpowiedzieć na tę lawinę słów, wyrzuconych z pasją z jaskrawo umalowanych ust aptekarzowej, ale ona nawet na to nie czekała, tylko ciągnęła dalej:

- No, bo proszę pani, przez te wszystkie lata, od chwili wypadku, Svenson omija nas z daleka, jakby nas nigdy nie znał. I nie pozwala odwiedzić Margaret, a nawet do niej się zbliżyć. Niech pani chociaż powie, czy ona naprawdę nie pragnie żadnego towarzystwa? Przecież obecność ludzi bliskich, wśród których wyrosła, ludzi jej życzliwych, przyjaciół jej nie żyjących rodziców - nie może być jej niemiła. Czy ona nigdy nas nie wspomina? Niech pani powie, przecież pani ją codziennie widuje! Biedna kobieta! Całe miasto pragnęłoby się do niej zbliżyć, dać jej dowody sympatii. Przecież ona nie może żyć jak w więzieniu, a Svenson nikogo do niej nie dopuszcza. Wszyscy jesteśmy nie tylko tym zdziwieni, ale bardzo zaniepokojeni. Moim zdaniem powinna się w to wtrącić policja - Downsonowa znów zaczęła się podniecać własnymi słowami i wypieki wystąpiły jej na policzki. - Całe szczęście, że pani przyjechała. Niech nam pani raz wreszcie wyjaśni, co się tam właściwie dzieje. Maxwell postępuje tak samo jak Svenson. Jest nieuchwytny. Z nikim nie rozmawia. A służąca jest głuchoniema. Svenson wziął ją z jakiegoś przytułku. Właśnie głuchoniemą, czy to nie zastanawiające?

- Proszę pani, myślę, że jest pani w poważnym błędzie. Postępowanie pana Svensona jest całkowicie uzasadnione ciężką chorobą żony. Pani Svenson jest pod najtroskliwszą opieką, jaką tylko osoba w jej położeniu może być otoczona

- powiedziała w momencie, kiedy Downsonowa zdawała się już wysapać część zapiekłej nienawiści, toczącej ją od lat.

- Tak pani mówi? Cóż, trzeba pani wierzyć. Pani jest tam z nimi. Nie zależy pani na wprowadzaniu nas w błąd, mam nadzieję. Jak się ona czuje, biedna Margaret? Słyszałam, że ostatnio było z nią krucho. Ten rudy Szwed był znowu w „Różanych Krzewach” - podobno słynny profesor. Być może, nie przeczę. Wiemy, że jest pod stałą opieką doktor Ann Jörson z dziecięcej kliniki chirurgicznej. Ale dlaczego

właściwie chirurdzy leczą ją na serce? Czy to też ich specjalność? Poza tym można by mieć duże zastrzeżenia co do Ann Jörson. Różnie o niej mówią. Wokół jej osoby wybuchł jakiś skandal. Odebrano jej prawo praktyki chirurgicznej. Tylko jej rodzony stryj, doktor Arne Jörson, zgodził się z litości zatrudnić ją u siebie. I takiej lekarce Svenson powierzył pieczę nad zdrowiem Margaret. Przecież ona zawsze była pod opieką doktora Wallesa. On tak dobrze zna jej serce. Stary John Wilson miał do niego bezgraniczne zaufanie. A teraz Wallesowi nie wolno nawet się do niej zbliżyć. To niesłychane!! Niech pani powie Svensonowi, co o nim myślimy.

- Proszę pani, lekarstwo gotowe - Downson wyłonił się z mroku apteki, trzymając pudełeczko w ręku. - Dwa dolary dwadzieścia. I przepraszam za Elizę - dodał inkasując pieniądze. - Niech pani nie ma jej za złe tej babskiej gadaniny. Ona bardzo lubi Margaret. Prosimy ją pozdrowić od starych przyjaciół - mówił to wszystko z namysłem, jakby wypowiadał najdłuższe expose swojego życia.

Z uczuciem niemałej ulgi odebrałam lekarstwo i wprost wybiegłam na ulicę. Trzeba przyznać, że społeczeństwo tutejsze nie darzy sympatią mego chlebobdawcy. Nie mnie było sądzić, czy i w jakiej mierze znajdowało to usprawiedliwienie w sytuacji życiowej Svensona. W każdym razie argumenty Maxwella znajdowały potwierdzenie: osoba Svensona, jego postawa, tragedia osobista budziły liczne kontrowersje i niepokój mieszkańców miasteczka.

Najbardziej jednak poruszyła mnie wiadomość o niepochlebnej opinii, krążącej wokół doktor Jörson. Z jej osobą wiązała się jednak jakaś nie znana bliżej historia, podważająca jej autorytet lekarski, zapewne jednak wyolbrzymiona przez aptekarzową. Rozumiałam przymusową sytuację Svensona, który zaangażował doktor Jörson ze względu na jej umiejętności, zdobyte w Szwecji pod kierunkiem Brenta. Ale czy mimo wszystko Svenson nie powinien był pójść trochę na kompromis?

Zamiast otaczać się tajemniczością, mógł przecież szczerze

porozmawiać z ludźmi, którzy stanowili kiedyś grono najbliższych przyjaciół jego żony. Chyba że spotkał się w swoim czasie z ich nienawiścią, a obecnie nie mógł czy nie chciał tej zapory przełamywać.

Tego wieczoru nie byłam z siebie zadowolona. Wizytę w aptecce uznałam za pewnego rodzaju sprzeniewierzenie się poleceniom Svensona, który w zasadzie prosił mnie o nienawiązywanie kontaktu z ludźmi, a poza tym rozmowa z wylewną aptekarzową dziwnie rozstrajająco podziałała mi na nerwy. Ostatecznie nie moim zadaniem była walka z opinią środowiska. Zauważyłam też, że pani Downson pożegnała mnie z domyślnym, niemal cynicznym uśmiechem po otaksowaniu bazylijszkowym spojrzeniem mojej sylwetki od czubka głowy do modnej podeszwy niedawno kupionych pantofli.

„Wredna baba” - myślałam z narastającą złością, jednocześnie starannie ustawiając na tacach spreparowane tego dnia lekarstwa, kiedy na progu laboratorium stanął Svenson.

- Miss Mary - powiedział i spojrzał na mnie jakby z pewnym zażenowaniem.

„Chce mi wypowiedzieć pracę - przemknęło mi przez głowę - i nie wie, jak to zrobić”. Należało się tego spodziewać. A zatem skończyła się wyprawa po złote runo. Chyba tak będzie najlepiej.

- Miss Mary - powtórzył zbliżając się do mnie -dlaczego ma pani takie zatrwożone spojrzenie. Czy ktoś zrobił pani przykrość? Widziałem, że była pani dzisiaj w miasteczku. Wiem, ludzie są tu podli. Powinienem był wywieźć stąd Margaret, ale ona jest tak bardzo przywiązana do „Różanych Krzewów”. Chciała tu zostać. Zdaję sobie sprawę, że pobyt w tym domu nie jest dla pani przyjemny, i jestem bardzo wdzięczny, że dotrzymuje pani danego mi przyrzeczenia i nie opuszcza nas. Teraz, kiedy zdrowie Margaret uległo pewnej poprawie, wydaje się ona wiele rozumieć. Wyczułem, że było jej życzeniem, abym pani coś od niej ofiarował, i dlatego proszę to przyjąć w jej imieniu, Mary - wyciągnął rękę i podał mi otwarte pudełeczko. We wnętrzu połyskiwała misternie

wykonana broszka, rubin otoczony brylancikami w kształcie węża.

- Ja naprawdę nie mogę tego przyjąć, panie Svenson - wybąkałam - przecież na to nie zasługuję. Spełniam tylko swój obowiązek.

- Niech mi pani nie odmawia, Mary. Ona w ten sposób pani dziękuje, inaczej nie umie i nie może. - Svenson uklonił się lekko i zostawił mnie w niemym osłupieniu, z pudełkiem w zastygłej w bezruchu ręce.

## **Rozdział siódmy**

Ostatnia konsultacja stanu zdrowia Margaret Svenson, dokonana przez doktor Jørsen, przyniosła w plonie fury recept o tak skomplikowanym zestawie farmakologicznym, że włosy stanęły mi dęba na głowie. Konieczność codziennego preparowania takiej ilości medykamentów, o tak toksycznym działaniu i recepturze sięgającej szczytów precyzji - zaczęła przerastać moje siły. Rozumiałam, że stan zdrowia pani Svenson mógł, zdaniem lekarza, wymagać posiadania w pogotowiu bardzo szerokiego asortymentu leków, ale praca przy nich wystarczyłaby dla trzech farmaceutów o stalowych nerwach. Mimo woli zaczęłam się zastanawiać, czy zalecenia doktor Jörson nie wykraczają jednak poza granice zdrowego rozsądku i nie są wynikiem jakiegoś specjalnie złośliwego stosunku wobec mojej osoby. Być może (choć chciałam za wszelką cenę odrzucić takie posądzenie), do uszu jej dotarły za pośrednictwem Maxwella lub Svensona moje zastrzeżenia co do jej zachowania i sposobu bycia i dlatego postanowiła pognebić mnie ostatecznie, zarzucając pracą przekraczającą moje możliwości. Nie wiadomo w końcu, jaką rolę odgrywa ona w życiu któregoś z nich. Jest przecież młodą, samotną kobietą o interesującej aparycji. Może jest po prostu po kobiecemu dziko zazdrosna, uważa mnie za potencjalną rywalkę i chce mnie się w ten sposób pozbyć.

Niewątpliwie Svenson po śmierci Margaret, która wciąż wisi



jak miecz Damoklesa nad jej nieszczęsną głową, stanowić będzie niezwykłą partię dla każdej kobiety. A może Svenson już od dawna szuka ukojenia w jej ramionach, może jest jego wieloletnią kochanką. Nikt nic nie wie o kuluarach jego intymnego życia. Ale jaka jest prawda? W każdym razie obarczanie mnie pracą przez doktor Jörson o aktualnie niebywałym wręcz nasileniu mogło znajdować pokrycie w moich podejrzeniach.

Właśnie rozpoczęłam przegląd recept dostarczonych mi tego dnia przez Svensona, kiedy wzrok mój utkwiał w jednej z nich ze zdumieniem graniczącym z przerażeniem. Tak, to była wyraźna szykana ze strony lekarki, broń wymierzona w moim kierunku. Żaden farmaceuta nie miałby prawa wykonać tego lekarstwa bez zastrzeżeń, ze względu na jednoczesne zastosowanie dwóch przeciwstawnie działających składników, w zasadzie wzajemnie się wykluczających. Konsekwencje użycia tego leku przez pacjenta mogły być bardzo różnorakie i trudne do przewidzenia. W każdym razie mógł on wpłynąć zdecydowanie ujemnie na przewód pokarmowy, a nawet spowodować trwalsze zakłócenia pracy jelit, co dla stanu zdrowia pani Svenson stanowiło poważne zagrożenie.

A więc taka jest gra doktor Jörson! Albo pragnie mnie skompromitować, wykazać, że jestem całkowitą dyletantką w swoim zawodzie, i w ten sposób usunąć z „Różanych Krzewów”, albo chce mnie sprowokować do otwartego wystąpienia przeciw niej, które również może mieć dla mnie nieprzyjemne następstwa. W każdym razie karty zostały odkryte, a ja muszę podjąć rzuconą rękawicę i rozpocząć otwartą walkę. Według mojego rozeznania, doktor Jörson powinna właśnie w dniu dzisiejszym zjawić się u Svensonów.

A więc, miła kotko, zachłannie broniąca łakomego kaska, nie umkniesz mi dzisiaj i odpowiesz na moje zarzuty. Gdybym była takim obrzydliwcem jak ty, mogłabym nadać tej sprawie rozgłos i kto wie, czy ta twoja i tak, jak słyszałam, nadszarpnięta kariera lekarska, nie uległaby całkowitemu zwichnięciu. A może po prostu posądzono by cię o nieczne zamiary wobec pani Svenson dla zdobycia Olafa? Ale

ostatecznie nie na tym mi zależy. Nie jestem aż tak mściwa. Tylko nie dam się tak łatwo utracić. Gdybym zaś chciała zająć się bliżej osobą Svensona, to kto wie, czy nie mogłabym i w tym zakresie pokrzyżować twoich planów. Coś mi się wydaje, że ten milionowy bożek nie jest tak zupełnie nieczuły na moje wdzięki i gdyby nie pewien niezrównoważony chłopiec, o którym nawet nie wiem, czy mnie kocha, to ja, a nie ty, miałabym być może szansę pływania jachtami po południowych morzach całego świata i obwieszania się brylantami od czubka nogi do dziurek w nosie. Uff, ale mi ulżyło! Wszystko to wymyśliłam sobie na poczekaniu, ale był to jedyny sposób, aby jakoś uspokoić się wewnątrz. Po dalszym namyśle postanowiłam, zachowując zimną krew, kategorycznie rozmówić się tego dnia z doktor Jörson. W każdym razie nie mogę być igraszką w rękę tej kobiety, a Svenson powinien się dowiedzieć, jak sprawa wygląda.

Przewidywania moje, że w dniu, dzisiejszym nastąpi wizyta lekarki u chorej, okazały się słuszne. Svenson przywiózł ją samochodem, a ona, jak zwykle, nie oglądając się za siebie, wbiegła po schodach, powiewając rozpiętymi połami białego fartucha. Celowo o tej godzinie zostałam jeszcze w laboratorium, aby nie przeoczyć końca jej wizyty.

Stosunkowo prędko usłyszałam, że oboje ze Svensonem zamykają drzwi od mieszkania Margaret. Wtedy wybiegłam do hallu i zagrodziłam przejście lekarce, która przystanąła, podnosząc gestem nieopisanego zdziwienia rękę do góry, jakby chciała mnie odtrącić. Pierwszy raz znalazłam się tak blisko tej kobiety i spojrzałam jej w twarz, która wydała mi się niesamowita. Była bowiem powleczone jakąś nienaturalną bladością, pośród której wyblyskiwały czarne, płonące, piękne oczy, pełne w tej chwili pogardy i wstrętu, jakby oglądały jakiegoś paskudnego gada.

- Doktor Jörson, chciałabym z panią pomówić - powiedziałam, starając się nadać głosowi naturalne brzmienie.

- Słucham, co ma mi pani do powiedzenia? - odparła nieprzyjaznym tonem i oparła się o balustradę schodów.

- Sprawa nie jest błaha, bowiem dotyczy jednej z recept,

wystawionych przez panią, której nie mogę akceptować. Chciałabym prosić o wyjaśnienie dotyczące konieczności zastosowania przepisanych przez panią składników. Według mnie zachodzi tu duża nieprawidłowość.

Wyciągnęłam rękę, chcąc jej podać receptę, ale Ann Jörson udała, że tego nie dostrzegła.

- Nie uważam za stosowne tłumaczyć się przed panią z moich czynności, miss Milsky. Niech pani nie zapomina, że jestem doświadczonym lekarzem, a pani początkującą farmaceutką, bez żadnej praktyki. Najwidoczniej brak pani elementarnych wiadomości fachowych, skoro nie umie pani właściwie odczytać recepty.

- Pani chce mnie obrazić, doktor Jörson. Niezależnie jednak od tego, co pani o mnie myśli, zakwestionowanie tej recepty jest moim obowiązkiem, gdyż lekarstwo według niej wykonane mogłoby mieć ujemne skutki dla pani Svenson i dlatego raz jeszcze stanowczo proszę o wyjaśnienie. - Czułam tak gwałtowną falę zdenerwowania, że chwilami głos mi się załamywał, jak u chłopca przechodzącego mutację.

- To pani jest impertynentką, miss Milsky. Po prostu nie może pani wywiązać się właściwie z podjętej pracy, prawie nic pani jeszcze nie umie i ośmiela się pani podważać autorytet lekarza. To bardzo nieładnie o pani świadczy. Ja na pani miejscu w tej sytuacji wiedziałabym, jak postąpić, żeby uniknąć dalszej kompromitacji. A teraz rozmowę naszą uważam definitywnie za skończoną. Panie Svenson, proszę pomóc mi wyjść z tego domu - kątem oka spojrzałam na Svensona. Stał na ostatnim stopniu schodów, za lekarką. Twarz miał pobladłą i zmieszaną.

W takim razie, mister Svenson, nie podejmuję się dalszej współpracy z tą panią i dzisiaj wyjeżdżam! - krzyknęłam, trzeba przyznać, jak skończona histeryczka. Svenson, który znajdował się już na progu drzwi wyjściowych, za wychodzącą lekarką, podbiegł do mnie i chwycił za rękę.

- Niech się pani uspokoi, Mary, i na mnie poczeka. Wrócę jak najprędzej. Muszę z panią pomówić. Na wszystko proszę. Postaram się pani wiele wytłumaczyć. - Twarz miał tak bladą

jak nigdy, a uścisk jego dłoni był długi i rozgorączkowany.

„Jaguar” odjechał z niebywałym pędem, a ja zostałam w hallu na fotelu pod palmą. Szalała we mnie moja ambicja zawodowa, spotęgowana osobistą złością do arbitralnej, a w dodatku niesumiennej lekarki. Bez wątpienia Ann Jörson chciała zmusić mnie do rezygnacji z pracy, a jednocześnie ośmieszyć i pognebić w oczach Olafa. Być może, że przezornie zostawiła mi dyspozycję o niestosowaniu tego lekarstwa. Oczywiście teraz było, że moje przecucia odnośnie jej osoby miały pełne uzasadnienie.

W takim razie nie mogę, nie będę kontynuować tej pracy, skoro mam być narażona na tego rodzaju afronty i zmuszana do czynności niezgodnych z moją etyką i wiedzą zawodową. Przecież w tych warunkach, kiedy Ann Jörson nie chce ze mną współpracować, mogłam się z jej strony spodziewać dalszych szykan, a tego nie zniosłabym nawet za milion dolarów.

Svenson wrócił tak szybko, że nie zdążyłam jeszcze ochłonąć z wrażenia. Wbiegł do hallu i usiadł w fotelu naprzeciwko mnie.

- Pani chce nas opuścić, prawda, Mary - powiedział, patrząc mi badawczo w oczy. - Niech pani tego nie robi. Proszę, serdecznie proszę. Wszystko pani wytłumaczę.

- Panie Svenson - powiedziałam, unikając jego spojrzenia - tyle już razy rozmawialiśmy na ten temat, ale teraz sytuacja jest wyjątkowa. Nie mogę walczyć z doktor Jörson i ustępuję. Jestem młodą farmaceutką, ale znam swoje obowiązki. Nie wiem, czym kieruje się doktor Jörson, usiłując mnie poniżyć, i dlaczego narzuca mi pracę, której nie mogę i nie mam prawa wykonać. Jeśli uważa, że nie mogę sprostać swoim zadaniom, jedno jest wyjście: muszę odejść.

- Mary, niech pani mnie posłucha uważnie i zrozumie. Nie mogę zrezygnować z usług doktor Jörson. Ona jedna, jak pani wiadomo, może obcować z Margaret bez szkody dla jej zdrowia. To lekarz o dużej wiedzy fachowej, ale i nieszczęśliwy człowiek. Tym niemniej oświadczenie pani co do nieprawidłowości wystawionej przez nią recepty, choć stanowi ogromne zaskoczenie, jest dla mnie najzupełniej wiarygodne. Przrzekam, że postaram się tę sprawę bliżej wyjaśnić i

skonsultować z profesorem Brentem. Ten niespodziewany konflikt z doktor Jörson nie może mieć jednak najmniejszego wpływu na pozycję pani w naszym domu. Ja pani wierzę, Mary, i bardzo wysoko oceniam pani pracę. Nie znam motywów postępowania doktor Jörson, ale biorę to na siebie, aby nigdy nic podobnego się nie powtórzyło i żeby doktor Jörson traktowała panią z należytych uznaniem i respektem. Natomiast ze swojej strony bardzo panią proszę, żeby pani z całą uwagą i zwykłą sobie sumiennością selekcjonowała recepty i kwestionowała je w razie jakichkolwiek zastrzeżeń, przekazując mi wszelkie uwagi. Będzie mi pani teraz w dwójnasób potrzebna. Miss Mary, ja naprawdę nie mam innego wyjścia, proszę mi wierzyć. Bardzo serdecznie przepraszam za ten incydent i proszę jeszcze raz o podanie mi ręki w nieszczęściu. Niech pani powie, że się pani zgadza, Mary - Svenson obrzucił mnie przepastnym spojrzeniem.

- Dobrze, mister Svenson - powiedziałam, wbrew samej sobie - zgadzam się.

- Pozwoli pani, miss Mary, że do pani wynagrodzenia w tym miesiącu dołączę tysiąc dolarów premii.

- Ależ, mister Svenson, dziękuję bardzo, ale to naprawdę nie o to chodzi...

- Miss Mary, proszę nic nie mówić. To ja pani dziękuję.

## **Rozdział ósmy**

Seledynowa łaźienka Svensonów stanowiła dla mnie nadal niewyczerpane źródło estetyczno-fizycznych uciech. Mimo niewątpliwych uroków basenu oraz kąpieli w morzu - największy spokój i równowagę ducha osiągałam pod strumieniami prysznica w wannie, odcięta w sposób absolutny od całego świata. Jak zwykle to miejsce skłaniało mnie do retrospekcji i rozmyślań.

„Nieźle ci się powodzi, moja panno - monologowałam, oblewając się płynem Yardleya w aerozolu o egzotycznym zapachu - dochodzisz do szczytów powodzenia życiowego.

Portfel pełen dolarów, brylanty w kieszeni. Jak tak dalej pójdzie, niedługo szarmancki pan Svenson ofiaruje ci za twą bezcenną pomoc w uzdrowieniu małżonki małego »Rolls-Royse'a«, a potem wyspę na Bermudach. Czy to jednak nie za dużo tego dobrego? A może to sen? Uszczypnij się mocno, biedny kopciuszk. Co właściwie skłania Svensona do takiego postępowania? To nie jest takie proste do rozszyfrowania. A może Svenson żywi w stosunku do mnie jakieś bliżej nie określone zamiary natury sentymentalno-erotycznej? Co wtedy powinnam zrobić, jak na to zareagować? Czy nie mógłby się właśnie w ten sposób ziścić złoty sen o milionerze i zaprogramowane w rojeniach pensjonarskich „słodkie życie”? Czy nie warto by z takich możliwości skorzystać i czy nie skorzystałaby z nich skwapliwie każda młoda dziewczyna w mojej sytuacji? Oczywiście, to są tylko domysły, oparte na wątplych przesłankach, ale która kobieta nie potrafi odczuć zainteresowania mężczyzny, choćby było nawet okazywane w tak pajęczo-finezyjny sposób, w jaki to czyni Svenson. A jednak to wszystko bzdury, moja miła! Mężczyzna tego pokroju co Svenson, w dodatku tak głęboko kochający żonę, na pewno nie uwzględni w swoich perspektywicznych planach życiowych zajęcia się na serio panną Mary Milsky, a wszelkie dające do myślenia niuanse w jego zachowaniu mają zupełnie inne podłoże i poza tym wynikają z jego sposobu bycia wobec całego rodzaju żeńskiego. Na pewno Janek nagadałby mi strasznych rzeczy, jeśli by mógł w charakterze jasnovidza odczytać moje myśli, i miałby rację. Ja też nie postępuję w gruncie rzeczy etycznie. A tymczasem Janek niedługo wyjeżdża i zostanę sama z tą głupią forszą”.

Gdyby mi nie było żal tego biednego Svensona, gdybym się mimo wszystko nie czuła moralnie związana danym mu ponownie przyrzeczeniem, że nie zostawię go samego w stale powtarzających się ciężkich chwilach, spowodowanych stanem zdrowia żony, powinnam stanowczo spakować walizki i wyjechać do Pittsburga. Szczególnie od chwili pamiętnego spięcia z doktor Jörson, mimo pozorów jego rozładowania przez Svensona, odnosiłam wrażenie, że jestem stale jak na

cenzurowanym, że złośliwość lekarki może znów przejawić się w jakimś, nie dającym się przewidzieć podstępnie. Świadomość tego zupełnie odbierała mi chęć do pracy.

Ponadto spodziewałam się w swojej naiwności przeprosin z jej strony. Nic takiego nie nastąpiło i stan taki w gruncie rzeczy wpływał na mnie demobilizująco. I wtedy nagle, pod wpływem wewnętrznego impulsu, stawiając bosą nogę na kafelkach posadzki, postanowiłam, że wyjadę stąd za dwa tygodnie, w terminie dającym możliwość znalezienia innej farmaceutki, i nic mnie nie powstrzyma od realizacji tej decyzji, nawet stu demonicznych Svensonów o twarzach półbogów. Od kilku dni ogarniały mnie bowiem ciągłe wątpliwości, czy nie lepiej byłoby przeciąć to wszystko, póki nie jest jeszcze za późno. Ale dlaczego? Nie umiałam sobie dać na to jasnej odpowiedzi, ale od pewnego czasu wchłaniałam niemal przez naskórek napiętą wokół siebie atmosferę, jakby coś nieuchronnego, co musiało się spełnić, wisiało w powietrzu. Teraz, kiedy moja decyzja już zapadła, powiem o tym Olafowi przy najbliższej okazji, kiedy go zobaczę, nawet dziś jeszcze.

A dzisiejszy wieczór był naprawdę piękny. Mogłam to dokładnie ocenić, wychylając się przez okno mojego pokoju. Zbliżała się właśnie pora kolacji. Powietrze przesiąknięte było intensywnym zapachem kwiatów, gdyż róże płonęły najsilniejszym rozkwitem. Wszędzie było błękitnie, kolorowo, nastrojowo. Zapadający wczesny zmierzch pełen był jakichś półcieni, niedomówień, które dziwnie lirycznie i idyllicznie uderzały mi do głowy.

Nie wiem, dlaczego ubrałam się w nową szafirową sukienkę, dlaczego czesałam długo włosy przed lustrem. Ale w końcu, kiedy ma się dwadzieścia dwa lata, kiedy cała przyroda zachłystuje się swoim pięknem, trudno być wiecznie samarytanką, pełną współczucia i samozaparcia.

W jadalni stół jak zwykle zastawiony był najróżnorodniejszymi przysmakami, ale leżało tylko jedno nakrycie. Uczułam ukłucie rozczarowania, bo miałam nadzieję, że Maxwell spędzi ten wieczór u Svensonów, dotrzyma mi towarzystwa i pomoże jakoś lepiej przeżyć ten wieczór. Chyba

byłam nawet tego pewna, bo jeszcze niedawno słyszałam głos Stevena w hallu. Wydałam się sobie nagle śmieszna z tą swoją nową suknią i starannie uczesanymi włosami, sama przy wielkim zastawionym stole, za którym nikt oprócz mnie nie siądzie.

I wtedy nagle otworzyły się oszklone drzwi i tak bezszelstnie, że wydało mi się to wprost niesamowite. Na progu stał Olaf Svenson i powoli zbliżał się do mnie. Miał na sobie biały smoking, który w nadzwyczajny sposób podkreślał smukłość i wytworność jego sylwetki, a w oczach i twarzy taki wyraz, że nawet góra lodowa musiałaby doznać uczucia ciepła. Byłam tak zaskoczona tym jego nieoczekiwanym pojawieniem się wieczorem w jadalni, pierwszym od chwili mego przybycia, że ręka z widelcem zastygła mi w powietrzu, a nie połknięty kęs omal nie uwiązał w gardle. Svenson stał przez moment bez słowa, co przyprawiło mnie o nowy atak zmieszania i zmusiło do gwałtownego przełknięcia jedzenia.

- Proszę wstać i iść ze mną, miss Mary - powiedział wreszcie głosem sięgającym szczytów modulacji i wibracji, które zdolne jest wytrzymać ucho kobiece. - Zapraszam panią na dzisiejszy wieczór. I proszę o nic nie pytać i niczemu się nie dziwić.

Wstałam jak automat, z widelcem w dłoni, absolutnie świadoma faktu, że gdyby śmierć przybrała w tej chwili postać Svensona, w białym smokingu, z jego uśmiechem i spojrzeniem, natychmiast podałabym jej bez wahania rękę. Oczywiście, kiedy znaleźliśmy się na progu domu, kiedy orzeźwiło mnie świeże powietrze, rzuciłam, wsiadając do „Jaguara”, niepewne spojrzenie w kierunku okna pokoju Margaret, ale Olaf uspokoił mnie jednym ruchem dłoni i auto jak czujne i oswojone zwierzę poderwało się do biegu, unosząc nas w dal.

Samochód mknął wzdłuż bulwaru nad morzem, a ja już czyniłam sobie spóźnione wyrzuty, że dałam się zahipnotyzować i zachowałam się jak nieprzytomna wariatka. Jednocześnie na próżno usiłowałam ukryć pod siedzeniem fotela widelec, który zabrałam, kiedy wstawałam od stołu.

Siedziałam obok Svensona, więc mimowolnie kątem oka



obserwowałam jego nieskazitelny profil, szczupłe ręce, tak pewnie spoczywające na kierownicy, jakby w tym momencie odzyskały utracony spokój. Poprzez jedwab sukni czułam dotyk ubrania Olafa. Dyskretny zapach dobrej wody kolońskiej przesycił wnętrze samochodu, mieszając się z powiewami powietrza, wpadającego przez uchyloną szybę. Wszystkie te spostrzeżenia niestety nie wpłynęły na mnie uspokajająco, przeciwnie, zaczął mnie nurtować stale potęgujący się niepokój, co ma oznaczać ta dziwna wycieczka, tak krańcowo odbiegająca od utartego schematu naszych codziennych oficjalnych kontaktów, i jaką mam w niej odegrać rolę.

Jechaliśmy długo bez słowa, a zdenerwowanie moje rosło, co zaczęło przejawiać się w nadmiernym kręceniu się na miejscu i nie uszło uwagi Olafa, gdyż odezwał się nagle:

- Pani jest zdenerwowana, Mary. Niepotrzebnie. Niech pani spojrzy, jak piękny jest dzisiejszy wieczór. Wiem, że moje postępowanie wydaje się pani dziwne, ale wkrótce wiele pani zrozumie.

Ta zagadkowa wypowiedź bynajmniej nie uśmierzyła mojej rozterki wewnętrznej, gdyż głos mój miał zupełnie obce, drewniane brzmienie, kiedy zapytałam, niby obojętnie:

- Dokąd jedziemy?

- Do krainy szczęścia, gdyby to ode mnie zależało. Ale tak naprawdę to zatrzymamy się w jednym z moteli i zjemy kolację - odpowiedział na wpół żartobliwie i nagle spojrzał mi prosto w twarz. - Co pani jest, dziecino. Pani drży cała. Czy pani się mnie boi? Czy jestem taki groźny? Myślałem, Mary, że przez te parę miesięcy zdołałem pozyskać trochę pani zaufania. Przykro mi, że...

- Ależ nie - przerwałam, starannie unikając jego spojrzenia - to nie to. Jestem tylko zaskoczona.

- Trochę zaskoczona, trochę stremowana i zziębnięta. Biedna dziecinka - powiedział. Niespodziewanie oderwał dłoń od kierownicy i położył ją na mojej ręce.

- O, jakie zimne paluszki - bawił się moim wzrastającym zdenerwowaniem. - Niech się pani uspokoi, Mary, i wygodnie oprze o fotel. Proszę na chwilę zamknąć oczy, posłuchać

szumu fal. To przynosi ulgę. Często tak robię. Już lepiej, prawda?

„Gdyby mnie teraz pocałował - pomyślałam - wyskoczyłabym z pędzącego samochodu prosto do morza”. Ale nic takiego nie nastąpiło i kiedy otworzyłam oczy, jego profil niewyraźnie rysował się na tle zapadającego mroku. Za szybami „Jaguara” z jednej strony połyskiwało morze, z drugiej jarzyły się światła reklamujące licznie tu rozsiane motele

- Tu wysiadziemy, Mary. To bardzo przyjemne miejsce. Pani pozwoli, zaparkuję samochód.

„Jakaż jestem głupia - karciałam się w duchu, wysiadając z auta - zachowuję się jak niedowarzona pensjonarka na pierwszej randce. Svenson już ma pewność, że jestem jak wosk w jego ręku. Ale czy czasem w istocie tak nie jest?” To pytanie nasuwało mi się z natrętną siłą i chyba w tej chwili nie umiałabym na nie stanowczo odpowiedzieć.

W motelu nie było wielu gości. Sala restauracyjna miała intymny i zaciszny charakter mimo nieco przesadnego w wykwincie wystroju. Zajęliśmy miejsce przy oknie z widokiem na morze, które zdawało się niemal wdzierać do środka, co w zestawieniu z tonącą w półmroku wyciszonych światła salą dawało wrażenie absolutnej izolacji od świata. Nagle wydało mi się zupełnie nierealne, że jestem tu ze Svensonem, który mimo iż ucieleśniał swoim wyglądem najprawdopodobniej marzenia wszystkich podlotków, na kuli ziemskiej, aktualnie zupełnie prozaicznie zamawiał kolację u usłużnego kelnera. Powoli uspokajałam się wewnętrznie, wszystko stawało się zwyczajne, nawet milczenie, które między nami panowało.

Mary - powiedział wreszcie Svenson - co pani o mnie myśli?

Podniosłam głowę, uparcie schyloną nad talerzem. Na bladej twarzy Svensona malował się wyraźnie wyraz napięcia.

- Podziwiam pana - znów nie poznawałam swojego głosu, który zabrzmiał sztucznie i nienaturalnie. - Nigdy nie widziałam człowieka zdolnego do większego poświęcenia i ofiarności.

- I bardziej nieszczęśliwego, prawda? Tylko tyle, Mary, ale i za to dziękuję. Tak się cieszę, że pani dzisiaj jest ze mną.

Nawet taki nieszczęśnik jak ja ma prawo do kilku chwil spokoju.

- Niech pan tak nie mówi, Olafie - mimo woli pierwszy raz bezpośrednio wymówiłam jego imię i powiedziałam to gwałtowniej niż zwykle, co nie uszło uwagi Svensona.

- Dziecino - powiedział - pani jest jak zwykle wzruszająca. Ale obawiam się, czy pani cierpliwość nie jest na wyczerpaniu. Pani się u nas męczy, prawda? Ja wiem, pani powinna żyć inaczej, swobodniej, radośniej, bez skrepowania cudzymi sprawami. Tak mi przykro, że panią narażam na tyle nieprzyjemności. Chciałbym, żeby pani była zadowolona. Ale, gdyby pani wiedziała wszystko...

„Teraz przyszedł odpowiedni moment” - pomyślałam i wbrew samej sobie, zupełnie niespodziewanie powiedziałam:

- Panie Svenson. Bardzo mi przykro, że muszę złamać dane słowo, ale właśnie chciałam panu zakomunikować, że wyjeżdżam za dwa tygodnie do Pittsburga. Tak będzie lepiej. Mam nadzieję, że przez ten czas zaangażuje pan kogoś innego.

Nie, takiej reakcji na moje słowa nigdy się nie spodziewałam. Svenson zachwiał się jak pod uderzeniem obucha i na chwilę ukrył twarz w dłoniach, które autentycznie drżały.

- Mary - wyszeptał - niech pani zostanie, błagam. Ja panią kocham...

Gdyby wszystkie otchłanie piekieł otwały się równocześnie, nie zrobiłoby to już na mnie większego wrażenia, bowiem stolik, krzesło i cała sala zawirowały mi nagle przed oczyma. Całe szczęście, że trwało to tylko mgnienie oka i że Svenson niczego nie spostrzegł, bo po dłuższej chwili odezwał się znowu:

- Pani milczy. Wiem, że pani mnie potępia, bo cóż innego mogłaby mi pani odpowiedzieć w swojej prostolinijności, jak słowami najwyższego oburzenia. Tylko tyle, że nie mam prawa, że jestem podły, że wykorzystuję sytuację... Tak nie jest, Mary. Nie przerywaj mi, pozwól mi wszystko powiedzieć, dziecko. Tyle czasu patrzę na panią z daleka. Jesteś taka delikatna, dyskretna, taka śliczna i dobra. Nie umiem powiedzieć, ile wniosła pani do mojego domu, który od wielu

lat jest dla mnie piekłem. Myślałem, że wszystko się dla mnie już skończyło, i nagle zapragnąłem być szczęśliwy. Marzenie straceńca, prawda?

Chwilę milczał i ciągnął dalej:

- Wiem, że może pani źle o mnie myśleć, ale na litość Boską, jestem tylko człowiekiem. Gdyby pani wiedziała, ile przecierpiałem przez ostatnie lata. Ta cała nienawiść ludzka, ta podejrzliwość, wieczne pomawianie mnie o chęć zysku, wytykanie palcami jako karierowicza, a przede wszystkim nie kończąca się choroba Margaret. Niech mi pani wierzy, nieraz chciałem z sobą skończyć. To głupie, prawda, jak w tandetnej powieści brukowej, ale prawdziwe. Tak, wiem, co pani chce powiedzieć, że nie brakłoby kobiet młodych, pięknych, które chętnie odegrałyby rolę pocieszycielek. To prawda. Ale ja nie pragnąłem tego. Może też i miałem skrupuły, trudno powiedzieć. Tylko Maxwell pomagał mi zawsze wyjść z impasów życiowych. A teraz zjawiała się pani, Mary. Gdyby pani odeszła, to... - głos mu się nagle załamał.

Nie wiem dlaczego, ale od paru chwil wydawało mi się, że jestem w teatrze i słucham pierwszego amanta w jego życiowej roli. Ta trzeźwość w ocenie sytuacji przeraziła mnie do pewnego stopnia. Svenson to odczuł.

- Mary - powiedział - ty mi nie wierzysz. - Był bladym i tak urzekająco pociągającym w swojej rozterce, że poprzednie dziwne wrażenie znikło momentalnie, a ja musiałabym być kawałkiem lodu, żeby nie okazać mu zrozumienia.

- Jeślibym nawet wierzyła panu, to i tak nie ma to żadnego znaczenia.

- Wiem, co chce pani przez to powiedzieć. Że jestem żonaty, mam obowiązki i powinienem pójść do diabła. Słuchaj uważnie, Mary. To może jest okrutne, co powiem, ale Margaret umrze za kilka tygodni.

Zdawało mi się, że cała krew spłynęła mi z serca do nóg, i zrobiło mi się nagle przeraźliwie zimno.

- Skąd pan wie - wybałałam - przecież czuje się dużo lepiej.

- Od profesora Brenta. To są jej ostatnie chwile. Jej serce jest jak motor, który nie może wytrzymać dłuższej pracy, a jeszcze

ten ostatni atak wycieńczył ją do ostatnich granic. Nic się już nie da zrobić. Wszystkie środki zostały wyczerpane. Po prostu gaśnie w niej ostatni płomień, którego już nie można podsycić. To może potrwać najwyżej trzy-cztery tygodnie - ukrył twarz w dłoniach.

- To straszne - wyszeptałam.

- Zrobiłem wszystko, co mogłem - ciągnął - nie mam sobie nic do wyrzucenia. Żebyś wiedziała, Mary, jak potwornie była zmiażdżona po tym wypadku, zlepiono ją z kawałków.

- Niech się pan uspokoi, Olafie. Zdaję sobie sprawę, jak bardzo pan ją kochał i ile przecierpiał przez te wszystkie lata.

- Myli się pani - powiedział Svenson powoli - ja nigdy nie kochałem Margeret.

Po tym oświadczeniu zapanowała nagle przenikliwa cisza między nami. Nawet tony z dala płynącej muzyki i dyskretny brzęk kieliszków nie zdołały jej rozproszyć.

- Teraz uznasz mnie za potwora - głos jego brzmiał dziwnie głucho - ale musiałem ci to powiedzieć. Wszystko kiedyś ułożyło się tak nagle. Margaret mnie po prostu wybrała na swego partnera, a ja nie potrafiłem odmówić. A potem przez te nieszczęsne lata obowiązek był silniejszy niż cokolwiek innego w moim życiu. Ale skończmy z tym tematem. Mówmy o pani. - Zauważyłam, że w podnieceniu raz mówił mi po imieniu, raz znowu wracał do oficjalnej formy.

- Chcę wiedzieć i proszę o szczerłość: czy pani jest zaręczona?

Czułam, że serce skacze mi do gardła, i długo nie mogłam wykrztusić słowa.

- Słucham, Mary - nalegał.

Bałam się spojrzeć w jego oczy, bo znałam urok jego spojrzenia, utkwionego teraz we mnie z błagalnym wyrazem.

- Nie, zaręczona nie jestem. - Nie mogłam, nie umiałam skłamać.

- Ani zakochana? Nic nie mów. Wiem, że przychodzą do ciebie stale listy. To pewnie jakiś chłopiec, ale czy to poważne? Czy jesteś związana słowem?

- Nie wiem, nic nie wiem - odpowiedziałam już bliska histerycznego płaczu.

- Biedna maleńka. Tak cię męczę, przepraszam-nakrył dłonią moją rękę. Trwało to chwilę, ale wystarczyło, żebym oblała się pąsem.

- Chcę pani powiedzieć, Mary, że pragnę panią poślubić. Wiem, że to niestosowna pora, wiem, że nie mam prawa, ale nie chcę cię stracić. Chcę też, żebyś została i czekała u mego boku. Czy będziesz miała tyle siły i odwagi, czy zdobędziesz się na taką wielkoduszność, Mary?

- Proponuje mi pan straszliwy układ, Olafie - wyszeptałam - nie wiem, czy potrafię go dotrzymać.

- Wierzę ci, że tak uczynisz, a w zamian za to obiecuję ci szczęście, jakiego mało która kobieta może zaznać na świecie. Cokolwiek jednak postanowisz, obiecuję ci, że zawsze, o ile zmienisz zdanie, będziesz wolna. I jedno jeszcze przyrzekam. Nie potrzebujesz się niczego obawiać z mojej strony. Nic się między nami nie zmieni dotąd, dopóki nie będę mógł oficjalnie nazwać cię moją żoną. Sytuacja jest zbyt poważna, a ja jestem może trochę zbyt staroświecki, żeby było inaczej. To wszystko, Mary.

- Wracamy, prawda? - powiedziałam, czując straszliwe znużenie.

Wstał i skłonił się, prowadząc mnie ku wyjściu, elegancki pan z milionami, w białym smokingu, znów obcy i daleki, mimo iż przed chwilą przykuł mnie do siebie niewidzialnymi więzami i uczynił współniczką strasznej tajemnicy.

## **Rozdział dziewiąty**

W „Różanych Krzewach” życie pozornie płynęło zwykłym, spokojnym nurtem, poza tym, że tło otaczającej mnie przyrody zmieniło niepostrzeżenie swój intensywny, letni koloryt. Róże zdecydowanie zaczęły przekwitać, a opadające płatki zaścielały ścieżki. We mnie natomiast szalała burza niepokojów, domysłów i dręczyło mnie mnóstwo natrętnych wątpliwości, graniczących z wyrzutami sumienia.

Rola, którą odgrywałam w tym domu, wydawała mi się raz

haniebna, gdyż mimo woli stałam się jakby współniczką Svensona w oczekiwaniu na śmierć nieszczęsnej chorej, błakającej się za zamkniętymi drzwiami, spoza których od czasu do czasu dochodziły odgłosy jej ciężkich powolnych kroków i stłumione jęki, innym razem zaś miałam wrażenie, że w pewien sposób przyczyniam się jednak do ratowania jej życia, i to ogromnie podbudowywało mnie na duchu. Od czasu owego pamiętnego wieczoru, spędzonego razem ze Svensonem, upłynęło zaledwie parę dni, ale dla mnie czas ten miał inne wymiary i ciągnął się jak tasiemiec, gdyż spędzałam go głównie na rozważaniach, samokontroli i retrospekcji. W dalszym ciągu nie wiedziałam, czy cokolwiek obiecałam Svensonowi, czy jestem związana z nim danym słowem i właściwie czy naprawdę muszę wypełniać jego wolę. Z tym wszystkim było mi niesłychanie ciężko na sercu, szczególnie że przy swoim beznadziejnym braku decyzji w najpoważniejszych sprawach nie mogłam się zdobyć na zajęcie jednoznacznego stanowiska. W każdym razie napisałam znów szaleńczo głupi list do Janka, z którego na pewno mógł wywnioskować, że albo dostałam pomieszania zmysłów, albo jakaś nieuchwytna szajka morderców czyha nieustannie na moją cześć i życie. Nie mogłam przecież wyraźnie napisać, że milioner z krwi i kości zadeklarował chęć pojęcia mnie za małżonkę i na dokładkę zaproponował wspólne oczekiwanie na rychłą śmierć swojej żony. W wyniku tych niedomówień list mój był jednym okrzykiem grozy i buntu przeciw podłości i znikomości wszystkiego, co ziemskie, pełnym dwuznaczników, nie dopowiedzianych aluzji, pseudo literackich metafor, świadczących o spadku mojego poziomu umysłowego poniżej zera, a ponadto stanowił jakby rodzaj pożegnania nie tylko z Jankiem, ale i z życiem.

Całe szczęście, że Olafa widywałam w ostatnich dniach krótko i przelotnie. Stałe wyjazdy z domu, ustawiczne telefony z Brownsville, nie kończące się konferencje świadczyły o specjalnym spiętrzeniu się jego interesów handlowych. Maxwella również już dawno nie było w „Różanych Krzewach”. Wyjechał, jak mi było wiadomo, w sprawach banku na kilka

tygodni. Brakowało więc jedyne go człowieka, z którym mogłabym porozmawiać po ludzku i wymienić poglądy na różne sprawy. Margaret prawie nie wychodziła z domu. Raz jeden Olaf z wielkim wysiłkiem sprowadził ją po schodach i z trudem umieścił w samochodzie. Zauważyłam, że głowa jej zwisała w dół, jakby nawet sploty jasnych włosów były ciężarem nie do udźwignięcia. Ten żalony widok mimowolnie przywiódł mi na myśl złowieszczą przepowiednię Svensona, że życie jej dobiega kresu i że żadna siła ludzka nie jest już w stanie jej pomóc. Ja ze swej strony nie ustawałam w zabiegach, aby przepisane przez profesora Brenta lekarstwa przygotowywać z najwyższą starannością, na jaką tylko mogłam się zdobyć. Ostatnio najczęściej pozostawiałam leki na tacach w laboratorium, gdyż Svenson wracał bardzo późno i moje kontakty z nim ograniczały się do minimum. Jednak przy każdej okazji przelotnego zbliżenia Olaf dawał mi do zrozumienia, że układ zawarty między nami w motelu nadmorskim trwa i nie traci nic na swej aktualności. Choćby w przelocie spojrzeniem, uśmiechem, krótkim, wymownym uściskiem dłoni nawiązywał do wspomnień tamtego wieczoru. Właściwie nie padały między nami żadne słowa, jakby wszystko, co się stało, zawisło w próżni, w oczekiwaniu na tragiczne rozwiązanie, którego już nie można było uniknąć. Raz tylko przechodząc koło mnie w hallu, wysmukły, bezbłędnie wytworny w szarym garniturze, powiedział nieoczekiwanie gorąco: - Mary, pamiętaj, bądź zawsze ze mną i czekaj. - Brzmiało to jak prośba i jak rozkaz jednocześnie i poparte było najurokliwszym w wydaniu męskim spojrzeniem, zdolnym rozkruszyć granitową skałę.

Z tym wszystkim w tej napiętej, niesamowitej atmosferze czułam się okropnie, a sytuację tę pogłębiał niezaprzeczalny fakt absolutnego milczenia Janka. Ostatni mój list wywarł na nim wrażenie, że uległam zupełnemu zidioceniu, a tym samym dalsze utrzymywanie ze mną korespondencji stało się zapewne w jego pojęciu niepotrzebną stratą czasu. Zresztą nie było wykluczone, że Janek już wyjechał. Nic go przecież ostatecznie nie wiązało ze mną. Mógłby co prawda przez grzeczność



przesłać mi parę słów pożegnania, ale wszystko, cokolwiek by napisał, musiałyby być sztuczne i brzmieć jak stara zdarta płyta gramofonowa. Cóż zresztą mógłby napisać dziewczynie, która dla czezej mamony zgodziła się na propozycję Svensona, aby wspólnie z nim oczekiwać na śmierć Margaret, a tym samym grać u jego boku dwuznaczną rolę. Potępiając się coraz zajadlej, przekraczałam w samooskarżeniu miarę swoich grzechów, szczególnie że Janek nic o ostatnich wydarzeniach nie wiedział. Najważniejsze było, że zdawałam sobie jasno sprawę, że nie kocham Olafa, że nie mogę zdobyć się nawet wobec niego na uczucie zaufania, ale jednocześnie poruszałam się w kręgu jego osoby jak we śnie hipnotycznym i nie byłam w stanie odmówić jego prośbom ani wyrwać się spod wpływu, jaki na mnie wywierał, niezależnie od dominującego nad wszystkim współczucia dla jego tragicznej sytuacji życiowej i świadomości, że w jakiś sposób jestem naprawdę potrzebna w tym domu, w którym pieniądze i dobrobyt, jak dotąd, nikomu nie przyniosły szczęścia.

Tego dnia powróciłam do przerwanej pracy nad porządowaniem biblioteki Svensonów i właśnie usiłowałam doprowadzić do ładu pierwszą część katalogu, co czyniłam zresztą z własnej inicjatywy, aby skrócić wlokący się czas i zapomnieć o swojej wewnętrznej rozterce, kiedy uwagę moją przykuło dziwne zjawisko przy sztachetach ogrodu, koło bramy wejściowej. Jakiś mężczyzna, jak zdążyłam zauważyć, ciemno ubrany i niewysokiego wzrostu, z coraz większym zaciętrzewieniem szarpał klamką, usiłując otworzyć zamkniętą furtkę. W końcu rozpoczął naciskanie dzwonka i alarmujący głos brzęczyka przypomniał mi, że oprócz mnie i chorej pani Svenson nikogo nie ma w domu, bowiem gospościa wyszła po zakupy, wobec czego mnie przypada rola rozprawienia się z natrętnym przybyszem. Ponieważ po raz pierwszy od mego przyjazdu ktoś obcy usiłował wtargnąć do posiadłości Svensonów, popadłam najpierw w bezgraniczne zdumienie, że fakt taki w ogóle ma miejsce, a potem dopiero zdecydowałam się na rozmowę z nieznajomym.

- Halo! Halo! - wołał on tymczasem, a głos jego brzmiał

ostro i nieprzyjemnie. - Czy jest tam kto, czy wszyscy tu pogłuchli?

- Pana Svensona nie ma w domu, a pani Svenson jest chora i nikogo nie przyjmuje - powiedziałam, zbliżywszy się do sztachet, tonem dobrze ułożonej pokojówki, mającej niemałe obycie na pańskich pokojach. Spoza żelaznego ogrodzenia przeszło mnie spojrzenie ciemnych, rozgorączkowanych oczu, pełne złości i niechęci.

- Proszę otworzyć! - krzyknął rozkazująco. - Przyjechałem do Svensonów. Jestem kuzynem pani Svenson.

- Niestety, proszę pana - ledwo hamowałam wewnętrzną irytację, aby nie wypaść z roli wytresowanej i wyrozumiałej na wielkopańskie wybryki siły najemnej - mam surowy zakaz wpuszczania kogokolwiek w czasie nieobecności pana Svensona. Musi więc pan przyjść, kiedy on będzie w domu.

- Surowy zakaz, cha, cha - roześmiał się zgrzytliwie. - Nie dla mnie te zakazy, moja panno, jak panią tam zwą. Nie wiem, kim pani jest, ale chyba nie tą głuchoniemą służącą, najętą przez Svensona, jak mi powiedziano, skoro pani słyszy i mówi. Jestem Karol Burckett i jeśli pani kiedykolwiek o mnie słyszała, to musi pani wiedzieć, że nie ma takiej siły na ziemi i na niebie, która by mnie powstrzymała od wejścia do tego domu, więc radzę pani otworzyć te drzwi, o ile pani nie chce, abym zrobił to siłą.

- Nie wiem, jakie są powody, dla których musi pan wejść do tego domu - w dalszym ciągu usiłowałam panować nad nerwami, ale głos mój zaczął się niepokojąco załamywać - ale muszę panu odmówić. Pracuję u państwa Svenson i mam obowiązek słuchać ich poleceń. - Nazwisko Burckett wydało mi się od razu dziwnie znajome, tak jakbym je nie pierwszy raz słyszała.

- Nie chce mi pani chyba powiedzieć, że to Margaret kazała mi iść do diabła. Nie, nigdy w to nie uwierzę. A jeśli nawet tak jest, to muszę sprawdzić, dlaczego. Ot, uważa pani, jak dalece gwizdzę na zakazy niejakiego pana Svensona. - W tym momencie wspiął się z niespodziewaną, jak na swój wygląd, zręcznością po żelaznych wygięciach ogrodzenia i przeskoczył

na drugą stronę, mimo iż w rękę trzymał teczkę i laskę.

- W takim razie zmuszona będę zaraz zawiadomić policję. Nie wiem, kim pan jest i co zamierza pan zrobić.

- Proszę bardzo. To właściwie ja powinienem tu się zjawić w asyście policji i zrobiłbym to, na Boga, od dawna, gdybym mógł. Radzę się nie wtrącać, młoda osobo, w nasze rodzinne sprawy i iść do swoich zajęć.

Intruz biegł już w stronę domu, nie oglądając się za siebie, tak jakby każdy szczegół tego terenu był mu doskonale znany i zawsze czuł się pewnie na tym gruncie. Zauważyłam, że mocno kuleje i podpira się laską, co nie przeszkodziło mu w błyskawicznym prawie przemierzeniu przestrzeni dzielącej furtkę od willi.

Nawet nie zdążyłam zareagować ani jednym słowem czy ruchem, a już kręcił się po gabinecie i niemal jak szalony naciskał białe drzwi prywatnego apartamentu Sven-sonów.

- Gdzie jest pani Svenson! - wołał. - Gdzie jest Margaret?! Muszę się z nią zobaczyć! Dlaczego te drzwi są zamknięte? Proszę mówić! ^

- Niech pan zacznie się wreszcie przyzwoicie zachowywać! - krzyknęłam, co zrobiło na nim pewne wrażenie. - Twierdzi pan, że jest pan krewnym pani Svenson, a w każdym razie kimś bliskim dla niej, a tymczasem robi pan wszystko, żeby jej zaszkodzić. Czy pan w ogóle wie, jaki jest stan jej zdrowia i co może spowodować takie nieodpowiedzialne postępowanie jak pańskie? Proszę przestać się miotać, usiąść na fotelu i poczekać na gospodarza domu. Zaraz do niego zatelefonuję i zawiadomię go o pańskiej... nazwijmy to - niespodziewanej wizycie.

Odwrócił się do mnie z przymrużonymi oczyma, w których złe błyski zdawały się z lekka przygasać, ale widać było, że w każdej chwili człowiek ten może wybuchnąć jak rozszalała furia.

- No, jak na młodą osobę, nie brak pani tupetu - syknął, po raz drugi nawiązując do mego wieku, i rzucił laskę na sofę. Twarz miał dziwnie zniszczoną i pooraną bruzdami, chociaż na pewno nie ukończył jeszcze czterdziestu lat.

- Dobrze - ciągnął znów rozkazująco - niech pani zatelefonuje do Svensona. I niech pani słucha uważnie. Proszę mu powiedzieć, że przyjechał Karol Burckett, że ma nadzieję na przyjemne spędzenie weekendu w domu Margaret i chciałby jak najprędzej się z nią zobaczyć. To wszystko, co ma mu pani zakomunikować. Ja poczekam.

Tym razem połączenie z bankiem było niemal błyskawiczne.

- To pani, Mary?-głos Olaf a brzmiał ciepło i spokojnie.

- Czy coś się stało?

Kiedy powtarzałam dosłownie zlecenie Burcketta, czułam na sobie jego spojrzenie pełne złośliwości i napiętej uwagi. Zanim zdążyłam zaproponować, wyrwał mi słuchawkę.

- Słuchaj, Svenson, nie spodziewałeś się już mnie zobaczyć na świecie, prawda? Ale na twoje nieszczęście żyję i jestem u ciebie. Mam nadzieję, że jeszcze dzisiaj nagadamy się z Margaret o dawnych, dobrych czasach i jutro będziemy wspólnie obchodzić jej urodziny. Jak widzisz, stary, nie zbadane są wyroki losu. Zrobiłem ci fajną niespodziankę, czy nie tak? Mamy sobie chyba dużo do powiedzenia, chłopie. Mówisz, żebym się rozgościł i czekał, a ta twoja miła paniuszka chciała mnie już wyrzucić za drzwi. Nie takie proste będzie pozbyć się Karola Burcketta, jak myślisz? A więc przyjedziesz za godzinę. Dobrze, czekam.

Rzucił słuchawkę na widełki i cisnął mi spojrzenie, którego toksyczności nie mógłby się powstydzic skorpion, i ciężko opadł na fotel. Nagle zmienił się na twarzy.

- Niech pani mi coś da do picia, tylko coś mocnego. Może być whisky albo gin. Ta przeklęta choroba chyba wraca - wymamrotał, chwytając się za głowę. Nalałam mu pełną szklankę whisky. Pił łapczywie, nie odrywając ust od szkła, aż mu bulgotało w gardle. Potem na chwilę znieruchomiał, aby prawie natychmiast ożywić się z niespodziewaną siłą.

- Niech pani nie wychodzi! - krzyknął, widząc, że kieruję się ku wyjściu z pokoju. - Chcę z panią porozmawiać, zanim on przyjedzie. Niech mi pani powie, czy Margaret jest tam teraz -

wskazał palcem drzwi. - Dlaczego on ją więzi? Dlaczego zamyka? Pani ma na pewno klucz. Proszę mi go zaraz dać. Chcę się z nią zobaczyć, teraz, kiedy Svensona nie ma. To konieczne. Muszę na własne oczy sprawdzić, co się z nią dzieje. Słyszysz, panienko! - podnosił znowu głos, aż do krzyku.

- Pan jest chyba nieprzytomny, panie Burckett. Rozumiem pana uczucia rodzinne i chęć natychmiastowego zobaczenia się z panią Svenson, ale z jakiej racji pan przypuszcza, że pod nieobecność męża wpuszczę pana do niej? Czy dlatego, że pan tak krzyczy? Zresztą nie mam klucza i sama nigdy tam nie byłam - powiedziałam to mimo woli i zgodnie z prawdą, ale w tej samej chwili zrozumiałam, że słowa te wywarły na nim duże wrażenie, bo zerwał się z fotela i wycedził nagle spokojnie:

- A... nigdy pani tam nie wchodzi, powiada pani. A więc co, u licha, pani w tym domu robi? Myślałem, że jest pani pielęgniarką. Ale mniejsza z tym. Poczekam na Svensona i wszystkiego się dowiem. W tym domu od dawna czuć smrodem, całe miasteczko tak mówi. Na szczęście wyzdrowiałem i zaopiekuję się tym biedactwem. Już jej nie dam dalej robić krzywdy, o nie! Od dłuższego czasu kiedy tylko wróciła mi świadomość życia, pisuję do sędziego Smitha, wykonawcy testamentu starego Wilsona, i wszystko wiem, co tu się dzieje. Ona jest przez niego uwięziona, prawda? Nie wolno jej samej wychodzić i nikomu nie wolno jej odwiedzać. Najlepsi przyjaciele jej rodziców mają zakaz wstępu do tego domu. Doktor Walles został odsunięty od jej leczenia. Siedem lat nie otrzymałem od niej żadnego listu, a przedtem pisywała bardzo często. Tak, ja wiem, że przeszła ciężki wypadek, ale to nie dowód, żeby życzliwi jej ludzie, towarzysze lat dziecięcych, nie mieli prawa wspierać ją moralnie. Svenson wybrał najlepszą drogę, żeby dorwać się do jej milionów, i to jak najprędzej, ale ja na to nie pozwolę. Mogę sobie wyobrazić, jaką ten lalusz miał minę, kiedy usłyszał mój głos przez telefon. Dotąd mu się wszystko udawało. Margaret, mimo ciężkiej, wrodzonej wady serca i wypadku, dożyła trzydziestu lat. Jutro akurat są jej

urodziny. Moja w tym głowa, żeby los jej odmienił się na lepsze. Nie pozwolę mu doprowadzić jej do śmierci, bo przecież bardzo łatwo w ten sposób pozbyć się niedołęznej, schorowanej żony, kiedy się nie ma już interesu w dalszej dbałości o utrzymanie jej przy życiu.

- Zupełnie nie rozumiem, panie Burckett, o co panu chodzi i dlaczego w ogóle wspomina pan o urodzinach pani Svenson - wybąkałam, czując nieprzewartą ochotę wyrzucenia Burcketta przez okno wraz z jego ciężko podkutą laską i wypchaną teczką.

- No, panienko, niech pani nie udaje naiwnej. Pani wie najwięcej, jestem tego pewny. Całe miasto zna sprawę klauzuli w testamencie starego Wilsona. Zapiisał wszystko córce, z tym zastrzeżeniem, że w razie jej śmierci całą fortunę Wilsonów odziedziczy jej mąż, ale tylko wtedy, jeżeli Margaret dożyje trzydziestu lat. W przeciwnym razie wszystkie dolarki dostaną się instytucjom dobroczynnym. Svenson wygrał walkę z czasem o miliony, ale jestem tego pewien, że rozmyślnie doprowadził ją do takiego stanu, w jakim się teraz znajduje! I mam na to dowody! - uderzył ręką po teczce. - Jeżeli mnie nie przekona, że jest inaczej, potrafię zrobić z nim porządek - głos j ego przeszedł niemal w pisk - w każdym razie zostaną tutaj i będę czuwał nad Margaret, nie pozwolę się nad nią dalej znęcać!

- Pan się myli, pan się bardzo myli - wyszeptalam i nagle poczułam dziwną pustkę w głowie i w nogach.

- Stary Wilson piekielnie mądrze to urządził - ciągnął dalej Burckett, jakby trochę znów przycichając. Nalał sobie drugą szklankę whisky i wypił ją jednym haustem. Wydawało się, że mówi sam do siebie i musi to wszystko wypowiedzieć na głos. Chyba miał wysoką gorączkę i stąd pochodziły błyski w oczach, drżały mu ręce, a ciałem wstrząsały dreszcze.

- Ona była tak chora na serce, że żaden najlepszy specjalista-kardiolog nie rokował jej dłuższego życia. Ale lekarze się mylą, cała medycyna jest diabła warta. Po takim ciężkim wypadku Margaret nadal żyje, a więc nie była tak groźna ta nieuleczalna wada. Oszukała naturę - zachichotał - a

Svensonowi się udało. Czuły mąż pielęgnował chorą żonę i nie dał jej umrzeć. Staremu Johnowi o to tylko chodziło. Nie chciał sprzeciwiać się córce, jeśli w tym małżeństwie widziała swoje szczęście, i oddał ją temu gogusiowi, temu przybłędzie, ale uczynił to sprytnie, bo zabezpieczył jej życie. To Svenson we własnym interesie musiał dbać o to, aby Margaret przez te lata nic się nie stało. Wilson w gruncie rzeczy nigdy mu nie dowierzał. Co prawda ten wypadek samochodowy mógł pokrzyżować plany Svensona. Piekielny szczęściarz i z tego wyszedł obronną ręką. Margaret żyje, ale Svenson trzyma ją na uwieczni, jak zwierzę. Nikt naprawdę nie wie, jaki jest stan jej zdrowia. Ale teraz to się zmieni! Już ją go przypilnuję!

Wstał, opierając się ciężko na lasce. Nagle zachwiał się i zdawało się, że upadnie.

- Pan j est chory, panie Burckett - powiedziałam - niech się pan położy.

- To zaraz przejdzie. Zwykły atak gorączki. Widzi pani tę laskę. Ta laska i ja - to jedno. Już bez niej nie mogę się obejść. Jestem kaleką, nie ma co ukrywać. Zmarnowałem życie przez tego chłystka, kiedy mi odebrał Margaret i kiedy zrozumiałem, że ją tracę na zawsze. Pojechałem przed ich ślubem do Afryki z ekspedycją naukową, a w rzeczywistości z garstką straceńców. Nie oszczędzałem się ani chwili, tam szedłem, gdzie groziła śmierć. Szukałem jej i dochrapałem się wszystkich tropikalnych chorób. Leżałem nieprzytomny i bezwładny szereg lat w szpitalikach afrykańskich. Wszyscy myśleli, że nie żyję, ale człowiek j«st silniejszy od bydłęcia. Kiedy odzyskałem przytomność, postanowiłem wyzdrowieć, żeby tu przyjechać, żeby się nią zaopiekować. No i zdążyłem - zaśmiał się przeraźliwie i zakrztusił jednocześnie tak silnie, że przeraziłam się, iż się udusi.

Widocznie gorączka zaczęła się wzmacniać, bo Burckett znów zaczął mówić bezładnie i szybko:

- Byliśmy z sobą zaręczeni i ona mnie kochała, jestem tego pewien, kiedy Wilson przyjął Svensona do banku. Co prawda jesteśmy kuzynami i to się staremu nie podobało, ale na pewno by się zgodził na nasze małżeństwo. Jeśliby mnie nie

kochała, nie pisała do mnie po ślubie listów, przez te trzy lata, aż do wypadku. Ona nigdy nie była szczęśliwa ze Svensonem. Pisała mi o tym i o wielu innych rzeczach, ale listy przepadły w czasie moich tułaczek. Ktoś mi je zabrał, kiedy byłem nieprzytomny. Ona się nawet bała Svensona od chwili, kiedy zrozumiała, że ją poślubił dla pieniędzy, ale nie miała silnej woli, żeby od niego odejść. Stale była pod jego wpływem, a on umiał to wykorzystać. Ale moje listy muszą tu gdzieś być. Zaraz sobie przypomnę, Margaret pisała, że je chowa tak, aby Svenson nie mógł ich znaleźć. - Burckett zaczął gorączkowo rozglądać się po gabinecie. Gwałtownym ruchem ręki chwycił laskę i pokuśtykał do jednej z szaf bibliotecznych, stojących wzdłuż ściany. Wyciągnął rękę i nacisnął jakąś niewidzialną sprężynę, ukrytą wśród ornamentów sprzętu, tak że natychmiast wyskoczyła bezszelestnie szuflada wypełniona białymi kartkami papieru.

- Są moje listy - prawie zaszlochał - wszystkie moje listy. Biedactwo, przechowywała je. Ona mnie kocha. Jestem szczęśliwy, jestem naprawdę szczęśliwy.

- Kuzynie Burckett, jestem do twojej dyspozycji - usłyszałam niespodziewanie spokojny głos Olafa Svensona, który ukazał się na progu gabinetu. - Jak to miło, że przyjechałeś odwiedzić nas po tylu latach.

- Witaj, stary - powiedział Burckett, a pakiet listów wypadł mu z dłoni i rozsypał się na dywanie.

- Przypuszczam, że państwo zdążyli się już zapoznać, ale na wszelki wypadek: Karol Burckett - cioteczny brat mojej żony, miss Mary Milsky - farmaceutka i opiekunka naszej drogiej chorej. Miss Milsky od kilku miesięcy czuwa nad jej zdrowiem zgodnie z zaleceniami profesora Brenta. Pozwolisz, Karolu, że przygotuję ci drinka, zanim gosposia przyrządzi nam obiad.

- Słuchaj, Svenson, teraz mówię poważnie, ja muszę dzisiaj zobaczyć się z Margaret. Nie możesz mi tego zabronić, nie masz prawa. Czekałem na to dziesięć lat.

- Nie upieraj się, Karolu. Tłumaczyłem ci już, że to niemożliwe. Mam orzeczenie lekarskie na piśmie, że wszelkie



kontakty z ludźmi poza mną i stałym lekarzem-specjalistą stanowią zagrożenie dla jej życia i mogą skończyć się tragicznie.

Słowa te docierały wyraźnie do mojego pokoju (dokąd schroniłam się zaraz po powrocie Svensona do domu), gdyż obaj mężczyźni rozmawiali na tarasie. Początkowo wymiana zdań przebiegała dość spokojnie. Wydawało się, że Burckett uległ perswazjom Svensona, ucichł i pozbył się wszelkich podejrzeń, ale w tej chwili cała wściekłość musiała wezbrać w nim na nowo, co manifestował podniesionym aż do granic możliwości głosem.

- Nie wykręcaj się, Svenson. Jeżeli myślisz, że będziesz bezkarnie trzymać człowieka latami jak zwierzę w zamknięciu, to grubo się mylisz. Udam się pod opiekę prawa, nie dam dłużej jej maltretować. Przed chwilą słyszałem jej jęki. Ona cierpi, a ty, sadysto, cieszysz się z tego.

Gdyby nie fakt, że uważam cię za ciężko, a nawet niebezpiecznie chorego i że przebywasz pod moim dachem, musiałbym wyciągnąć z twoich słów poważne konsekwencje. Naprawdę, Burckett, radzę ci dobrze: jest późno, jesteś zmęczony i ja również. Połóż się spać i odpocznij.

- A więc przyjmij do wiadomości, że nie przybyłem tu z pustymi rękami. Mam dowody, że kłamiesz, że ohydnie kłamiesz, jak zwykle. Twój profesor Brent nie istnieje. Po prostu nie ma go i tyle. Żaden chirurg specjalista od chorób mózgowych nie nosi tego nazwiska i nawet nie jest wpisany na listę lekarzy w Szwecji. Jak się z tego wytłumaczysz, Svenson?

- Twoje wiadomości są absolutnie błędne i niewiarygodne, a jakiegokolwiek dowody, jeśli je posiadasz - sfalszowane. A teraz, proszę cię, skończmy tę niepotrzebną dyskusję. Te krzyki mogą zaniepokoić Margaret i spowodować przykre sensacje.

- Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz, Svenson. Wyobraź sobie, że byłem na tyle przezorny, iż wiele rzeczy już zbadałem. Są ludzie w naszym miasteczku, którzy od dłuższego czasu, zanim całkowicie wróciłem do zdrowia, chętnie udzielali mi informacji listownie. Wiedz, że wszyscy przyjaciele Wilsonów są na ciebie oburzeni. Jesteś sam po tej

stronie barykady. Prawda jest taka, że od wielu lat zamknąłeś Margaret w domu, odsunąłeś od ludzi jej życzliwych, nie pozwoliłeś na leczenie jej przez doktora Wallesa, który najlepiej mógłby czuwać nad jej chorym sercem, gdyż prowadził ją od dziecka. A ty co robisz, Svenson? Angażujesz lekarzkę Ann Jörson, znaną ze skandali narkomanek, która co prawda rokowała w swoim czasie wielkie nadzieje, robiła w Szwecji specjalizację, ale potem stoczyła się na dno i chociaż rzekomo od dwóch lat wróciła do zdrowia po kuracji odwykowej, to jednak tylko jej własny stryj z łaski zatrudnia ją w swojej klinice kardiologicznej dla dzieci. 'Nikt zresztą nie może do niej dotrzeć, doktor Jörson nie udziela informacji, związana jest tajemnicą lekarską. Twój sekretarz Maxwell jest nieuchwytny, służąca głuchoniema. Przyznaj, Svenson, że to wszystko wygląda podejrzanie. Dobrze realizujesz swój plan, ale ja cię przejrzałem. Jeśli nie pozwolisz mi jej zobaczyć, to jutro zainterweniuje tu policja!

- Nie boję się twoich pogroźek, Burckett. Nie masz do nich żadnych podstaw. Nie będę ci teraz tłumaczył spraw, których po pijanemu i tak nie byłbyś w stanie zrozumieć. W żadnym wypadku nie mogę dopuścić do tego, żebyś niepokoił Margaret o tak późnej porze. Może jutro, kiedy będzie wypoczęta. Idź spać, Karolu, twój widok, w takim stanie, w jakim się teraz znajdujesz, nie może być dla nikogo przyjemny.

- Jak widzę, chcesz mnie elegancko spławić! Wiesz dobrze, że nie jestem pijany, mam gorączkę.

- Fantazujesz, Burckett, i nadużywasz swoich praw gościa. W gruncie rzeczy jesteś nędznym, wulgarnym szcurem, którym gardzę. - Głos Olafa brzmiał jeszcze spokojnie, ale już z odcieniem narastającego zdenerwowania.

- Masz rację. Jestem nędzarzem, jestem szmatą, ale komu to zawdzięczam? Tylko tobie. Och, jak ja ciebie nienawidzę, Svenson, jak znieawidziłem wtedy, kiedy w ciągu paru dni zniszczyłeś całe moje życie, z tą twoją gładką, bezmyślną twarzą i wymuskaną elegancją. Odebrałeś mi jedyną istotę, którą kochałem i którą Kocham po dziś dzień, i co z nią

zrobiłeś? Jaki los jej zgotowałeś? Przez ciebie tłułem się w upodleniu i poniewierce po obcych krajach, zostałem kaleką, straciłem zdrowie, a nawet na parę lat pamięć. Tak, żarły mnie wszy, niszczyły choroby... A ty dalej sobie chodzisz po świecie śliczniutki i pachnący. Jednego ci jeszcze brak do szczęścia, uwolnić się od Margaret we właściwym czasie. Prawda, Svenson, jak ja dobrze cię znam?

- Nie czuję się odpowiedzialny za to, że byłeś niedołągą i nie umiałeś urządzić sobie życia. Powiem ci jedno: jesteś nikczemny i głupi. A teraz dość. Nie mam zamiaru kontynuować tej rozmowy. Być może, że kiedy się wyśpiesz, zmienisz zdanie o wielu sprawach. Sam widzisz, że już chwiejesz się na nogach.

Mężczyźni weszli do domu, bo głosy nagle ucichły. Długi czas siedziałam na tapczanie w otępieniu, nawet nie próbując podsumować swoich wrażeń. Wydarzenia tego dnia przebiegały tak błyskawicznie, że trudno mi było wobec nich zająć stanowisko. Teraz, wysilając pamięć, skojarzyłam sobie nazwisko „Burckett” z owym niedzielnym popołudniem, spędzonym u siostr-staruszek w ich małym domku. Padło ono z ust Harriet Morrison, wymienione w starczym bredzeniu, na pograniczu snu i jawy. W każdym razie postać Burcketta z jego ponurą zawziętością i żądzą zemsty wydała mi się antypatyczna, a nawet odrażająca. Nie mogłam potępiać Olafa za domniemaną krzywdę, którą wyrządził Burckettowi. Z drugiej strony jednak pewne sprawy i sytuacje nabrały teraz innego wyrazu. Stopniowo, rozmyślając w ciszy nocnej, która już zapanowała, zaczęłam zadrećcać się najróżnorodniejszymi wątpliwościami, które opadły mnie jak rój os.

Jaka jest właściwie prawda o życiu Olafa i Margaret? Czyja wersja jest prawdziwa? Czy pewne sugestie Burcketta nie znajdują potwierdzenia w stanie faktycznym? Szczególnie wyraziście zarysowała mi się teraz sylwetka doktor Jörson. A więc taka była jej tajemnica. Czy Svenson miał wobec tego prawo powierzać życie żony w ręce osoby bądź co bądź nieodpowiedzialnej, opanowanej nałogiem? Nawet nie próbował bronić jej przed zarzutami Burcketta, widocznie

informacje jego były prawdziwe. Więc co wobec tego robię tu ja, wplątana w tę sprawę, jak mucha w sieć pająka? Ej, moja miła, supermilionerko in spe, nadwrażliwa, sentymentalna, współczująca istoto, czy nie pora zwinąć żagle i odpłynąć z tej przystani? Taką konkluzją zakończyłam swoje rozważania już przysypiając. Ale przed całkowitym zaśnięciem wdarła się do mojej świadomości jeszcze jedna myśl, stanowiąca nowy znak zapytania w tej łamigłówce: dlaczego właściwie Svenson nie wyrzucił Burcketta po prostu za drzwi i pozwolił mu na tak karygodne zachowanie? I ostatnia myśl - już z nosem wciśniętym w poduszkę - że niezależnie od wątpliwego związania się w jakikolwiek sposób ze Svensonem, nie powinnam rejterować stąd w takiej chwili choćby przez zwykłe poczucie lojalności wobec człowieka, który jak dotąd nie uczynił mi nic złego, a jest na pewno bardzo nieszczęśliwy.

## **Rozdział dziesiąty**

Morze szumiało coraz głośniejsze, wprost atakowało spienionymi bałwanami i wdzierało się z trzaskiem do mego pokoju. Walczyłam z otaczającym mnie żywiołem, samotna, bezbronna, czułam, że ginę, że tonę i... w ostatniej chwili obudziłam się zlaną potem. W tym samym momencie na dole ktoś zamknął drzwi wejściowe. Uczynił to lekko, jakby ostrożnie, ale w panującej wokół ciszy zabrzmiało to jak mała detonacja. Spojrzałam na zegarek, była godzina druga po północy. Po paru minutach, które spędziłam siedząc na tapczanie z zapartym oddechem, dobiegł mnie odgłos zapuszczanego silnika w samochodzie. Podbiegłam do okna na palcach, jakby bojąc się spłoszyć niewidzialnego wroga. „Jaguar” Svensona mignął właśnie na zakręcie alei i zginął za drzewami, oblanymi łagodnym światłem księżycy. Teraz już było zupełnie cicho, tak cicho, że słyszałam wyraźnie nierówne bicie swego serca. W miarę powolnie upływającego czasu narastała we mnie coraz silniej pewność, że w tym domu stało się coś nieodwołalnego i coś strasznego i z chwilą uświado-

mienia sobie tego zaczęłam się nieludzko bać, tak że strach dosłownie zjeżył mi włosy na głowie. Lecz ten sam strach zamiast sparaliżować mnie w bezruchu, jak zwykle się dzieje (przynajmniej w powieściach), popchnął mnie do działania. Nie mogłam przecież tak stać i czekać - to przerastało wytrzymałość moich nerwów.

Otworzyłam drzwi pokoju i na bosaka, na palcach zesłam po schodach na pierwsze piętro. Cisza wszędzie była tak głęboka, że aż dźwięczała w uszach. Z gabinetu Svensona sączyło się nikłe światło. To paliła się jedna z lamp stojących na biurku. W tym skąpym, mdłym jej blasku zobaczyłam rzecz tak niespodzianą, że fala gorąca podpłynęła mi do gardła: tajemnicze, niezdołyte, białe lakierowane drzwi strzegące Margaret były uchylone. Żadna siła nie mogłaby mnie teraz powstrzymać od przestąpienia progu tego pokoju. Wiedziałam, że to zrobię, piekielnie się tego bałam, ale musiałam tam wejść, to było silniejsze ode mnie, nawet silniejsze od straszliwego przerażenia, które mną owładnęło.

Jeżeli zaszło kiedyś takie zjawisko, że istota ludzka mogła się obejść bez powietrza, to na pewno ja właśnie stałam się tego żywą ilustracją. Bez wątpienia bowiem nie oddychałam, kiedy bezgłośnie wsunęłam się do dużego, ciemnego pokoju, w którym z trudnością, po pewnym czasie, zaczęłam rozróżniać sprzęty. Raczej jednak domyśliłam się, niż zobaczyłam, że pod oknem stoi odsunięty fotel, a pod ścianami sofy i wielki rozesłany tapczan, który wydawał mi się pusty. Postąpiłam naprzód kilka kroków i nagle pośliznęłam się, zawadzając nogą o coś dużego, co leżało na podłodze w poprzek pokoju. Dotknęłam ręką czegoś sztywnego, twardego, jakby pod powłoką jakiegoś materiału. Ręka moja posuwała się wzdłuż tej materii, aż natrafiła na wilgotną, gąbczastą masę, zimną i nieruchomą. Pod palcami wyczułam z najwyższym przerażeniem wzgórek nosa i miękkość warg ludzkich. Nie wiem, jak to zrobiłam, że nie krzyknęłam, choć ten krzyk wypełnił mnie wewnątrz całą, aż do bólu. Musiałam go po prostu połknąć.

I wtedy zobaczyłam wyraźnie zarys leżącej postaci, otulonej

szlafrokiem, o rozrzuconych wokół głowy włosach. To była kobieta - to była Margaret Svenson. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że nie żyła. Taka sztywność i takie zimno mogły zwiastować tylko śmierć. Odruchowo dotknęłam przegubu jej ręki i nie odnalazłam tętna. Poczulałam, że natychmiast wymiotuję, jeżeli zostanę tu jeszcze choć chwilę. W całym domu panowała nadal niczym niezmacona cisza. Gabinet wyglądał dziwnie martwo w przytłumionym świetle lampy. Posuwając się jak lunatyczka korytarzem, mimo woli przystanęłam pod drzwiami pokoju, w którym nocował Burckett. Nie dochodził spoza nich żaden odgłos. W dalszym ciągu, jak marionetka zdalnie kierowana nieznaną, a wszechmocną siłą, nacisnęłam kłamkę, niepomna na nieobliczalne skutki, jakie taki nieprzemyślany postępek mógł wywołać. Drzwi łagodnie ustąpiły pod moją ręką. Nietrudno się było zorientować, w ciągu paru sekund, że pokój był pusty, a tapczan nawet nie posłany. I wtedy właśnie nadeszło odprężenie nerwowe w postaci zwiotczenia wszystkich mięśni. Nie mogłam się przez dłuższy czas poruszać i o mało co nie zostałam jak rozkręcona lalka na podłodze do rana. Ostatnim wysiłkiem woli doczołgałam się jednak, częściowo na kolanach, po schodach do mojego pokoju. W pierwszym odruchu włożyłam głowę pod poduszkę i dopiero kiedy zaczęłam się porządnie dusić, wysunęłam ją i zaczęłam myśleć.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że ktoś zabił Margaret: albo Svenson, albo Burckett. A może obydwaj? I dlatego uciekli, pozostawiając mnie, jako ofiarę, samą z trupem. Ponieważ rozmyślenia przyjęły tak niekorzystny dla mnie obrót, zaczęłam gwałtownie wzywać na pomoc ciotkę Betty i... Janka. Słaba to była pociecha, gdyż jedna z tych osób mogłaby mi przybyć na odsiecz tylko w charakterze ducha, a druga znajdowała się w tym momencie w odległości dwóch tysięcy kilometrów. Postanowiłam więc rozumować trochę inaczej. Bardzo możliwe przecież było, że Margaret umarła własną śmiercią, spowodowaną na przykład szokiem na widok ukochanego kuzyna, który być może wtargnął zgodnie ze swoją zapowiedzią do jej pokoju, pomimo zakazu Olafa. Ale dlaczego

w takim razie obydwaj mężczyźni, tak ze sobą skłóceni, wyjechali razem cichaczem nocą z domu? Czyżby mimo wszystko obawiali się poniesienia odpowiedzialności za śmierć Margaret? Na podstawie analizy całokształtu sytuacji można było jednak dojść do wniosku, że Margaret nie została zamordowana. Przecież nie dostrzegłam nigdzie śladów krwi. Moje ręce, mimo że ją dotknęłam, i szlafrok - również nie były zakrwawione. Tak, śmierć niewątpliwie była naturalna. Poza tym żaden z obu podejrzanych nie miał interesu w zgładzeniu Margaret z tego świata, a raczej odwrotnie, każdemu z nich zależało na utrzymaniu jej przy życiu.

O ironio losu. Zginęła w przeddzień swoich trzydziestych urodzin, a więc jakaż to klęska życiowa dla Olafa, o ile słowa Burcketta o klauzuli w testamencie Wilsona były prawdziwe. Może więc Svenson, wobec tak straszliwej porażki, oszalał i pojechał, aby więcej nie wrócić.

A gdybym ja teraz, korzystając ze sprzyjających okoliczności, że jestem sama, uciekła tak jak stoję z tego domu grozy i tragedii, czy nie byłoby to najlepsze wyjście?

Przez pewien czas delektowałam się tym pomysłem, który by za jednym zamachem uwolnił mnie raz na zawsze od wszystkich Svensonów i okropności z nimi związanych. Ale zaraz potem przyszła trzeźwa myśl, aż oślepiająca w swojej logice, że tego rodzaju dezercja z pola walki mogłaby być wyłącznie poczytywana na moją niekorzyść, że po prostu mogłabym się dostać w krąg podejrzeń, które by niewątpliwie swym ostrzem zwróciły się ku mnie. Bo czyż nie znana nikomu, obca, młoda dziewczyna nie mogła zakochać się w Svensonie i dokonać zamachu na życie swej chlebobdawczym, aby zawładnąć jej mężem i jego milionami? Nie, jednak musiałam pozostać na miejscu i czekać rozwiązania tej ponurej tajemnicy, już tym razem dla własnego dobra. Na razie przestałam więc na śpiesznym umyciu rąk i twarzy, wypłukaniu ust, po czym owinęłam się kołdrą aż po czubek nosa, nie mogąc się pozbyć wewnętrznych dreszczy. Nawet nie zdążyłam zacząć się dalej zamartwiać, bo w tej chwili przed dom zajechał samochód i usłyszałam przyciszone kroki

jednego tylko człowieka, wchodzącego po schodach. Kroki te zatrzymały się na pierwszym piętrze i rozplynęły w mrokach nocy.

Monotonny plusk deszczu rozpryskującego się na szybach obudził mnie z krótkiego, nieprzytomnego snu. Musiało być jeszcze bardzo wcześnie. Mdłe, szarawe światło wstającego dnia wlewało się anemicznie do pokoju. Świadomość tego, co zaszło, poraziła momentalnie jak prądem elektrycznym wszystkie moje ośrodki nerwowe, co wywołało taki skutek, że omal nie spadłam z tapczanu. W domu nadal panował niczym nie zmacony spokój, a ja starałam wziąć się w karby, stosując jak dotąd niezawodną metodę wymyślania sobie od idiotek i histeryczek. Tym razem jednak ten autodydaktyczny chwyt nie przyniósł pożądaných rezultatów. Zwyczajny, pospolity strach przed tym, co nastąpi, przenikał mnie jak zwykle we wszystkich stressowych sytuacjach od czubka głowy aż do epicentrum - dużego palca prawej nogi. Czas, jak na złość, pełznął żółwim tempem. Wreszcie trzasnęły drzwi. To gospościa swoim zwyczajem wyszła po zakupy. Fakt ten, że jednak jest dzień jak co dzień, zmobilizował mnie do zastanowienia się nad moim, trzeba przyznać, dziwnym i niewesołym położeniem. Właściwie co powinnam była zrobić, jak się zachować? Spodziewałam się, że lada chwila zapuka Svenson i zawiadomi mnie o tragicznym zgonie żony, ale minuty płynęły, a nic takiego nie nastąpiło. Deszcz przestał padać, wyrzało słońce, które tego lata nie skąpiło swoich blasków, rozświetlając pokój i czyniąc go bardziej swojskim.

Zupełnie nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. W zasadzie, zgodnie z programem każdego dnia, powinnam zejść do laboratorium i zająć się przygotowaniem leków. Ale jak postąpić dzisiaj? Czy ostentacyjnie zamanifestować, że wiem o wszystkim, i nie przystąpić do bezużytecznej już przecież pracy? Ale czy wówczas nie znajdę się w fałszywej sytuacji wobec Svensona jako egzekutorka uprzednich jego deklaracji i jakoby wiążącego nas układu. Na samą myśl o tym zrobiło mi się gorąco i wiedziałam, że nigdy się na to nie zdobędę. A może powinnam jednak zawiadomić policję, że w domu znajduje się



trup, i w ten sposób oczyścić się od wszystkich ewentualnych podejrzeń? Świadomość przebywania pod jednym dachem z nieboszczykiem nie należy do przyjemności życiowych, tym więcej że śmierć nastąpiła w okolicznościach co najmniej zagadkowych. Jak długo zresztą Svenson zamierza kontynuować to makabryczne sam na sam ze zmarłą? Być może, że dla stworzenia pozorów dalszego życia żony gotów jest na wszystko. Niewątpliwie postać Olafa jako idyllicznego, ofiarnego małżonka uległa w moim pojęciu, poważnemu odbrazowaniu. Ale co robić dalej? Czy milczeć i udawać, że nic się nie stało, co w końcu będzie równoznaczne z przyłożeniem ręki do oszustwa na szeroką skalę? Jakiś wewnętrzny instykt jednak, a może i poczucie, że właściwie jestem tylko i wyłącznie dobrze płatną siłą najemną, zdecydowały, że postanowiłam zejść do laboratorium, przywdziać fartuch roboczy i przystąpić jak zwykle do wykonywania codziennych zajęć w oczekiwaniu na dalszy rozwój wypadków.

Praca mi szła okropnie. Ręce miałam jak z galarety i gdyby nie sumiennosc zawodowa, przyrządzone przeze mnie lekarstwa mogłyby zabić gigantosaury. Musiałam kilkakrotnie robić je na nowo, choć przecież zdawałam sobie jasno sprawę, że nie mogę już nikomu pomóc ani zaszkodzić. Nie wiem, ile czasu upłynęło mi na tych jałowych zajęciach, gdy na tle szklanych drzwi ukazał się Svenson. Był jak zwykle starannie ubrany, ale twarz miał pobladła, co zresztą dodawało mu specjalnego uroku.

- Mary - powiedział - ta noc była straszna.

„Wcale o tym nie wątpię - pomyślałam — jeżeli ktoś w tym samym momencie stracił żonę i miliony dolarów.” Ale jednocześnie skarciłam samą siebie za zbyt może przedwczesną złośliwość.

- Burckett w nocy ciężko zachorował - ciągnął Svenson

- musiałem odwieźć go do szpitala. Cała tragedia w tym, że jego karygodne, nieobliczalne zachowanie spowodowało ciężki atak u Margaret. Zastałem ją po powrocie w tak silnym omdleniu, że byłem pewien, że to już koniec.

„To był koniec” - myśl moja pracowała gorączkowo. Jak on

kłamie, jak strasznie kłamie. Dla pieniędzy próbuje zamaskować śmierć żony, a może przesunąć ją w czasie, o kilka dni. Jestem w końcu farmaceutką i potrafię odróżnić zwłoki od żyjącego człowieka.

Widocznie te myśli w jakiś sposób musiały odbijać się na mojej twarzy, bo zdawało mi się, że Svenson je odczytał. W każdym razie spojrzenie jego stało się jakby czujne i badawcze.

- Dopiero nad ranem Margaret odzyskała przytomność. Przez kilka godzin pozostawała jakby w stanie katalepsji. Profesor Brent uprzedzał mnie niejednokrotnie o możliwości wystąpienia takich krańcowych objawów w wyniku szoku, który, niestety, miał miejsce w nocy, gdyż Burckett nie zastosował się do moich próśb i przemocą wdarł się do jej pokoju. Dlatego zawsze tak surowo przestrzegałem zakazu wszelkich kontaktów Margaret z ludźmi. To było okropne, Mary. Nie chciałbym jeszcze raz tego przeżyć. - Svenson podniósł dłoń do czoła, sygnet na palcu zaśnił krwawym blaskiem, co wywołało we mnie makabryczne skojarzenia. „Jestem kotem perskim - pomyślałam znowu - jeżeli tak wygląda zemdlecie. Chyba że istotnie był to jakiś specjalny stan katalepsji, rzadko notowany w medycynie. Ale nie mogę w to uwierzyć, nie mogę.”

- Burckett to psychopata i fizycznie ciężko chory człowiek. Zresztą działał w silnej gorączce - Svenson znów rzucił na mnie spojrzenie zmęczonych, zamglonych, ale nadal urzekających oczu.

- Wyobrażam sobie, ile ci sprawił przykrości, Mary, i proszę cię, być może ostatni raz: przebacz i bądź cierpliwa. Nawet nie wiesz, jak bardzo jesteś mi teraz potrzebna i będziesz zawsze - głos jego nabrał ciepłej, specyficznej dla niego modulacji. - Ostatnio nie miałem okazji z tobą przebywać i rozmawiać. Obecnie to też niestosowna chwila, ale musisz mi wierzyć, że wciąż myślę o naszej przyszłości i tęsknię. Biedactwo, jak ty wyglądasz. Idź, Mary, połóż się, odpocznij. Nie musisz pracować. Margaret ma jeszcze wystarczającą ilość leków. Zresztą muszę jej podawać inny środek, który mi zostawił

profesor na wypadek wystąpienia tego typu przypadłości. Teraz muszę już odejść, dziecino. Dzisiaj nie wyjadę do Brownsville - zbliżył się do mnie i niespodziewanie zamknął w szybkim, gwałtownym uścisku moje ręce w swoich.

Zostałam sama. Za chwilę usłyszałam trzask zamykanych przez Svensona na piętrze drzwi. A więc ile jest prawdy w tym, co mówił? Czy Margaret rzeczywiście żyje? Nie mogłam w to uwierzyć w dalszym ciągu, ale pewność moja została w jakiś sposób zachwiana. A jeżeli naprawdę straszliwa choroba może dawać tego rodzaju symptomy podobne do śmierci, jeżeli niesłusznie podejrzewam tego nieszczęśliwego człowieka, który tak bardzo potrzebuje mojego oparcia? Zdawało mi się jednak, że w zachowaniu Svensona odczułam jakąś fałszywą nutę i te jego w gruncie rzeczy teatralne pozy i deklaracje, którymi właściwie zawsze operował, ale które w jego wykonaniu miały jakiś niepowtarzalny, jemu tylko właściwy wyraz, sugestywnie działający na otoczenie - są tylko umiejętną grą i niczym więcej. Wydało mi się również, że Svenson nie jest pewien, czy nie znam zająć tej nocy, i że to budzi jego niepokój. Podświadomie czułam, że postąpiłam słusznie, nie zdradzając się z faktu pobytu w pokoju Margaret w nocy, niezależnie od tego, czy Svenson o tym wie, czy tylko przypuszcza, że tak być mogło. Coś mnie powstrzymało od zupełnej szczerości. Sprawa nagłego odjazdu Burcketta wydała się być wyjaśniona. Tylko dlaczego, odwożąc chorego, Svenson, tak zwykle dokładny i dbający o żonę, zapomniał zamknąć pilnie dotąd strzeżonych drzwi i zostawił ją zemdloną? A może Margaret straciła przytomność już po jego wyjeździe? To też nie było wykluczone, ale nastroczało nieskończenie wiele wątpliwości i napawało mnie dziwnym uczuciem lęku.

Rozmowa ze Svensonem, a właściwie monolog, który wygłosił, gdyż ja przez cały czas nie powiedziałam ani jednego słowa, liczne aluzje, które czynił do naszego wzajemnego stosunku, bynajmniej nie uspokoiły moich wzburzonych nerwów. Zdawałam sobie jasno sprawę, że zostałam wciągnięta w jakąś tajemnicę i najgorsze, że nie umiałam z tego wybrnąć ani podjąć jednoznacznej decyzji, czy mam

natychmiast bez dalszych wyjaśnień odejść z tego domu, czy ufać słowom Svensona. Byłam tak rozbita wewnątrz, że zaaplikowałam sobie, pierwszy raz w swojej życiowej karierze, z barku stojącego w jadalni, kilka mocnych drinków, które, należy przyznać, dodały mi animuszu i doprowadziły do szeregu rzeczowych konkluzji, a mianowicie, że niepotrzebnie się tak całą tą historią truję, że o ile Svenson ma przyjemność w obcowaniu z nieboszczką - to nie moja sprawa, że powinnam bezzwłocznie całkowicie odciąć się emocjonalnie od spraw Svensonów, a przede wszystkim na razie dobrze przespać. Alkohol tak dalece polepszył moje samopoczucie, że jak zawodowy pijak zaopatrzyłam się w jedną z bajecznie kolorowych butelek, obficie wypełniających wnętrze barku, i podążyłam do siebie na górę. Właśnie miałam zamiar pociągnąć któryś z kolei łyk nęcącego mnie coraz bardziej płynu, kiedy uszu moich dobiegł charakterystyczny, dobrze mi znany odgłos zamykania drzwi na piętrze, a następnie mozolny stukot nóg Margaret na schodach.

„No, doczekałaś się, moja mała - powiedziałam sobie - jesteś tak urzęnięta, że nawiedzają cię już omamy słuchowe.”

Aby orzeźwić się świeżym powietrzem, usiadłam zawadiacko na parapecie okiennym i o mały włos z wrażenia nie wyleciałam przez okno.

Nie, tym razem to nie była halucynacja wzrokowa - to Olaf Svenson, po raz pierwszy od wielu dni, udawał się wraz z małżonką na spacer popołudniowy. Porzekadło, że pijany ma szczęście, znalazło w moim przypadku całkowite potwierdzenie, bowiem zaszokowana widokiem domniemanej nieboszczki, kroczącej na własnych nogach przy boku męża, wychyliłam się do granic możliwości fizycznych i w ostatniej chwili cudem uratowałam się od upadku.

Jakże więc szybko miałam się przekonać, że diametralnie omyliłam się w swoich osądach. Nie, to niemożliwe. Albo Olaf posiada najwidoczniej nadprzyrodzone właściwości wskrzeszania zmarłych, albo ja tej nocy nie znajdowałam się przy zdrowych zmysłach. Jedno było niewątpliwe: to Margaret Svenson, osoba, której zwłok, w moim przeświadczeniu,

dotykałam własną ręką kilka godzin temu, szła teraz ciężkim, nieco chwiejnym krokiem, podpierana przez Olafa, w stronę oczekującego ich samochodu. W pewnej chwili odwróciła głowę do męża, ale natychmiast raptownie opuściła ją na dół, jakby ten wysiłek przerastał jej siły.

Svensonowie odjechali, pozostawiając mnie w niemym osłupieniu z butelką w zastygłej w bezruchu ręce.

„Dość tych głupstw z piciem - postanowiłam - jeżeli nie mam zamiaru zostać nałogową alkoholiczką, do czego zdradzam wyraźną inklinację. Otóż i cała moja wyszana z palca tragedia.”

Jakim cudem jednak tak szybko poprawił się krytyczny stan zdrowia Margaret, że bezpośrednio po tak ciężkim ataku mogła wyjść o własnych siłach z domu? Czyżby tak zadziałało specjalne lekarstwo profesora Brenta? W każdym razie niezaprzeczalny był fakt, że Svenson wygrał batalię o życie żony, której stawką była krociowa fortuna. Dziś zapewne całe miasto będzie ich obserwować, a on jak triumfator pokaże wszystkim żyjącą Margaret w rocznicę jej trzydziestych urodzin.

## **Rozdział jedenasty**

Nie można powiedzieć, żeby moje samopoczucie następnego przedpołudnia należało do najlepszych. Miałam potwornego kaca, przespałam chyba wieki, praca szła mi jak z kamienia. W domu panowała kompletna cisza. Svenson z samego rana wyjechał, Maxwell w dalszym ciągu pozostawał w podróży służbowej, a moja potrzeba obcowania z jakąś komunikatywną, normalną istotą ludzką potęgowała się z godziny na godzinę. Lato przypuszczało właśnie ostatni szturm, słońce wytoczyło się w całej okazałości na bezchmurne, niebieskie niebo, tylko przekwitłe już róże przypominały o nadchodzącej jesieni. Piękna pogoda skłoniła mnie do odpoczynku w ogrodzie, więc też po uporządkowaniu laboratorium rozciągnęłam się leniwie pod markizą, nad basenem, a wzrok mój jak zwykle pozęgłował ku oknu Margaret, które było puste i szczelnie zasłonięte

firanką. Pozornie wszystko wracało do normy. Dzień urodzin chorej przeszedł spokojnie. Widocznie wieść o wczorajszym spacerze Margaret z mężem rozeszła się po miasteczku. „Co się właściwie dzieje z Burckettem?

- pomyślałam. - A może zaraz przyjdzie i znowu będę musiała powstrzymywać jego nieokrzeseane zapędy zobaczenia się z ukochaną kuzynką? Chyba jednak jest nadal chory, gdyż po jego ostatnim występie trudno było przypuścić, że zrezygnował z kontaktu z Margaret”. Ale mijały godziny i nikt się nie zjawiał. Wprawdzie kilka osób przedefilowało przed sztachetami ogrodu, zaglądając ciekawie do wnętrza, ale byłam już do tego przyzwyczajona i nie zwracałam uwagi, zajęłam się wertowaniem barwnych magazynów ilustrowanych i czytaniem gazet.

W pewnej chwili jednak wzrok mój przykuł pewien przedmiot, tkwiący w jednym z krzaków ciągnących się wzdłuż głównej alei. Był to chyba jakiś spiczasty kij.

Zaintrygowana, podeszłam bliżej i bez chwili zastanowienia przedmiot ten zidentyfikowałam: była to bowiem ciężka, dębowa laska. Z całą pewnością była to laska Burcketta, na której dwa dni temu podpierał swoje wyniszczone ciało. Jakim sposobem mogła znaleźć się w tak nieoczekiwanym miejscu i w tak niezwykłej pozycji? Wyglądało na to, że ktoś ją tutaj umyślnie wrzucił, że zaplątała się w gąszczu gałęzi, a teraz obsunęła. Ale kto to zrobił i dlaczego? Mimo woli przysunęłam się jeszcze bliżej i przyjrzałam srebrnemu okuciu, gdyż w blasku słonecznym zauważyłam na nim jakby rdzawe, ciemne plamy. Nie jestem ekspertem, ale wydawało mi się, że mogę ustalić pochodzenie tych plam: były to bowiem niewątpliwie ślady krwi. I wtedy nagle serce podeszło mi do gardła. Różne fakty zaczęły kojarzyć się z sobą i przelatywać jak w kalejdoskopie przed oczyma mojej wyobraźni.

Wydarzenia tamtej pamiętnej nocy nabrały dla mnie teraz innego znaczenia, a jedna przerażająca myśl sprawiła, że moje nogi ugięły się jak zwiotczałe badyle.

Burckett nie żyje. Został zamordowany, a jego mordercą jest Svenson. W nocy zabił Burcketta i następnie wywiózł ciało

samochodem, pozorując to chorobą ofiary, którą jakoby musiał odwieźć do szpitala. Prawdopodobnie była to wersja specjalnie dla mnie spreparowana. „Ja i moja laska - to jedno” - powiedział Burckett do mnie. Tak, ten człowiek, nawet będąc chory, nie mógł zostawić laski, bez której nie był w stanie się poruszać, chyba żeby stracił przytomność. W takim razie skąd na niej ślady krwi, i to chyba świeżej, i z jakiego powodu laska znalazła się w krzakach? Czyżby Svenson popełnił taką nieostrożność, że zostawił narzędzie zbrodni w tak widocznym miejscu? A jeżeli w napięciu i pośpiechu przy wywożeniu ciała zapomniał o lasce, zaplątanej w gąszczu listowia, i do tej pory nie wie, gdzie się ona znajduje? A może inne, ważniejsze sprawy, na przykład konieczność utrzymania przy życiu Margaret, nieomal jej wskrzeszenia, tak dalece go zaabsorbowały, że nie miał czasu i nie mógł wszcząć poszukiwań? W każdym razie znowu stanęłam wobec dylematu, czy wyjąć laskę i zawiadomić policję, czy nie wyjmować i dać znać policji, albo też w dalszym ciągu schować głowę w piasek i udawać, że o niczym nie wiem. Przyznam się, że taka koncepcja najbardziej mi odpowiadała. Nie było najmniejszego sensu ruszać laski i zostawiać na niej odciski własnych palców - tyle wiadomości o daktyloskopii pozostało mi w głowie na podstawie lektury powieści kryminalnych. Po drugie istnieje jednak poważna szansa, że Burckett nie został zamordowany, przecież takie samo podejrzenie powzięłam w związku z osobą Margaret i okazało się ono zupełnie bezpodstawne. Już drugi raz w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin uznałam Olafa za mordercę. Niedawno przekonałam się, jak pochopny był mój sąd w pierwszym przypadku, mogłam się omylić i tym razem - i to było prawdopodobne. Być może przecież, że między obydwojma mężczyznami doszło do walki, wymiany ciosów, nawet sprowokowanej przez Burcketta. Olaf, broniąc się, mógł go zranić, a potem odwieźć rzeczywiście do szpitala, uzasadniając ranę nieszczęśliwym wypadkiem. A może po prostu chory Burckett dostał krwotoku i wtedy trzymana przez niego w rękę laska została zanieczyszczona? Wszystko to były domysły. W

każdym razie Svenson mógł być zabójcą Burcketta, ze względu na oczywistość motywów takiego czynu: usunięcie przeszkody w realizacji jemu tylko wiadomych planów życiowych. Czyż nie może wobec tego mnie spotkać taki sam los jak nieszczęsnego Burcketta? Nie wiadomo, jaką rolę naprawdę wyznaczył mi Svenson w tej sprawie. Z drugiej strony podjęcie jakiegokolwiek akcji przeciw Svensonowi, tylko w oparciu o własne podejrzenia, nie miało żadnego sensu, szczególnie że przecież mogłam tragicznie się mylić. Zrozumiałam jedno, że jestem w pułapce, i żadna rozsądna myśl nie przychodziła mi do głowy. Oczywiście, gdyby Maxwell był w „Różanych Krzewach” - natychmiast bym się do niego zwróciła o radę i pomoc. Być może, że on umiałby rozproszyć moje obawy i uznać je za dziecinadę. Byłam jednak zupełnie sama, zdana na łaskę Svensona. Jednocześnie zdawałam sobie jasno sprawę, że moja ewentualna ucieczka z tego domu, w razie faktycznego popełnienia przestępstwa, świadczyłaby przeciwko mnie.

W stanie wewnętrznego odrętwienia wróciłam do swego pokoju. Nie mogłam przełknąć ani jednego kęsa na obiad, ale nie odczuwałam głodu. Gdyby chociaż z gosposią można było nawiązać kontakt, ale ona przy swoim kalectwie wydawała się jedynie zdolna do wykonywania czynności gospodarczych, w wyniku prawdopodobnie psychopatycznych odchyłeń żyła w całkowitej izolacji od świata. Zresztą po podaniu kolacji natychmiast udawała się do swego pokoju.

Wieczór szybko zapadał, a spokojny zazwyczaj ogród wydał mi się teraz pełen poruszających się cieni i widm. Dziwna rzecz, ale nieomal fizycznie wyczuwałam czyjaś obecność, ale na pewno była to gra mojej wyobraźni. Nikogo nie było.

Svenson nieco później niż zwykle wrócił do domu. Słyszałam, jak wprowadzał auto do garażu. Rozbłyły światła w hallu. W moim pokoju było ciemno, nie zapalałam lampy, prawie niezdolna do żadnych ruchów. Widocznie musiało to obudzić jego zdziwienie. Wszedł po schodach i stanął pod moimi drzwiami, co się nigdy normalnie nie zdarzało.

- Mary? - zapytał. - Czy śpisz, Mary?

Nie odpowiedziałam nic, przelżykając szybko ślinę, z bijącym



sercem. Na pewno był w tej chwili ostatnią osobą na świecie, z którą chciałabym rozmawiać. Przecież natychmiast rozszyfrowałby moje zdenerwowanie, moje podniecenie, a to mogłoby mieć fatalne następstwa. Kiedy trzasnęły drzwi od jego pokoju, zrozumiałam, że popełniłam niepowtarzalne głupstwo nie zwijając manatków w czasie jego nieobecności - że nie uciekłam gdzie pieprz rośnie... Na pewno czułabym się bezpieczniej w pociągu uwożącym mnie z tego przekłętego miejsca, niż w tym pokoju w oczekiwaniu na jakieś nowe, nieprzewidziane kataklizmy, a w najlepszym razie na śmierć Margaret.

Tymczasem zapadła noc. Automatycznie prawie zaczęłam pakować walizki. Robiłam to cicho, bezszelestnie, ze wstrzymanym oddechem, przy zgaszonych światłach, poruszając się w mroku jak osaczone zwierzę. Nie mogłam postąpić inaczej, a Svenson nie powinien się być o moich planach dowiedzieć. Pakowanie zajęło mi sporo czasu i pozwoliło jako tako wziąć się w garść.

Jedno musiałam sobie jasno powiedzieć, że niezależnie od faktu, czy Svenson był mordercą, czy tylko ofiarą splotu tragicznych i niezrozumiałych dla mnie wydarzeń - nie chcę w tym domu pozostać.

W pewnej chwili jednak uświadomiłam sobie, że nie będę w stanie stąd odejść, o ile nie sprawdzę, czy moje podejrzenia w stosunku do Olafa były uzasadnione. W końcu byłam w tę sprawę tak mocno wplątana, że w jakiś sposób dla własnego spokoju musiałam rozwiązać tę dręczącą mnie zagadkę. A droga do jej rozwiązania była tylko jedna: sprawdzenie, czy laska w ogrodzie pozostała w tym samym miejscu, czy też Olaf znalazł ją i ukrył w domu. Wiedziałam, że postępuję jak szalona, że w przypadku zaskoczenia mnie przez Svensona w ogrodzie mogłam znaleźć się w niebezpiecznej sytuacji, ale podjęłam to ryzyko, gdyż wiedziałam, że nie mogę uczynić inaczej. Wyczekałam do godziny dwunastej, kiedy w domu panowała absolutna cisza, i z zapiętym oddechem, na palcach, zesłam na dół.

W ogrodzie nawet wiatr nie poruszał liśćmi, mrok stąpił

wszystko w pozornie nierozzerwalną całość, rozjaśnioną jednak słabym blaskiem księżyca. Posuwałam się prawie po omacku. W pewnej chwili odniosłam wrażenie, że ktoś stoi za mną, i strach ścisnął mnie za gardło. Ale to było tylko złudzenie.

Głuchy jęk uwiązał mi w gardle: laski w krzakach nie było. Dopiero teraz zrozumiałam, że popełniłam nowe, niewybaczalne głupstwo wychodząc z domu, ale musiałam tam wrócić, nie miałam odwrotu.

Na schodach panowała ciemność. W gabinecie Svensona nagle zapaliło się światło. Drzwi były otwarte.

- Wejdz, Mary - usłyszałam jego głos o dziwnie obcym brzmieniu. - Wiem, po co poszłaś do ogrodu. Cały czas śledziłem cię przez okno.

Jak ćma lecąca do ognia, przestąpiłam próg gabinetu. Tak jak tamtej nocy zobaczyłam, że białe lakierowane drzwi były otwarte, a na progu stał Olaf Svenson w jedwabnym szlafroku i w obu rękach trzymał głowę Margaret. Jej długie włosy spływały w dół. Tym razem, na taki widok, mój organizm zareagował zupełnie inaczej niż zazwyczaj w przypadku nagłego zdenerwowania. Po prostu zamurowało mnie na miejscu, poczułam, że stopy wrosły mi w podłogę i nie jestem w stanie poruszyć się w żadną stronę.

Tymczasem Svenson, obracając z ostrożnością w dłoniach fragment rozkawałkowanego przez siebie ciała żony, powiedział cichym, bezbarwnym głosem:

- Nie, Mary, mylisz się, ja nie zabiłem Margaret. Nie mogę być zabójcą kobiety, której zwłoki od siedmiu lat spoczywają na wiejskim cmentarzu koło Göteborga.

Po tym wyznaniu zapadła głucha cisza, którą znowu przerwał Svenson:

- Szkoda, Mary, naprawdę szkoda, że się tak stało. Nie możesz być współnikiem mojej tajemnicy. Podjąłem niebezpieczną grę i muszę ją pomyślnie zakończyć. To dla mnie więcej znaczy, niż wszystkie inne sprawy na świecie.

- Na litość Boską, więc kto to jest? - wykrztusiłam.

- To zlepek ze sztucznych tworzyw ze skomplikowaną maszyną w środku - dzieło rąk profesora Brenta, naj-

słynniejszego na świecie twórcy mechanicznych lalek. Oczywiście, jego prawdziwe nazwisko brzmi inaczej. To, co teraz robię, to zwykle zabiegi konserwatorskie, konieczne do sprawnego funkcjonowania mechanizmu.

- Więc po co ja tu byłam, po co moja praca...

- Byłaś mi potrzebna, Mary - przerwał Svenson. - Ty jedna mogłaś odwrócić ode mnie podejrzenia i rozładować wrogą atmosferę w miasteczku. Co prawda, posadzano mnie o coś zupełnie innego: o więzienie i terroryzowanie żony, o chęć zgładzenia jej ze świata, grożono interwencją policji. To przeklęty testament Johna Wilsona zmusił mnie do zamknięcia się na siedem lat w czterech ścianach z manekinem, do życia w odosobnieniu z bezduszną masą plastikową. Ale ja nie mogłem wyrzec się luksusu, nie mogłem oddać majątku w obce ręce. Należał mi się za moją ciężką, wieloletnią pracę.

Svenson na chwilę umilkł i odłożył na bok makabryczny przedmiot, który trzymał w ręku. Pierścień na jego palcu zamigotał krwawo w blasku lampy.

- Wtedy w Szwecji została z niej jedna krwawa miazga. Zderzenie czołowe było potworne. Myślę, że zrobiła to umyślnie. Chciała mnie zniszczyć. Jej zdrowie i tak pogarszało się z dnia na dzień, to prawda, miała najwyżej pół roku życia, ale nie wiedziała o tym. To była zemsta za to, że jej nie kochałem. Była zawsze przewrotną, zimną egoistką. Wtedy postanowiłem dopiąć swego celu. Brent skonstruował tę maszynę, prawie idealną we wszystkich szczegółach, plastik bezbłędnie imitujący ciało ludzkie, mechanizm umożliwiający normalne ruchy, utrzymujący ciepłość wewnątrz i zewnątrz. Nikt tu o niczym nie wiedział, bo pogrzeb w Szwecji odbył się w największej tajemnicy.

Postarałem się o to, by stworzyć fikcję jej życia, i pomogły mi w tym pieniądze. Ona miała przeżyć trzydzieści lat, tak pragnął jej ojciec, chociaż lekarze w każdej chwili przewidywali katastrofę, a ja postanowiłem dotrzymać tego terminu. Sędzia Edgar Smith był wykonawcą testamentu. Uważał, że znęcam się nad chorą, że nie lecę jej właściwie, nie miał jednak

podstaw do wystąpienia przeciwko mnie na drogę sądową. Musiałem przejść przez piekło podejrzeń, insynuacji, wyrzec się prywatnego życia, ale wiedziałem, że wytrzymam, że muszę wytrzymać. Opłacałem Brenta, aby grał rolę sławnego chirurga, kosztowało mnie to tysiące dolarów. O, on umiał wykorzystać sytuację, stale zwiększał wymagania, ale w gruncie rzeczy był lojalny.. Tylko maszyna zawiodła. Zaczęła się psuć. Kilka razy składaliśmy ją z kawałków. Brent zawsze przyjeżdżał na każde moje wezwanie i dokonywał tu na miejscu reperacji. Wreszcie rozleciała się na drobne części. To było wtedy, kiedy się tak przeraziłaś, Mary. Brent przywiózł mi duplikat, ale daleko odbiegający od doskonałości pierwowzoru. Tamta lalka mówiła, śmiała się, płakała, można ją było zaprogramować jak komputer, ta druga umiała wydawać tylko jęki i nie posiadała ani setnej części jej sprawności. Ten pijak Brent już się skończył, może tylko fabrykować lalki dla dzieci, a przecież jeszcze dwa lata temu zaprogramowana przez niego lalka dokonała samodzielnie słynnej kradzieży brylantów u jubilera w Londynie. Oszukał mnie, przywiózł kukłę o uszkodzonym mechanizmie. Od razu wiedziałem, że coś jest nie w porządku.

Usiłowałam się poruszyć, ale Svenson zatrzymał mnie ruchem ręki.

- Niestety, Mary, ty nie możesz stąd odejść. Moja walka jeszcze nie jest skończona. Gdyby nie Burckett - wszystko by się udało. Twój przyjazd, Mary, zrobił ogromne wrażenie na tutejszej ludności. Młoda, wykształcona osoba w tym domu, do którego dotąd nikt nie miał wstępu. Ty byłaś taranem, o który rozbijały się wszystkie uderzenia wrogów, byłaś mi potrzebna, Mary, i naprawdę stałaś mi się bliska. Wiedziałem, że trudno mi będzie ciebie zatrzymać, a przecież twoja obecność tu do końca była konieczna jako warunek pomyślnej realizacji moich planów. Wiem, że stale myślałaś o wyjeździe, a ja bałem się ciebie spłoszyć nieopatrznyim postępkim. Ze zwykłej, przeciętnej dziewczyny uczyniłbym swoją kochankę, przekupiłbym pieniędzmi, ale wobec ciebie musiałem być ostrożny. Wierz mi, zależało mi na tobie, Mary. Posiadasz właściwie wszystkie cechy dodatnie: jesteś dyskretna,

uczuciowa, lojalna, prostolinijna, ufna, byłabyś idealną żoną, która wynagrodziłaby mi lata udręki, i dlatego tym trudniej będzie mi ciebie zabić.

Svenson umilkł na chwilę. Ostatnie jego słowa zawisły w powietrzu jak miecz nad moją głową. Chciałam uciekać, ale nadal nie mogłam poruszyć się z miejsca. Gdyby Svenson w tej chwili chciał mnie udusić, przypuszczam, że sama poddałabym szyję pod uścisk jego palców, aby uwolnić się od tej makabry.

- Wszystkiemu winien jest Burckett - ciągnął dalej.

- Wdarł się do tego pokoju, mimo iż go ostrzegałem, nie-szczesny głupiec. Chciał mnie zniszczyć, zrujnować całe moje życie, zrobić ze mnie nędzarza. Musiałem go zlikwidować, nie miałem innego wyjścia. Ty wiesz o wszystkim, Mary. Znalazłaś, nie wiem jakim cudem, tę przeklętą laskę, którą utopiłem na środku morza, i podrzuciłaś ją w ogrodzie. Nie mogłaś ze mną o tym mówić, więc w ten sposób dałaś mi do zrozumienia, że jestem mordercą. To bardzo delikatnie z twojej strony, rozumiem... Nie mogę jednak ryzykować... Wiem, że znaleźli jego zwłoki, wyrzuciło je morze. Może zacząć się śledztwo. I ty nie będziesz kłamać. I tak nie przebaczyłabyś mi nigdy, nie mogłabyś żyć z mordercą, twoja słowiańska sentymentalna natura nie pozwoliłaby ci na to. Sama oddałabyś mnie w końcu w ręce policji. Tak mi przykro. Mary, moglibyśmy być szczęśliwi... Postaram się, żebyś długo nie cierpiała.

Ręka Svensona zagłębiła się w kieszeni szlafroka. Pokój zawirował mi przed oczyma.

- Dość tego, mister Svenson. Ręce do góry, gra skończona! - zabrzmiał nagle czyjś męski głos, który w moich uszach zadźwięczał jak najpiękniejsza muzyka, a ponadto wydał mi się dziwnie znajomy.

W gabinecie nagle zajaśniały wszystkie światła. W ostatnim przeblysku świadomości zobaczyłam twarz Janka, poczułam uścisk jego ramion i chyba pierwszy raz w życiu - zemdlałam.

## Rozdział dwunasty

- A jednak, Mańka, w dalszym ciągu zezujesz na lewe oko - powiedział Janek, przyglądając mi się krytycznie, podczas gdy prawe jego ramię opasywało mnie w pół, co w ostatnich dniach stało się jego nawykiem. Siedzieliśmy na tapczanie w moim pokoju, odcięci od całego świata, jakby bojąc się rozstać choćby na chwilę.

- Będziesz chyba musiała przejść w Warszawie operację okulistyczną. Wątpię, czy jakaś porządna apteka zechce cię zatrudnić z takim felerem.

- Jesteś potworem - odpowiedziałam - wyśmiewasz się z ułomności ludzkich. Jeśli będziesz mi dalej tak dokuczał, ucieknę do dżungli afrykańskiej. Tam mnie nie znajdziesz.

- Tym razem cię nie puszcę. Nie mam zamiaru bić się o ciebie z małpami i tygrysami. Już dość nabroiłaś.

- Oj, Janek, Janek - westchnęłam i oparłam głowę na jego ramieniu. Było to moim zdaniem najbezpieczniejsze i najprzyjemniejsze miejsce na świecie - to zagłębienie jego włochatej marynarki, pod którą prężyły się silne mięśnie i muskuły. Zamykałam wtedy oczy i odpoczywałam, o niczym nie myśląc, tak jak kot, który szuka ucieczki w ciepłe drugiego stworzenia.

Dochodzenie w sprawie Svensona dobiegło już końca. Zakończyło się szybko w związku ze śmiercią podejrzanego, albowiem tej samej nocy, w momencie aresztowania przez policję, Olaf Svenson zażył truciznę, ukrytą w sygnecie pod rubinem. Zgon nastąpił natychmiast. Było to właściwie jedyne wyjście dla tego nieszczęśnika, zwłoki Burcketta zostały bowiem od razu zidentyfikowane przez miejscową ludność, a osoba sprawcy w tej sytuacji nie pozostawiała najmniejszej wątpliwości, co razem z usiłowaniami zabójstwa na mnie doprowadziłoby go niewątpliwie na fotel elektryczny.

Od kilku dni Janek robił wszystko, zresztą z wyraźnym powodzeniem, aby doprowadzić mnie do równowagi psychicznej i fizycznej. Przesłuchiwania policji i inne niezbędne w takim przypadku formalności zatrzymywały nas jeszcze na

miejscu, ale wiadomo było, że za parę dni będziemy mogli stąd wyjechać. Tym razem miała to być naprawdę nasza wspólna podróż, wiodąca do jednego celu: do dalekiej, nie znanej mi jeszcze, a już bliskiej, upragnionej Warszawy. Kiedy Janek zaproponował mi to, jak zwykle maskując powagę chwili żartami, ale z wyrazem lęku w oczach, że być może odmówię, rozplakałam się tak głośno i zapamiętałam, że trudno mi się było uspokoić. Teraz odpoczywając w bezpiecznym azylu jego marynarki, za-chlipałam też zupełnie nieoczekiwanie:

- Właściwie wtedy (to „wtedy” stanowiło umowne określenie wydarzeń tamtej tragicznej nocy), gdybyś poczekał chwilę dłużej, już nie byłoby mnie na świecie.

- Tragizujesz, Mańka - ramię Janka jednocześnie jednak wzmocniło uścisk. - Trzymałem twojego uroczego narzeczonego cały czas na muszce i to samo robił stojący koło mnie Bob Kowalski. Musieliśmy go złapać na gorącym uczynku, bo inaczej mógłby się nam wykręcić jak piskorz. Innego wyjścia nie było. Przy okazji nagrałem wszystko na taśmie magnetofonowej.

- Opowiedz mi raz jeszcze spokojnie, w jaki sposób domyśliłeś się, że zagraża mi niebezpieczeństwo.

- Jeżeli tylko sobie tego życzysz, moje ty bóstwo. W przyszłości również i to nagram na taśmę i będę ci odtwarzał co wieczór przed zaśnięciem, żebyś pamiętała dobrze, jakiego to masz dzielnego męża.

No więc, nietrudno mi było, na podstawie twoich listów, a szczególnie ostatniego, domyślić się, że z twoim przepięknym milionerem coś nie jest w porządku, i trzeba było sprawdzić, w co tu się gra. Przecież ty się wyraźnie panicznie go bałaś i w ogóle wszystkiego, co miało lub mogło cię spotkać. W ostatnim liście prawie zegnałaś się z życiem, przynajmniej ja to tak zrozumiałem. Jednocześnie odczułem, że w swojej naiwności uważasz się związana jakimś przyrzeczeniem czy zobowiązaniem do świadczenia czegoś, co przerasta twoje siły. Nie wiem, czy udaje mi się dobrze oddać stan twojego ducha, ale ja tak go odebrałem. Co do mnie, to jak wiesz, od razu podejrzewałem, że demoniczny Svenson - to jakaś porządna

kanalia, dążąca za pośrednictwem twojej osoby do zrealizowania sobie tylko wiadomych, ciemnych planów, w których masz mu służyć jako narzędzie.

Kiedy więc otrzymałem ten alarmujący list, postanowiłem przyjechać najbliższym pociągiem i zająć się trochę bliżej działalnością mister Svensona. Obserwowałem go kilka dni, nawiązałem w miasteczku parę interesujących znajomości, które dały mi dużo do myślenia. Odkrycie przez policję zwłok Burcketta było dla mnie ostrzegawczym sygnałem, że zbliża się finał całej sprawy. Widziałem cię tego popołudnia w ogrodzie. Byłaś czymś wstrząśnięta, przerażona. Wyobrażasz sobie chyba, jak trudno było namówić tutejszą policję, aby udzieliła mi pomocy. Co prawda od dawna opinia publiczna obrócona była przeciw Svensonowi, ale w zasadzie brakowało podstaw do interwencji z zewnątrz. Całe szczęście, że natrafiłem na rozsądnego porucznika policji, Boba Kowalskiego, którego udało mi się przekonać, że życie młodej dziewczyny jest w niebezpieczeństwie, w związku z czym, po długich oporach, dostałem do pomocy dwóch policjantów. Oczywiście grałem *va banque*, bo przecież równie dobrze mogłoby tej nocy nie dojść do ostatecznego rozstrzygnięcia.

- Więc ty byłeś „wtedy” wieczorem w ogrodzie? Jednak dobrze wyczuwałam czyjaś obecność.

- Obecność ukochanego mężczyzny, zapomniałaś dodać. Tak, dostałem się tam po zapadnięciu zmroku, co zresztą przy moich znanych ci zdolnościach akrobatycznych nie sprawiło mi specjalnych trudności. Stałem o krok za tobą, kiedy przeszukiwałaś krzaki. O mało nie nadepnęłaś mi na odcisk.

- A potem jak udało ci się wejść do domu? Przecież drzwi były zamknięte.

- Po prostu przez otwarte okno na parterze.

- A laska, Janku, skąd się wzięła laska Burcketta w krzakach?

- Sprawa laski to osobna historia. Wiesz już, że zwłoki Burcketta zostały wyrzucone na brzeg morza razem z przyływem. Gdyby Svenson pojechał łodzią nieco dalej, trup zostałby uniesiony przez fale na pełne morze i praw-



dopodobieństwo wykrycia zbrodni byłoby minimalne. Jednak najwyraźniej Svenson miał pecha i Burckett zemścił się z za grobu. Svenson działał w ogromnym napięciu nerwowym, nie był przecież zawodowym mordercą. Na pewno chciał wyrzucić do morza łaskę razem z trupem i pozbyć się narzędzia zbrodni, bo przecież właśnie tą łaską roztrzaskał głowę Burckettowi, jednak prześladowało go fatum, a może zawiodły nerwy. Zgubił łaskę, która wypadła na piasek, widocznie w czasie przeciągania Burcketta z samochodu do łodzi, i bardzo szybko została odnaleziona przez jednego z tutejszych mieszkańców.

Już mówiłem, że skierowanie podejrzania przeciw Svensonowi przyszło mi z wielką trudnością. W obliczu prawa był on szanowanym nieskazitelnym obywatelem, a plotki krążące wokół jego małżeństwa nie mogły stanowić podstawy do wszczęcia przeciw niemu dochodzenia. Mimo iż zwłoki Burcketta zostały bardzo łatwo zidentyfikowane - to jednak brak było dowodów, że morderstwo w jakiś sposób wiąże się z osobą Svensona. Nie wiem jakim cudem, znalazłem jednak platformę porozumienia z porucznikiem Kowalskim, być może zagrała mu w żyłach krew polskich przodków, na których się powołałem, tak że zgodził się na chytry plan podrzucenia łaski w ogrodzie Svensonów. Zrobiłem to własnoręcznie poprzedniej nocy.

Teraz trzeba było tylko czekać na reakcję Svensona. Niewątpliwie każdy człowiek, nie mający z tą sprawą nic wspólnego, zawiadomiłby policję o tak dziwnym i makabrycznym odkryciu, przecież łaska nosiła wyraźne ślady krwi. Poza tym tego dnia ukazały się już w miejscowych gazetach wiadomości o znalezieniu zwłok nieznanego mężczyzny, z fotografią nieboszczyka. Ty naturalnie, moja miła, swoim uroczym zwyczajem nie zajrzałaś do gazet, a więc i o tym fakcie zapewne nie wiedziałaś. Svenson jednak bez wątplenia czytywał gazety, a w tych dniach jeszcze skwapliwiej niż zwykle. Wiadomo już, że wtedy wieczorem wracając do domu znalazł łaskę i ukrył, co w końcu było nonsensownym posunięciem, całkowicie go pograżającym. Przypuszczam, że w stanie silnego

zakłócenia równowagi psychicznej, w jakim się znajdował, nie powziął żadnych podejrzeń, że to był trick policyjny, a odwrotnie - przypisał to twemu działaniu, jak się zresztą później okazało.

- A kiedy tak głupio zemdlałam, co było dalej?

- Zapalenie świateł w pokoju było umownym sygnałem dla reszty policjantów, wszystko więc odbyło się błyskawicznie.

- I wtedy Svenson?...

- Tak, wtedy.

- Słuchaj, Janek, dlaczego jednak nie dałeś mi znać o swoim przyjeździe? Dlaczego nie zażądałeś, abym opuściła ten dom? Przecież mogłam uniknąć tego wszystkiego, co potem nastąpiło.

- Zdumiewasz mnie, Mańka. Ty byś miała ustąpić moim perswazjom? Znając twój upór i wrodzoną skłonność do przeciwstawiania się każdemu rozsądnemu stwierdzeniu, mogłam śmiało przypuszczać, że wywołam u ciebie zupełnie odmienną reakcję. Na przykład mogłaś błyskawicznie zdecydować na poślubienie Svensona, żeby mnie przekonać, że nie mam racji. Nie, nie śmieć się, tak być mogło. A poza tym przyznam ci się, że zupełnie z osobistych powodów dziwnie mi zależało na całkowitym zdemaskowaniu tego diabolicznego chłoptysia. On mi zanaadto załazł za skórę.

- Oj, Janek, Janek, ty mnie jednak wcale nie znasz.

- Jeszcze jeden powód do bliższego poznania się, nie uważasz?

## **Rozdział trzynasty**

W Supersamie był, jak Zwykle o tej porze, tłok. Posuwając się w kolejce w kierunku koszyków, w różnobarwnym, falującym tłumie, musiałam jednocześnie uważać, aby mała łapka mojego synka Michałka nie wyslizgnęła mi się z dłoni, a on sam z przeraźliwym krzykiem, godnym wodza plemienia Siuksów, nie dał nurka w gąszcz ludzi, jak to już niejednokrotnie udało mu się zrobić. Poza tym obciążona byłam jeszcze dodatkową

funkcją udzielania mu nieustannych, wyczerpujących odpowiedzi na zapytania z najróżnorodniejszych dziedzin - od nauk ścisłych aż do pogranicza metafizyki włącznie.

- Mamo, dlaczego wszystkie panie są w kozuszkach?

- Bo kozuszki są bardzo ładne i modne, kochanie.

- A co to znaczy, modne?

- To znaczy, że się wszystkim podobają i wszyscy je noszą.

- Aha. A z czego są kozuszki?

- Z baranka, kochanie.

- Z żywego czy umarłego?

- Mówi się umarłego, a nie umarłego. A poza tym w ogóle nie można tak mówić, jeżeli chodzi o kozuszki. Teraz nie mogę ci tego bliżej wytłumaczyć, ale kozuszki szyje się ze skóry baraniej.

- Aha. Ale baranki się zabija, prawda?

- Tak.

- To bardzo brzydko zabijać, prawda?

- Zabija, bo inaczej nie można. Uważaj, Michałku, teraz nasza kolej na koszyczek. Weź ten czerwony.

- Mamusiu, dlaczego ten pan stale się na nas gapi?

- Nie mówi się gapi, tylko przygląda. A w ogóle zdaje ci się. Chodź, pójdziemy kupić ser i konfitury.

- Mamo, a dlaczego ser jest żółty, a nie niebieski?

Michaś wszedł na tak niebezpieczne tory, że mi skóra ścierpła. Co będzie, jeśli zapyta, z czego się robią dziurki w serze?

- Mógłby być i niebieski, gdyby go odpowiednio przyrządzić. Weźmiemy te dwie paczki. Poczekaj, teraz mamusia wybierze trochę rybek w pudełeczkach.

- Mamo, ten pan znowu się na nas gapi.

- Niech się gapi. A teraz jeszcze dżemik i sok pomarańczowy.

- Mamo, ten pan dał mi cukierka, czy mogę go zjeść?

- Nie, nie bierze się cukierków od obcych panów - już miałam zamiar dalej gromić mego niesubordinowanego potomka, kiedy nagle usłyszałam słowa wypowiedziane po angielsku, z typowym amerykańskim akcentem.

- Jak się pani miewa, Mary? Co za spotkanie!

- Steven, Steven Maxwell! - zawołałam z niekłamana radością. - Jak się cieszę, że pana widzę!

- Ślicznie pani wygląda, Mary, zupełnie jak przed laty-  
Maxwell uśmiechał się, ściskając mi ręce. - Od kilku minut obserwuję pani synka i panią, ale obawiałem się podejść.

- Dlaczego? Chodźmy stąd, nie stójmy tu z koszykami, zanadto tu tłoczno. Muszę pana zabrać na kawę do domu. Jestem tu samochodem, mieszkamy bardzo blisko. Niech mi pan powie, skąd się pan wziął u nas w Warszawie? Strasznie jestem ciekawa.

Skierowaliśmy się do kasy, Maxwell objuczony koszykami torował drogę wśród gęstwiny ludzi. Kiedy już załadowaliśmy zakupy i Michałka do mojego Fiata 126p, Maxwell skwapliwie usiadł koło mego boku i nie przestawał mi się przyglądać.

- A więc wszystko jest o'key, Mary. To dobrze. Szczęśliwa mama i żona. Taką pragnęłam panią zobaczyć. Wprawdzie mam bardzo mało czasu, ale nie mogę oprzeć się pokusie porozmawiania z panią. Dokąd jedziemy? Może na kawę do Bristolu? Tam mieszkam.

- Nie, najlepiej będzie porozmawiać u mnie, w domu. To niedaleko, w osiedlu na Czerniakowskiej.

- Mamo, czy ten pan ma więcej takich cukierków? Zapytaj go - zainteresował się Michałek wciśnięty z tyłu i zaplątany pomiędzy siatkami ze sprawunkami.

- Cicho bądź, Michałku. Zajmij się swoim niedźwiadkiem! - fuknęłam, zdecydowana na serio pomyśleć o zabranii się w najbliższej przyszłości do starannej edukacji syna. Byłam zadowolona, że jedziemy do naszego nowego mieszkania. Jeszcze nie przestałam się cieszyć z otrzymania nowego M4 i każdy gość oglądający ledwo wyklute gospodarstwo był przeze mnie entuzjastycznie podejmowany. „Jak to dobrze, że pracownik Spółdzielni «Wszystko dla domu» zdążył mi w ubiegłym tygodniu wyłożyć kafelkami łazienkę (notabene różowymi w białe ciapki)” - pomyślałam z satysfakcją, otwierając drzwi mieszkania. Bardzo byłam ciekawa reakcji Maxwella. Oczywiście trudno, żeby zemdlał z zachwytu, gdyż

luksusowe wnętrze willi Svensona różniło się nieco standardem od naszego M4, ale przecież tu właśnie było mi dobrze, tu wszystko było nasze, swojskie, zarobione własną pracą. Tu każdy sprzęt i przedmiot miał swoją własną historię, począwszy od haka lampy, wbijanego z uporem maniaka przez Janka w betonowe płyty sufitu, który ani rusz nie chciał ustąpić pod młotkiem, w ciągu kilku wieczorów, i doprowadził wszystkich sąsiadów do ataków szału i ostrzegawczego pukania w kaloryfery, aż do zalotnie otwierających się drzwiczek wmontowanej w ścianę szafki kuchennej, którą administracja Osiedla od kilku miesięcy z niezmienną uprzejmością obiecywała wymienić.

W ogóle przez dłuższy czas po moim przyjeździe do Warszawy znajome dziewczyny, a w szczególności koleżanki z pracy, oglądały mnie podejrzliwie jak specjalny okaz dziwoląga, Któremu niewątpliwie brak jest wszystkich klepek. Moje przygody, moje romantyczne małżeństwo z Jankiem było przedmiotem wielu komentarzy, ale i budziło pewne zdumienie! Wiem też, że dziewczyny, patrząc na moje amerykańskie ciuchy, bladły z zachwytu i z zazdrości, aż wreszcie jedna bardziej śmiała powiedziała:

- Słuchaj, Marysiu, ty chyba naprawdę jesteś stuknięta. Słyszałam, że mogłaś wyjść za męża za milionera, mieszkałaś w Ameryce, a przyjechałaś tu na harowę. Ja na twoim miejscu wyszukałabym sobie tam jakiegoś nadzianego dolarowca. Co prawda Janek to fajny chłopak, ale ty naprawdę jesteś dziwna.

No tak — jestem dziwna, jestem bardzo śmiesznie stała i wciąż zakochana w moim mężu i jestem naprawdę szczęśliwa. Być może, żeby dobrze ocenić to moje własne małe szczęście i prawdziwie się w nim rozsmakować, musiałam przeżyć swój wielki i „niebezpieczny” sen o karierze milionerki, który mógł mieć tragiczny finał, i dlatego teraz jest mi tak dobrze. Kto mi nie wierzy — może sam się przekonać.

A jednak Maxwell był wyraźnie oczarowany urządzonym przez nas wnętrzem, szczególnie segmentami, mocną kawą, zaparzoną w expresse, koniakiem i moim towarzystwem, czemu umiał we właściwy sobie sposób dać wyraz, prawiąc mi

setki komplementów.

Kiedy Michałek przestał już wreszcie demonstrować Maxwellowi wszystkie swoje zabawki, mogłam się dowiedzieć, że przebywa w Polsce od dwóch miesięcy jako przedstawiciel jednej z amerykańskich agencji handlowych, kooperującej z przemysłem samochodowym, i za dwa tygodnie wraca do Ameryki.

- Bardzo chciałem się z panią zobaczyć - mówił - ale nie wiedziałem, czy będę mile widziany, czy moja osoba nie nasunie pani przykrych wspomnień, do których, być może, nie chciałaby pani wracać.

- Nie, skądże. Naprawdę się cieszę, że pana widzę. Jest poza tym jedna sprawa, którą chciałabym z panem wyjaśnić. Coś, co mnie od lat niepokoi. Proszę mi szczerze powiedzieć, czy pan wiedział o tym, że Margaret Svenson nie żyje?

- Jednym słowem, czy brałem udział w grze Svensona

O pieniądze, czy byłem współnikiem w walce, która miała tak ponure rozwiązanie? Mógłbym pani skłamać. Mary, wybielić się w pani oczach, ale nie chcę tego robić. Odpowiem prawdę: tak. Svenson powierzył mi swoją tajemnicę, miał do mnie bezgraniczne zaufanie. Oczywiście jeszcze dwie osoby wiedziały o wszystkim: Brent i doktor Jörson.

I to było dla niego niebezpieczne. Świadomość, że może w każdej chwili stać się ofiarą szantażu, wpływała deprymująco na jego psychikę. Ryzyko podjęte przez niego było ogromne i sprawiało, że żył w ustawicznym lęku, którego nie mógł uzewnętrzniać. Wiem, że po doprowadzeniu sprawy do końca miał zamiar wyjechać i zatrzeć po sobie ślady, tak żeby nikt nie mógł go znaleźć. Nie przeczę, że pomagałem mu w wielu trudnych sytuacjach i że miałem w tym swój osobisty, prozaiczny cel: pieniądze. Byłem dobrze opłacany i miałem w perspektywie dalsze zyski materialne. To brzmi jak samooskarżenie, ale tak było. Chciałbym tylko pani powiedzieć, teraz, kiedy Olaf już od tylu lat nie żyje: to był bardzo nieszczęśliwy człowiek. Nie miał zbrodniczej natury, tylko przypadek uczynił go mordercą. Margaret była złą, zepsutą kobietą. Zagarnęła go w posiadanie i chciała przykuć

do siebie. Olaf bardzo pragnął szczęścia, którego nigdy w życiu nie zaznał. Pani była bliska jego ideału. Przepraszam, że wracam do tego drażliwego tematu, ale sama pani zaczęła...

- Nie szkodzi, Steve, ja już się tym nie denerwuję. Może pan śmiało wszystko mówić.

- Cóż mogę dodać ponad to, co pani wie, co pani sama widziała. Plan Olafa był precyzyjnie obmyślony i realnie wykonalny i gdyby nie Burckett - mógłby mu się udać. Nikt nie podejrzewał, a nawet pani, przebywająca przecież pod jednym dachem, że Margaret nie żyje. Miejscowe społeczeństwo, posądzające Olafa o znęcanie się nad chorą żoną, zostało całkowicie usatysfakcjonowane pani przyjazdem, to jest osoby neutralnej, która niejednokrotnie dzielnie broniła honoru domu. Pomysł zaangażowania młodej farmaceutki przyszedł Olafowi do głowy w związku z narastającą wrogą atmosferą w miasteczku. Oczywiście, mógł się powieść w przypadku napotkania na właściwą osobę, taką właśnie, jaką była pani. Tylko wkrótce pani zaczęła się wyłamywać ze schematu ustalonych założeń, groziła pani wyjazdem w momencie, kiedy była pani najbardziej potrzebna. Olaf nie wiedział, jak z panią postępować. Do dzisiejszego dnia nie wiem, jakim sposobem zdołał panią zatrzymać przy sobie. Szczególnie niebezpieczny był dla niego konflikt pomiędzy panią a Ann Jörson.

- Właśnie, Steve. Przepraszam za niedyskrecję, ale czy Ann była tą kobietą, na którą pan czekał?

- Tak, Mary. To była Ann. W jaki sposób się pani domyśliła?

- To nie było proste. Do takiego wniosku doszłam dopiero po przyjeździe do Polski. Muszę przyznać, że przez pewien czas wracałam jeszcze myślą do tych przeżyć, po prostu nie mogłam się z nich otrząsnąć. I wtedy na podstawie skojarzenia faktów, sytuacji zrozumiałam, że mężczyzną, o którego walczyła doktor Jörson, był właśnie pan, a nie Svenson. Przecież często widywała nas rozmawiających i śmiejących się beztrąsko w ogrodzie. Zapamiętałam dobrze jej białą sylwetkę migającą w drzwiach domu i szybkie spojrzenie rzucone w naszym kierunku. Wtedy widocznie obudziła się w

niej zazdrość i dojrzało postanowienie pozbycia się mnie z domu Svensona. Muszę przyznać, że przez nią przeżyłam dużo przykrych stressów.

- Niech jej pani wybaczy. Życie nie było dla niej łaskawe. Należy przyznać, że usiłowała pokonać straszliwy nałóg i przez pewien czas skutecznie. Na nieszczęście odsunięcie jej od pracy w umiłowanym zawodzie chirurga zachwiało nieodwracalnie jej równowagę psychiczną i nastąpiła recydywa. Svenson wykorzystywał ją do swoich celów, gdyż stale potrzebowała masy pieniędzy na kosztowne narkotyki.

- Jednak przez cały czas była z panem związana uczuciowo?

- Tak, i to było moją osobistą tragedią, którą musiałem dobrze maskować. Początkowo wciągnąłem Ann do wspólnej gry, znając jej dyskrecję i lojalność, kiedy była normalną kobietą, lecz potem tego ustawicznie żałowałem.

- A jak jest teraz, Steve?

- Niestety, ta sprawa nie zakończyła się happy-endem, tak jak w pani przypadku. Ann nie udało się wyleczyć, choroba uczyniła zbyt duże postępy. Doktor Jörson przebywa od lat w zamkniętym zakładzie leczniczym i praktycznie nie ma nadziei na powrót do zdrowia. Wiem, o co pani chce zapytać. Tak. Założyłem rodzinę. Moja żona jest bardzo podobna do pewnej znajomej dziewczyny o imieniu Mary. Mamy dwie córki.

- Gratuluję, Steve.

- Dziękuję, ale nie wracajmy już do przeszłości. Najważniejsze, że jest pani teraz śliczną, szczęśliwą mężatką i mamusią tego świetnego brzdąca, który zerka z nie słabnącym zainteresowaniem w stronę cukierków.

- Och, mój Michał jest paskudnym łakomczuchem. Niech mi pan jeszcze powie, Steven, w jaki sposób Olaf chciał zalegalizować w końcu śmierć swojej żony, bo przecież to nie byłoby takie proste.

- O ile wiem, miał zamiar wywieźć Margaret do Szwecji pod pozorem dokonania ponownej trepanacji czaszki i ta operacja miała się nie udać. To dobrze, Mary, że spotkaliśmy się, bo chciałem panią gorąco prosić o przebaczenie.

- Mnie, za co?



- Za to, że kłamałem, że wprowadzałem panią w błąd, że nieopatrzonym postępowaniem doprowadziłem panią do tak niebezpiecznej sytuacji. To było z mojej strony nikczemne.

- W porządku, Steven. Już dawno wszystko zapomniane.

Zgrzyt przekręcanego klucza w zamku oznajmił, że Janek wraca do domu. Kiedy stanął na progu, uklonił się, ale zmarszczył z lekka brwi. O, bo mój Janek umie być obrzydliwie zazdrosny.

- Tatusiu! - krzyknął Michałek, podbiegając w podskokach do ojca. - Ten pan ma bardzo świetne czekoladowe cukierki. Sam spróbuj tylko.

zł 26,-

lesiojot